

Ambasada

Pana

Boga

Zapis ocalenia

Petruss Romanüss
Roland Beijerr

Copyright by © Firma SUN Marian Zbigniew Nowak

Wydanie drugie

2021

Projekt okładki - Uta Dorczyk

Korekta - Joanna Morawska

Druk - Drukarnia Skleniarz - Kraków

PRZEDMOWA DO WYDANIA DRUGIEGO

Po sześciu latach nadal żyję! Ku radości wielu, a nawet wbrew i na złość oczekiwaniom niektórych. Śmiertelna choroba jest najlepszym sprawdzianem. Dla samego siebie, dla bliskich i przyjaciół.

Jest egzaminem z wiary w Boga. Jeśli coś takiego przeżyjemy, musimy być przygotowani na to, że świat wokół nas bardzo się zmieni. Pozostanie tylko to, co prawdziwe, szczere i uczciwe. Cała reszta odsunie się i będzie się trzymać od nas z daleka.

Czy czułbym to samo, gdyby moja choroba została wyleczona tradycyjną metodą (lekami, naświetlaniami, chemią...) Nie!

Takie skutki daje tylko energia!!!

Roman

Dlaczego wznawiamy Ambasadę? Niech odpowiedzią będzie jeden z listów do Zbyszka.

„Dobry wieczór Panie Zbyszku. Podczas ostatniego spotkania podarował mi Pan książkę „Ambasada Pana Boga”. Wiedział Pan, że powinnam ją koniecznie przeczytać. Pomogła mi po 18 latach

zrozumieć śmierć męża, zmotywowała do starań bycia lepszym człowiekiem. Od przeczytania jej nie mogę przestać myśleć o Pana dobroci i sile wiary, którą daje Pan mnie i moim bliskim. Najpiękniej jak tylko potrafię, bardzo Panu dziękuję. Iwona”

Ta historia nadal jest potrzebna. Wciąż jest nowatorska – bo Roman ma niepospolite, zupełnie niestandardowe spojrzenie na chorobę, jej przyczyny i konsekwencje.

Po przeczytaniu tej książki odkrywamy, jak wiele zależy od nas samych. Od tego, jaki wyznaczymy sobie cel, czy nie zabraknie nam konsekwencji i czy będziemy w stanie przezwyciężyć swoje wątpliwości.

Autorzy

Minęło 6 lat od pamiętnego września 2014 roku, kiedy Roman stanął przede mną. Chwiał się na nogach, z trudem utrzymując pionową postawę. Byłem przekonany, że jest pijany. Kiedy skończyłem zabieg, w obawie że zaraz się przewróci, pomagałem mu wyjść z gabinetu.

Przygoda Romana to jedna z wielu zdumiewających historii, których wytłumaczenie jest jednak niezwykle proste.

Funkcjonujemy dzięki energii, która stanowi wzorzec i plan dla ciała materialnego. Nazywam to matrycą energetyczną.

Kontakt bezpośredni z osobą potrzebującą pomocy zazwyczaj następuje w chwili spotkania i przekazania informacji. Jednak także wysłanie fotografii chorego jest dla mnie kontaktem bezpośrednim. Na zdjęciu jest bowiem coś więcej niż tylko wizerunek. Jest właśnie matryca energetyczna - niematerialny plan ciała z czytelnymi dla mnie wszelkimi zaburzeniami sygnalizowanymi właściwym dla nich promieniowaniem.

Rozpoznaję rodzaj i charakter promieniowania fizycznie odbierając wszelkie zaburzenia pola i bezzwłocznie (bywa, że nawet nie

kontaktując się bezpośrednio z samym pacjentem), przystępuję do regulacji.

Mogę również działać bez wiedzy chorego, jeśli jest małym dzieckiem, albo jest nieprzytomny, a jest potrzeba udzielenia natychmiastowej pomocy.

Jak to działa?

Każdy uszkodzony organ wysyła określone sygnały informujące precyzyjnie o powstałym zakłóceniu energetycznym, tworząc tym samym punkty biologicznie czynne, nazywane powszechnie chorobą.

Organizm każdego człowieka ma określoną wytrzymałość psychiczną i fizyczną, przekroczenie tej granicy może powodować nieodwracalne skutki zdrowotne.

Dobrze jest sobie uświadomić, jak wielkie znaczenie w naszym życiu odgrywa energia. Powinniśmy również zdawać sobie sprawę z tego, że nasze ciało jest zespołem naczyń połączonych. Najłabsza część ulega chorobie, kiedy wydolność organizmu spada do częstotliwości, na której żerują pasożyty, bakterie i wirusy.

Moim zadaniem jest podwyższenie częstotliwości i zwiększenie poziomu wydolności pracy organizmu. Pasożyty, bakterie i wirusy giną. Cofają się dolegliwości.

Roman nie jest jedynym człowiekiem, który wyzdrowiał dzięki energii. Są tysiące takich osób, a setki opowiedziały o sobie w moich programach, albo podczas spotkań. Znajdziecie te relacje w książkach i na stronie www.nowak.pl

Jednak Roman jest jedynym człowiekiem, który poddał tak szczegółowej analizie wszystko, co czuł, co myślał i robił - cały proces wychodzenia z choroby. Towarzyszy temu głęboka refleksja nad życiem, jego celem i sensem, nad tym, co przeszkadzało, a co pomogło mu wyzdrowieć.

Ta książka pomaga zrozumieć, nie tylko to, czym ja się zajmuję i rozwiązać wszelkie wątpliwości co do tego, czym w istocie jest energoterapia. Ta książka pomoże Wam przebić się przez pancierz Waszych słabości i zahamowań, zrozumieć mechanizmy pracy

umysłu człowieka chorego, w jednej chwili bezsilnego wobec tego, co zgotował mu los, a już za moment zdesperowanego i gotowego do walki o swoje życie za wszelką cenę.

Wielką zasługą Romana – bohatera tej książki – jest to, że bardzo szczerze opisał swój przypadek. Dzięki temu wielu ludzi ma szansę pokonać problemy. Zdrowotne i wszelkie inne.

Roman doszedł do najważniejszej konkluzji, znalazł uniwersalny klucz do sukcesu. Jest nim BEZWARUNKOWA AKCEPTACJA! Dzięki temu zmienił swoje życie i ocalał.

Dziś łączy mnie z Romanem głęboka przyjaźń i obustronne uczucie wdzięczności za to, że Dobry Los połączył nasze ścieżki.

Zbyszek Nowak

Marzę o świecie, w którym nie ma słów „dziękuję” i „przepraszam”. Są niepotrzebne, bo nie ma dobrych i złych uczynków – są tylko uczynki. O świecie, w którym nic nie jest ani dobre, ani złe, tylko po prostu jest. Tak jak Bóg.

Przez kilka dni byłem sam z moimi dwiema córeczkami. Starsza ma sześć lat, młodsza trzy.

Były grzeczne jak aniołki. Żadnych sprzeczek, dokuczania. Po prostu idealnie. Pod wpływem emocji wziąłem starszą na kolana i zacząłem jej dziękować.

– Tatusi, ale za co ty mi dziękujesz? Za to, że byłem grzeczna i pomogłam siostrze?

Popatrzyła na mnie z politowaniem, pokręciła głową i poszła do małej, oglądając się jeszcze na oniemiałego ojca.

Nie dziękujmy sobie za coś, co powinno być naturalnym, normalnym zachowaniem. Nie dziękujmy sobie za nic. Po prostu nie czynmy zła i nie przepra-szajmy. Czynmy dobro.

Nie napisaliśmy dla Ciebie fajnej książki. Ani ciekawej, ani mądrej, ani głupiej. Nie oczekuj świetnej zabawy, mrożących krew w żyłach opowieści i niesamowitych sensacji.

Znajdziesz tu tylko zapis zdarzeń, które miały miejsce w 2014 roku na planecie Ziemia, chociaż wiemy, że sięgają dużo, dużo dalej...

Ta historia zaczęła się dla głównego bohatera 4 stycznia 1974 roku.

A może znacznie wcześniej... Nawet tysiące lat wcześniej...

Książkę tę napisało życie. My użyczyliśmy tylko ręki, żeby utrwalić ją na papierze.

PR
RB

CZĘŚĆ PIERWSZA

Tym razem było inaczej. Wróciłem do domu po kilku miesiącach pobytu za granicą i wykonaniu w rekordowym tempie bardzo dużego zadania. Zmęczenie odczuwałem nieco mocniej niż zwykle, ale nie zwracałem sobie tym głowy. Marzyłem tylko, żeby możliwie jak najszybciej uporać się z pozostałymi do zrobienia projektami w Polsce i wreszcie odpocząć. Wybrać się z rodziną choćby na kilka dni w góry, najchętniej w moje ukochane Tatry lub do Krynicy Górskiej, tam gdzie tak szybko się regeneruję i wracam do sił. Codziennie odliczałem dni, które mnie dzieliły od wymarzonego odpoczynku.

Ale prace nie szły tak, jak powinny. Niby los nam sprzyjał, a jednak czułem, że nie dotrzymam terminów, wszystko się przeciągnie i coraz mniej zostanie mi czasu, żeby nacieszyć się rodziną. A na horyzoncie majaczyło już widmo nowego, wielomiesięcznego wyjazdu. Takie prace powinny trwać co najmniej dziesięć miesięcy, a tymczasem ja miałem zrealizować je za ledwie w pięć. W dodatku w okresie jesienno-zimowym. W Skandynawii!

Żeby przyspieszyć robotę, wstawałem o trzeciej rano i o piątej dojeżdżałem na miejsce. Do tego mój przyjaciel poprosił mnie o pomoc. W innych warunkach byłby to drobiazg, ale tym razem okazało się to dużym obciążeniem.

Codziennie czułem się osłabiony i potwornie zmęczony, ale tłumaczyłem sam sobie, że to nic dziwnego. Owszem, było też coś, co mnie coraz bardziej niepokoiło. Coś, co jeszcze nigdy wcześniej nie miało miejsca, nawet przy znacznie większym wysiłku i przemęczeniu. Ale i na to szybko znalazłem wytłumaczenie. Przecież nie mam już dwudziestu ani nawet trzydziestu lat! Skończyłem czterdzieści, a po czterdziestce, to wiadomo...

Jednak działo się ze mną coś złego i nasilało się z każdym dniem. Miałem kilku pracowników i nieskomplikowane zadania do wykonania, ale koordynowanie ich pracy przychodziło mi z coraz większym trudem. Coraz gorzej radziłem sobie z łatwymi sprawami. Zaopatrzenie chłopaków w narzędzia i materiały jeszcze nie tak dawno było dziecinnym zadaniem, a teraz zdawało się poważnym problemem. Kiedyś dużo ważniejsze decyzje podejmowałem w ułamku sekundy, teraz zastanawiałem się w nieskończoność, a i tak w końcu dochodziłem do wniosku, że popełniłem błąd. Jeszcze kilka miesięcy temu, zanim na dobre zadałem sobie pytanie, już miałem gotową odpowiedź. Teraz szukałem jej bez końca. Moja głowa była jak ogromny, pusty dom, po którym snuje się tylko jedna myśl – muszę odpocząć! Koniecznie muszę odpocząć!

Coraz częściej zauważałem na twarzy mojego pracownika ogromne zdziwienie. Jakby mnie nie poznawał. Dostrzegał we mnie zmiany, ale potem tłumaczyliśmy sobie, że przecież i on, i ja, i cała reszta chłopaków, po prostu jesteśmy przemęczeni, w dodatku jest lipiec, wyjątkowo w tym roku upalny i suchy.

Pojawiło się także coś, co bardzo rozbawiło moich podwładnych. Byli przekonani, że to mój kolejny żart. Zacząłem przestawiać litery w słowach. Zamiast gwóźdź mówiłem „gździów”, zamiast czarny – „zcanry” itp.

Z początku mnie też to bawiło i próbowałem świadomie powtórzyć lub celowo pozamieniać litery, ale to już nie było to samo. Dopiero gdy zaczęły mi się przestawiać słowa w zdaniach, zacząłem się zastanawiać i dotarło w końcu do mnie, że to już nie jest śmieszne, że faktycznie dzieje się coś poważnego, choć pracowni-

cy mają z tego niezły ubaw. Poczułem wewnętrzny niepokój, ale, tak jak przedtem, rzuciłem to wszystko na karb zmęczenia. Jeszcze bardziej przyspieszałem prace, żeby jak najszybciej skończyć i pojechać na urlop, o którym marzyłem, jak nigdy dotąd.

Budowy były oddalone od siebie o pięćset kilometrów, wpadłem więc na pomysł, żeby nie tracić czasu, dystans ten pokonać nocą i od rana zacząć w drugim miejscu. Dojechaliśmy jeszcze przed otwarciem sklepów, zaparkowaliśmy przed sklepem, w którym mieliśmy zrobić zakupy, i położyliśmy się spać w samochodzie. W sześciu chłopa! Błyskawicznie zrobiło się duszno, więc uchyliłem drzwi, nastawiłem budzik na siódmą i zasnąłem kamiennym snem. Obudziłem się w dziwnym stanie - mdłości, tępy ból głowy, sztywna szyja. Szybko postawiłem diagnozę. Zawiało mnie! No i przecież dodatkowa dawka zmęczenia po nocnym rajdzie.

Działka mojego znajomego, na której mieliśmy stawiać ogrodzenie, jest pięknie położona na skraju wsi, w lesie, nad strumieniem i dwoma stawami. Świeże powietrze, zapach lasu, który uwielbiam, poranne słońce, lekka mgiełka nad łąką. Cisza i spokój – od razu poczułem się lepiej. Ostro zabraliśmy się do pracy, ale już po dwóch godzinach poczułem straszliwe zmęczenie i klucie w sercu, które dokuczało mi od kilku tygodni, a teraz wyraźnie się nasiliło. Za dużo tych dolegliwości. Coś jest ze mną nie tak.

Ale już za chwilę tamtą myśl zastąpiła inna – po takiej podróży, przy takim zmęczeniu, podziębiony w nocy... nie ma się czemu dziwić. Znow wszystko sobie wytłumaczyłem.

Pracowaliśmy dalej i w pewnym momencie uznałem za stosowne podzielić się z pracownikiem moimi obserwacjami.

– Patrz, tu też jest dym – powiedziałem. – Taki sam jak na Dolnym Śląsku. Co oni kombinują?

Pracownik spojrział na mnie nieufnie. Miał pytanie w oczach, więc powtórzyłem: „Co to się dzieje, że ciągle widać dym?”. W odległości dwustu, trzystu metrów widać było wyraźnie lekkie zamglenie. Po wyrazie jego twarzy domyśliłem się, że on tego nie widzi. Jednak nie protestował, tylko spokojnie zajął się pracą. To

zjawisko dawało się łatwo wytłumaczyć. Kilka lat temu widziałem podobne. Dym zasnuł wszystko, dookoła paliły się trawy czy torfowiska. Tylko czemu on tak dziwnie na mnie patrzył?

Kolejne dni płynęły bardzo szybko, a ja czułem się coraz gorzej. Dym się przybliżał i było go z każdą chwilą więcej, a moi pracownicy uparcie udawali, że go nie widzą. Za to ukradkiem uważnie mnie obserwowali. Zapewne postanowili znów wyciąć mi jakiś numer. Zmówili się i udają, że dymu nie ma. Tylko że wybrali sobie fatalny moment na żarty.

Z każdym dniem wkurzało mnie to coraz bardziej, toteż kiedy dym był już w odległości około pięćdziesięciu metrów, postanowiłem nie brać udziału w zabawie i przestałem o nim wspominać. Ledwo powłóczyłem nogami, a serce bolało tak, że utrudniało nawet oddychanie. Zdrętwiała lewa ręka i obolały bark niemal uniemożliwiały pracę. Masowałem je i bez przerwy rozcierałem, ale nie pomagało. Powtarzałem sobie i chłopakom: „Jeszcze tylko kilka dni i wyjeżdżam w góry!”. Czułem już niemal ten niepowtarzalny zapach oscypków i poranne rześkie powietrze. To było tak blisko, a ja miałem wrażenie, że muszę czekać jeszcze sto lat. Mój rosnący niepokój chwilami przeradzał się w regularny strach. Nigdy nie działa się ze mną aż tyle dziwnych rzeczy naraz. Co zmęczenie może zrobić z człowiekiem? Ile może znieść ludzki organizm?

Dym był już w odległości dwudziestu metrów, utrzymywał się stale i ciągle gęstniał. Powietrze zdawało się pół ciecżą, pół gazem, a ja poruszałem się jak pod wodą, kołysałem niczym wodorost, rozpuszczałem się w tej dziwnej substancji.

Tego dnia wstałem, jak zawsze, o trzeciej trzydzieści. O piątej byliśmy w pracy, zapowiadał się naprawdę upalny dzień. Ledwo ciągnąłem nogi, ale nadal próbowałem z tego żartować. Zadzwoił telefon. Mój przyjaciel prosił o dodatkową usługę – naprawę balkonu w jego domu. Nie śmiałem odmówić, bo mógłby nie uwierzyć, że nie jestem w stanie wykonać pracy, która zajęłaby raptem kilka godzin.

Wsiadamy zatem do samochodu, jedziemy niedaleko, zaledwie dziesięć kilometrów, naprawiamy ten nieszczęsny balkon... Chocam się w cieniu, bo dziwnie się czuję. Jest mi niedobrze. Rano mogłem jeszcze mówić, teraz wydaję nielogiczne polecenia. Język mi sztywnieje, wzmagą się odczucie lewitowania...

Nagle, w połowie pracy, proszę pracownika o spakowanie narzędzi do auta i zarządzam wyjazd na drugą budowę. Nalegam, żeby prowadził, bo źle się czuję. Odjeżdżamy, jak nigdy zostawiając bałagan, toteż już po chwili dzwoni mój przyjaciel z pytaniem, czy skończyliśmy na dziś, czy na dobre. Odpowiadam cokolwiek, wyjmuję słuchawki z uszu i rozłączam się. Po chwili dzwoni znowu i znowu, dlatego wyłączam telefon całkowicie. To nie jest mój styl działania, więc pracownik patrzy z coraz większym zdziwieniem. Po przyjeździe oddaję mu telefon, a sam idę się położyć nad stawem, pod sosnami. Mam nadzieję, że cień i bliskość wody zmniejszą dolegliwości. Jednak kiedy dotykam dłonią drugiej dłoni lub twarzy, odnoszę wrażenie, że mam na sobie grube rękawice. Ewidentnie tracę czucie. Przesadziłem, i to mocno. Ale w tej samej chwili sam się uspokajam: zdarzały się już podobne sytuacje, co najmniej dwukrotnie. Będzie dobrze. I kolejna myśl – nie, jednak nigdy nie było aż tak źle...

Nie wiem, czy spałem, bo słyszałem, jak pracownik rozmawia z kilkoma osobami na temat mojego stanu. Leżałem tak ze dwie godziny i wstałem z uczuciem, że jest znacznie lepiej. Jedynie ten dym – coraz bliżej.

Oddzwoniłem do przyjaciela, a ten wręcz krzyczy, że mam natychmiast iść do lekarza, albo, jeszcze lepiej, wezwać pogotowie. Zapewniłem go, że wszystko jest pod kontrolą, a znajomy, u którego właśnie jesteśmy, lekarz, pracuje w dobrej klinice, przyjedzie i mnie obejrzy. I tak się stało. Przyjechał, zbadał mnie i powiedział, że jestem zdrow jak byk, tylko mocno wyczerpany. Mam odpocząć, a jeśli nadal będę się źle czuł, przyjmie mnie na oddział i zrobi dokładne badania.

Resztę dnia spędziłem, leżąc w jego domku letniskowym i rano

czułem się jako tako. Jednak coś mi mówiło, żeby skorzystać z okazji i pozwolić by dokładnie mnie przebadał.

Ciśnienie w porządku, EKG prawidłowe. Młody lekarz, który się mną zajmował, podłączył mi kroplówkę. Pół godziny i poczułem się świetnie, gotów do wyjścia. Ale on poprosił mnie do gabinetu i zaczęły się rozmaite badania. Nic nie mówił, tylko uważnie obserwował, zadawał pytania i prosił o proste rzeczy, na przykład wyciągnięcie rąk w przód, jak do boksowania. Sam dłonie zacinał w pięści i zaczął napierać na moje. Głupio mi się zrobiło, że zajmuję sobą, najzdrowszym ze wszystkich pacjentów w poczekalni, tyle czasu, więc zacząłem udawać. Lewą ręką – tą, która rzeczywiście mnie bolała, stawiałem mniejszy opór i zacząłem się cofać. Liczyłem, że da mi coś na ten ból i puści do domu .

Tymczasem lekarz poprosił, bym poczekał na korytarzu, wezwał kolegę i długo dyskutowali. Spojrzenia innych oczekujących kłuły mnie jak bagnety. Patrzyłem to na podłogę, to na sufit, byle tylko nie patrzeć im w oczy.

Znów zostałem poproszony do gabinetu i tym razem obaj zaczęli się ze mną siłować. Co miałem robić? Żeby nie wyjść na idiotę, udawałem dalej. Po chwili lekarze wyszli do innego pomieszczenia. Przez otwarte drzwi widziałem, że rozmawiają z kolegami.

W końcu wrócili. Znów się ze mną siłują, wysyłają do poczekalni, dyskutują... Tym razem znacznie dłużej. Tu, na korytarzu, oburzenie rośnie, ludzie zaraz mnie chyba pobiją, a do tego jestem głodny i zły. Na siebie i na lekarzy. Najchętniej bym stąd uciekł. Co mnie podkusiło, żeby się przed nimi udawać? Nareszcie! Wzywają mnie z powrotem. Wchodzę i słyszę: „Wskazane byłoby zrobić tomografię komputerową głowy”. Zamurowało mnie. No to się dograłem. Udawałem, to mam!

– Jeśli się pan zgadza, to zrobimy badanie o osiemnastej.

Cały dzień zmarnowany, pracownicy sami, bez jedzenia i picia! Klnąc własną głupotę, wściekły na siebie, pocieszałem się, że to

już tylko dwie godziny. Udawałem, więc zrobią badanie, wszystko będzie w porządku i spadam stąd. Mimo że samo badanie było krótkie, na opis musiałem czekać. Wreszcie wezwano mnie do gabinetu.

– Proszę pana – zaczął ostrożnie lekarz – badanie wykazało, że w potylicznej części głowy ma pan powiększony mózg. Proponuję pozostać w szpitalu celem dalszych badań. Zrobimy jeszcze rezonans. Co pan na to? Osobiście radzę nie bagatelizować sprawy.

To jakiś żart? To niemożliwe! Mam chorą matkę, firmę, pracowników trzeba odwiedzić do domu, nie wierzę... To było tak, jakbym właśnie zderzył się z pociągami.

Umawiam się z lekarzem, że za kilka dni wrócę i zgłoszę się do kliniki. Jedziemy do domu w absolutnej ciszy. To nietypowa sytuacja, zazwyczaj żartom i opowieściom nie ma końca. Tym razem jednak nie mam ochoty na rozmowy. Chłopaki obserwują mnie i wiedzą już, że coś jest na rzeczy, coś poważnego, coś, czego dotąd jeszcze nie było, choć różne przydarzały się nam historie.

Znajomy lekarz, dzwoniąc, uspokaja mnie, że to nic groźnego, tylko powiększony mózg, to się często zdarza, taka moja uroda. Zapewnia: „Nic pan tam w tej głowie nie ma” i powtarza to kilka razy. W końcu sam się orientuje, co mówi, i obaj zaczynamy się śmiać.

Odradzał mi nawet ten rezonans, ale tym razem to ja się uparłem. Chciałem wiedzieć. Szybko pozafatwiałem najważniejsze sprawy, zaopatrzyłem mamę w zapasy jedzenia i leków na wypadek, gdybym dłużej miał zostać w szpitalu i stawiałem się na izbie przyjęć pełen obaw i jednocześnie nadziei, że wszystko będzie dobrze.

Humor szybko mi się poprawił, sąsiad z łóżka obok okazał się przesympatycznym i skorym do żartów kompanem. Nie tracił nadziei, mimo że był już po rezonansie i stwierdzono u niego guz mózgu. Guz był umiejscowiony międzypłatowo, z bardzo dobrym dostępem. W towarzystwie człowieka tak pełnego optymizmu łatwiej mi było czekać na moje badanie i wyniki. Przegadaliśmy prawie

całą noc. Jak dobrze w trudnej chwili spotkać takiego optymistę.

Badanie miałem o jedenastej, ale, jak zawsze, na wynik należało cierpliwie poczekać. Mój znajomy lekarz zadzwonił z informacją, że mam się nie oddalać, bo przyjdzie neurochirurg. Pojawił się w chwili, kiedy oglądając wiadomości, dyskutowaliśmy o polityce. Zidentyfikował mnie po karcie informacyjnej i z kamienną twarzą powiedział:

– Panie Romanie, zapraszam do gabinetu.

Najpierw usłyszałem, że tak jak podejrzewali, mózg jest powiększony, ale to nic groźnego. Przez ułamek sekundy byłem szczęśliwy. Fantastyczna wiadomość! Jestem zdrowy. Tylko dlaczego ten lekarz jest taki poważny? O co chodzi? Wtedy skończył zdanie:

– Ale w innym miejscu wykryliśmy guz, prawie dwa centymetry, i dodatkowe ogniska zapalne w pniu mózgu. To jest gwiazdziak – nowotwór.

Zesztywniałem. Czułem wyłącznie pustkę. Totalną pustkę, bez żadnej myśli, nawet szumu w głowie. Świat na chwilę przestał istnieć. Z tego stanu wyrwały mnie następujące słowa lekarza:

– Guz znajduje się w miejscu niedostępnym.

– Szansa na pomyłkę?

– Zero – odparł bez wahania.

– Operacja?

– Więcej szkody niż pożytku.

– Czy mam jakiegokolwiek szanse?

Lekarz spuścił wzrok i milczał.

– Z mojej strony to tyle – powiedział po chwili.

– Dziękuję, panie doktorze.

– Do widzenia.

Pustka powróciła. Wlokłem się do sali, słyszałem już głosy Waldka i innych pacjentów, ożywione w zażartej dyskusji. Zobaczył mnie i z miejsca zapytał:

– No jak tam? Jak wyniki? Gadaj!

– Waldku, żaden konflikt polityczny mnie już nie dotyczy. Nawet trzecia wojna światowa – odpowiedziałem matowym głosem.

Totalna pustka w głowie co chwilę zamieniała się w kotłowninę miliona myśli. Tyle spraw, tyle rozpoczętych inwestycji, tyle planów, tylu ludzi zależnych ode mnie... I znów powracała cisza. Czy dam radę wszystko poukładać? Tak mało czasu. Ciekawe, ile go mam. Tydzień? Miesiąc? Nieważne, i tak za mało... Teraz zrozumiałem te problemy z koncentracją. Mózg nie chce pracować, a ja mam tyle decyzji do podjęcia, tyle problemów! I znów czarna dziura. A za chwilę od nowa obłądny galop chaotycznych myśli. Trzeba umierać, zostawić tu, na ziemi, moje ukochane - córkę, narzeczoną, mamę... Tak mało spędziłem z nimi czasu, tyle pięknych chwil mnie ominęło i kolejne też mnie ominą. Nie zobaczę, jak córka dorasta, nie będę na jej komunii, osiemnastce, ślubie... Nie będę już „starym koniem”, na którym tak uwielbia jeździć... Tyle mnie ominie...

Przyjaciół wysłał mi SMS. Przeczytałem go zaraz po wyjściu z gabinetu.

„Kiedy zrobisz balkon? Nie wygłupiaj się, tylko rób balkon!”

Aleś, chłopie, wyczuł moment!

„Jestem w klinice, mam złą diagnozę”.

„OK, a co się dzieje? Pamiętaj o moim balkonie!”

SMS jak tysiące innych, jednak ten ze względu na moment był wyjątkowy. Wyrwał mnie na chwilę z myślowego chaosu i – jak się potem okazało – był pierwszym z całej serii wysyłanych do mnie w najbardziej odpowiedniej chwili, jaką można sobie wyobrazić. Trzeba mieć wyczucie czasu, a Rafał je miał.

Wyszedłem na klatkę schodową i zadzwoniłem do mojej narzeczonej. Starłem się z całych sił, żeby nie zorientowała się, że jest aż tak źle. Powiedziałem, że w rezonansie wyszły jakieś cienie, ale trudno stwierdzić, co to jest i czy to groźne. Nie zorientowała się, że kłamię. Łzy płynęły mi po policzkach, szczęka znieruchomiła, z wielkim trudem dokończyłem rozmowę. Udało się. Teraz się udało, ale co dalej? Wyobraźnia podsuwała mi wszystkie możliwe czarne myśli i obrazy: wymiotuję po chemioterapii, umieram, leżę nieprzytomny, najbliżsi nie mają co jeść...

Drugi telefon okazał się nieco łatwiejszy, chociaż głos i tak nie chciał wydobyć się z gardła. Rozmawiałem z Wojtkiem, znajomym, na którego działce źle się poczułem i który namówił mnie na badania.

– Za pół godziny będę u ciebie – rzucił. I rzeczywiście był.

Zostawił wszystkie sprawy i przyjechał mnie odwiedzić. Spotkailiśmy się w holu. Widziałem po jego twarzy, że jest przejęty. Nie mam pojęcia, jak wyglądałem. Choć wydawało mi się, że trzymam się dzielnie, głos mi drżał, a nogi, jak pożyczone od sklepowego manekina, ledwo mnie niosły. Bardzo się śpieszył, więc rozmawialiśmy krótko i pożegnaliśmy się serdecznie. Patrzyłem, jak odchodzi, i pomyślałem, że przecież to ja, nie on, odchodzę z tego świata. Tyle mieliśmy planów, tyle fajnych pomysłów, tyle niedokończonych spraw. Wszystko już nieaktualne. Już ktoś położył palec na przetączniku „off”, a mnie pozostaje czekać, kiedy go naciśnie. Byłem wdzięczny za odwiedzinę, a jeszcze bardziej za to, że nie próbował mnie pocieszać. I jeszcze za to, że nie patrzył na mnie jak na trupa, bo inni już to robili. Nie da się opisać słowami uczucia, które towarzyszy takiemu spojrzeniu.

Wracałem do sali, zastanawiając się nad wyjściem z sytuacji. Może kogoś znam albo ktoś zna kogoś, kto może mi pomóc. „Przeszukałem” wszystkich znajomych i znajomych znajomych, ale niczego nie wymyśliłem.

Przypomniałem sobie o moim szwedzkim przyjacielu i wspólniku. Za miesiąc mieliśmy zacząć duży projekt – budowę domków letniskowych nad morzem. Muszę go zawiadomić. Natychmiast. Zawróciłem i wyszedłem przed budynek. Słońce przygrzewało, stanąłem pod brzozą na trawniku i wybierając numer, powtarzałem w kółko: „Dam radę, dam radę, nie rozkleję się...”. Sygnał połączenia i głos Håkana:

– Hallooo, witaj Roman, co słychać, jak leci?

Wesoły, zadowolony z życia, gadatliwy Håkan, jak zawsze nawi-

jął za szybko. Ja tylko otworzyłem usta, ale głosu nie udało mi się wydobyć, gardło odmówiło posłuszeństwa.

– Halloo, Roman, słyszysz mnie!?

Nagle usłyszałem własny, choć nie mój głos, który wydobywał się przez zaciśnięte z całej siły szczęki. Håkan błyskawicznie się zorientował, że coś jest nie tak. Powiedziałem w kilku słowach, jak wygląda sytuacja. Znamy się blisko dwadzieścia lat i, choć bywało różnie, jeszcze nigdy nie było tak trudno.

– Nie przejmuj się budową ani innymi sprawami, zajmij się swoim zdrowiem i leczeniem.

– O leczeniu nie ma mowy – odpowiedziałem. – Jestem bez szans.

Zalałem się łzami, rozkleiłem na całego, nie zwracałem uwagi na przechodzących ludzi, chociaż kątem oka widziałem, że patrzą z zaciekawieniem na stojącego na trawniku faceta w piżamie, który płacze jak dziecko.

– Będzie dobrze – usłyszałem. – Zobaczysz, Roman, dasz radę. Damy radę, zobaczysz.

Przez wiele lat współpracy utarło się między nami powiedzenie „Vi fixa”, czyli: zrobimy, damy radę.

Zawsze, nawet przy najtrudniejszych pracach, nawet kiedy wydawało się, że to niemożliwe do zrobienia, nawet kiedy wszyscy twierdzili, że się nie da, my mówiliśmy: „Vi fixa!”. I zabieraliśmy się do roboty. Co ciekawe, nigdy nie ponieśliśmy porażki. Nasza współpraca to pasmo sukcesów, choć okupionych nadludzkim wysiłkiem. Zawsze udawało się pokonać wszelkie przeciwności. Mówię o paśmie sukcesów, ale mówię to z wielką pokorą. Zawsze wiedzieliśmy, że nie będzie łatwo, więcej – będzie bardzo trudno. Ale wiedzieliśmy też, że jeżeli każdy z nas da z siebie wszystko i zrobi wszystko, co tylko możliwe, to mamy ogromną szansę na sukces!

Zatem i teraz Håkan powtórzył:

– Roman, vi fixa, zobaczysz, vi fixa!

Jednak ja odpowiedziałem:

– Nie tym razem Håkan, niestety, nie tym razem, wybacz, tym

razem to niemożliwe... Rak mózgu to śmierć!

A ten swoje:

– Vi fixa! Powtórz, proszę cię, powtórz! Zobaczysz, damy radę, uda się na pewno.

Przegadywaliśmy się dłuższą chwilę, ja się broniłem, a on nie odpuszczał. W końcu zdołał mnie zmusić. Całkowicie bez przekonania, wyłącznie dla świętego spokoju powtórzyłem:

– Vi fixa! Damy radę...

Zmęczył mnie potwornie, aż byłem na niego zły. Pożegnaliśmy się potem szybko, poprosiłem tylko, żeby nikomu nie mówił, nawet swojej żonie. Rozłączyłem się i nagle poczułem, że mi ulżyło, najwyczejajniej w świecie ulżyło.

Wróciłem do sali i położyłem się na łóżku z myślą, że od samego dzieciństwa, zawsze kiedy chciałem zająć się czymś nowym – rzeźbiarstwem, grą na gitarze, malarstwem, czymkolwiek, wewnętrzny głos podpowiadał: „Nie rób tego, to nie dla ciebie, poczekaj, jeszcze przyjdzie na to czas, po czterdzieście będziesz mógł zajmować się czymś wielkim i pięknym”. Więc pracowałem i czekałem cierpliwie, lata mijały, a głos stale powtarzał: „Przed tobą tyle fajnych rzeczy, tyle dokonań!”. Zastanawiałem się, co to takiego będzie. Wreszcie stuknęło te czterdzieści lat, a tu zamiast tego wszystkiego, co mi obiecano, mam po prostu umrzeć. No ładnie, nieźle mnie ktoś wyrolował! Aż się uśmiechnąłem do siebie. Jaki ja byłem naiwny, że słuchałem tego głosu!

Do Waldka, mojego szpitalnego sąsiada, przyszła żona. Bardzo miła pani. Przyniosła mu obiad, przysiadła obok łóżka i sobie rozmawiali. W taki sposób, że aż przyjemnie było patrzeć i słuchać. Wyglądali, jakby poznali się niedawno, planowali dalsze leczenie, a ja patrzyłem z zazdrością. Do mnie nikt nie przychodził, bo prawie nikt nie wiedział, że jestem w szpitalu, a moja narzeczona wraz z trzyletnią córeczką mieszkała sześćset kilometrów stąd. Pomijając trudy dojazdu, nie wiedziała przecież, co mi jest. Byłem tylko na kilkudniowych badaniach kontrolnych, zaraz miałem wracać do domu i do życia.

Zastanawiałem się, co teraz zrobić. W zasadzie pogodziłem się z myślą, że umrę. Martwiłem się tylko o najbliższych. Jak ich zabezpieczyć i wyposażyć we wszystko, co potrzebne. Największy problem był z mamą. Tylko ja znałem przebieg jej choroby i miałem wiedzę o zastosowanych metodach leczenia. Czy zdążę to komuś przekazać i czy po mojej śmierci rodzina będzie wiedziała, jak kontynuować leczenie? Zastanawiałem się, czy jest jakiś sposób, żeby mogli zasięgnąć ode mnie informacji, kiedy już umrę.

Nagle błysk – mam! Mogą przecież napisać SMS! W jednej chwili uszło ze mnie całe powietrze, załamane się. Jak mogło przyjść mi do głowy coś tak głupiego! Pisać do mnie SMSy, kiedy już nie będę żył?! W jakim stanie jest mój mózg, skoro pracuje w ten sposób?! Skoro umysł podsuwa mi takie pomysły, to jak ja się uporam z moimi problemami?! Tyle ich jest, a ten zamiast pomagać, jeszcze utrudnia. Trzeba to jasno powiedzieć, że po prostu robi mnie w konia!

Z głębokiego zamyślenia wyrwał mnie głos żony Waldka i zaczęliśmy rozmawiać. Widziałem po ich twarzach, że chociaż jesteśmy sobie całkowicie obcy, bardzo mi współczują.

Jeszcze kilka godzin wcześniej to Waldek był w trudniejszej sytuacji, to ja mu próbowałem pomóc. Teraz role całkowicie się odwróciły. Kto pisze scenariusze ludzkiego życia?! Człowiek nie wymyśliłby takich zwrotów akcji, tak zaskakujących zdarzeń.

Kiedy Waldek został sam, zaczęliśmy rozmawiać. Rozmowa powoli się rozkręcała, pojawiły się nawet żarty, ale ja cały czas czułem się tak, jakbym unosił się w powietrzu, jakbym leżąc, nie dotykał łóżka. Waldek opowiadał o biznesach i podróżach po świecie, a zwłaszcza po Azji. Patrzyłem na niego z podziwem. Ile w nim było zapału, ile chęci do życia! Facet w ogóle nie przejmował się chorobą, nie załamywał. Bardzo rzadko spotyka się ludzi z tak pozytywnym nastawieniem. Rozważał głośno możliwe warianty. Jeśli podczas operacji nastąpią jakieś komplikacje, jeśli straci wzrok w jednym oku, słuch albo nawet władzę w którejś z rąk, to przecież i tak będzie mógł nadal pracować. Nawet jeśli

nie będzie mógł mówić, to będzie pisał na komputerze. Analizował wszystkie możliwości z taką pewnością siebie, że nie sposób było wątpić w powodzenie. Ja miałem znacznie gorszą diagnozę, w dodatku bez szans na operację...

Zbliżał się wieczór, ale nie chciało nam się spać. Waldek poprosił pielęgniarkę o coś na sen i połknęliśmy po małej tabletkce, jednak mimo to gadaliśmy niemal do rana. Sen przyszedł nagle i przyśniło mi się, że to wszystko jest tylko urojeniem. Cieszyłem się ogromnie, że zaraz się obudzę, otworzę oczy i będzie inaczej. Pod wrażeniem koszmaru obiecywałem sobie, że od dziś zmienię całkowicie swoje życie, żałowałem, że do tej pory zrobiłem tyle rzeczy, których robić nie powinienem. Dobrze, że śni mi się ten koszmar. Tak wiele dzięki niemu zrozumiałem, zyskałem szansę, by resztę życia przeżyć jako lepszy człowiek. Rozsadzała mnie radość ogromna, nie do opisanania.

Nagle krótkie i ostre „piiiip” tuż przy mojej głowie. Radość znikła, jej miejsce zajmują smutek i strach. Jeszcze zanim podniosę powieki, wiem, że coś jest nie tak! Otwieram oczy i słyszę: „Trzydzieści sześć stopni, reszta w normie”. A więc ten koszmar to nie był zły sen. Nie śpię, jestem w szpitalu i mam guz mózgu. Znowu pustka i miliony myśli wlewające się szeroką strugą do głowy. Nie będę mógł się zmienić ani naprawić błędów, nie będę patrzył, jak dorasta moja córka...

Czy można powiedzieć, że się załamałem? Sam nie wiem. Nie płakałem, nie krzychałem, nie broniłem się ani nie buntowałem. Jak się wtedy czułem? Otóż nie czułem się w ogóle. Nie czułem smutku, tylko brak radości, brak uśmiechu i brak szczęścia. Brak tego, co dobre, optymistyczne i pozytywne. I brak nadziei. To było gorsze od wszystkiego. Tak jak gorszy jest brak wody od posiadania brudnej wody. Mając brudną wodę, możemy jeszcze coś zrobić – przefiltrować, oczyścić, w ostateczności wypić tę brudną z nadzieją, że nam nie zaszkodzi.

Nie mam pojęcia, skąd wzięła się ta pustka. Przez całe życie miewałem przecucia, sny. Często słuchałem intuicji, która zawodziła niezwykle rzadko. A w tym, tak ważnym momencie, kiedy tak bardzo potrzebowałem jakiegokolwiek pomocy lub wskazówki, nie było nic. Zostałem zupełnie sam. Zacząłem się zastanawiać, ile jeszcze mam czasu? Miesiąc? Rok? Czy dożyję Bożego Narodzenia i Nowego Roku? Przed oczami przesuwały mi się daty i nagle poczułem, że nie dożyję nawet Święta Zmarłych. A więc nie mam dużo czasu. Wiedziałem na przykład, byłem tego pewien tak, jakby mi to powiedział ktoś bardzo wiarygodny, że 1 listopada już mnie tu nie będzie. Widziałem, jak moi bliscy palą znicze na moim grobie.

Zdaję sobie sprawę, jak strasznie trudno to opisać, i zastanawiam się, czy gdyby ktoś mi tę historię opowiadał, zrozumiałbym, o co w niej chodzi. Kompletna pustka i lawina myśli w tej samej chwili. Tysiące pytań. Kiedy odejdę? A może pojawi się jednak jakaś szansa na odzyskanie zdrowia? Dziwne uczucie...

Kolejny dzień. Tabletki, kroplówka, zastrzyki. Nie wiem co i po co, nawet nie pytam. Pojawia się mój znajomy – lekarz. Słyszę strzępy rozmów z innymi lekarzami. Prosi i naciska, żeby coś ze mną robili. Przychodzą, czytają moją kartę, mruczą coś pod nosem, wychodzą, wracają. Znikają na dłuższy czas, zajęli się kimś innym, mam spokój. I tak wiem, widziałem ich miny, że nie usłyszę niczego optymistycznego, a to, co ze mną tu robią, jest całkowicie zbędne. Wreszcie pojawia się ten miły, młody lekarz, który zajmował się mną na samym początku i tak trafnie mnie zdiagnozował. Widzę, że bardzo się przejął moją chorobą i robi, co w jego mocy, żeby mi pomóc, a przynajmniej przekazać jakąkolwiek dobrą wiadomość.

– Proszę pana, jest jedna nadzieja – mówi – może się okazać, że to guz wolno rosnący. W takim przypadku pacjenci żyją od kilku do kilkunastu lat.

Uczepiłem się tej myśli tak kurczowo, że nie słuchałem już wewnętrznego głosu, który krzyczał: „To nie jest wolno rosnący guz, nie pożyjesz długo!”.

Przecież zawsze miałem w życiu fart, więc i tym razem spadnę

na cztery łapy. A głos swoje: „Nie tym razem, nie tym razem...”.

Pojawili się kolejni lekarze. Oglądali, słuchali, pytali po kilka razy o to samo. Zastanawiałem się nawet, czy to mnie sprawdzają, czy sami mają problem z pamięcią. Możliwość, że jest to guz wolno rosnący, bardzo szybko stała się wersją oficjalną. Postanowiono, że zostają jeszcze dzień lub dwa na obserwacji. Taka wersja i mnie bardzo odpowiadała, nie powiem, nawet ucieszyła. Rok, dwa, a może nawet pięć? Mój Boże, jaki to szmat czasu! Na pewno go nie zmarnuję. Chciałbym żyć jak najdłużej, ale jeśli dostanę rok, to też będzie wspaniale. Kolejne dni wypełniłem tą nadzieją i radością.

Dziś, kiedy wracam myślami do tamtych chwil, odkrywam wiele ciekawych wątków. Na przykład to, że już nie myślałem: nie chcę umrzeć. Nie chciałem tylko odejść nagle, pozostawiając niezafiniowane sprawy i nierozwiązane problemy, które spadłyby na innych. Rok! Cały rok! Niesamowite! Będę żył rok albo dłużej! Rok!!! Powtarzałem w myślach to słowo tysiące razy. Nie mogłem z nikim podzielić się tą radością, ale dla mnie to nie był tylko rok, to był aż rok. Postanowiłem przeżyć cały rok, a może dłużej!

Żona Waldka znów przyniosła frykasy domowej roboty. Już wstawałem, żeby wyjść z sali i nie przeszkadzać, ale zostałem poczęstowany i zaczęliśmy rozmawiać. Tak mi się dobrze z nimi rozmawiało. Kto leżał w szpitalu, ten wie, że nie zawsze trafiamy na fajnych sąsiadów. Miałem szczęście. W tej tak trudnej dla mnie chwili było to wyjątkowo ważne. Żałowałem, że poznałem ich tak późno, dopiero teraz, kiedy moje życie się kończy. W innych okolicznościach nasza znajomość przetrwałaby lata. Wielu rzeczy teraz żałowałem, a zwłaszcza tego, czego już nie zrobię. Rozmyślałem też o tym, że nie ma ludzi niezastąpionych i moje miejsce z pewnością długo nie będzie puste. A wszystkich moich planów i projektów nikt nie zrealizuje tak, jak ja bym sobie tego życzył. Moje myśli uparcie powracały także do rodziny. Nie raz się zastanawiałem, ile pociągnę i zakładałem, że minimum do sześćdziesiątki, a tu czterdziestka i żegnaj, Romanie. To niespra-

wiedliwe, że nikt mnie nie uprzedził, abym nie robił tak wielu planów na przyszłość. Tyle mam do zrobienia, a tu trzeba umierać. Nie, to nie może tak być. Ja tak nie chcę. No dobrze, moje plany zapewne nie są najważniejsze, ale rodzina mnie potrzebuje. Ja może nawet coś sobie na to zasłużyłem, może i przyczyniłem się do tej sytuacji, ale czym zawiniła moja trzyletnia córeczka, dlaczego ma się wychowywać bez ojca, tak jak kiedyś ja. Tyle że ja miałem przynajmniej te dwanaście lat... No i co będzie z moją narzeczoną?

Szukałem przyczyny mojej choroby. Nie kogoś lub czegoś, na co mógłbym zwalić winę za to wszystko, ale przyczyny. Chociaż jej znalezienie nie zmieniłoby mojej sytuacji – tak wtedy uważałem. Nie piłem prawie wcale, papierosy też od przypadku do przypadku. Nie miałem pojęcia, że przyczyny mogą być całkiem inne...

Kilka telefonów i parę załatwionych spraw. Nieco spokojniejszy powoli ogarniałem sytuację. Na tyle, na ile mogłem. Wróciła myśl o odpoczynku i urlopie. Krynica, tylko Krynica! Już czułem smak wód mineralnych, które uwielbiam. I choć większość ludzi ma problem z ich zapachem, ten smak często mi się śni.

Ogólnie czułem się nie najgorzej. Kilka dni bezczynności zrobiły swoje. Jak pobędę w uzdrowisku, to dopiero stanę na nogi. Przelicyłem szybko, co zostało do zrobienia i ile potrzebuję na to czasu, i zadzwoniłem do narzeczonej z prośbą, żeby zajęła się organizacją pobytu w Krynicy.

Zaprzagnąłem jak najszybciej opuścić to miejsce. Nie chcę tu wracać nigdy więcej. W moim przypadku było to zresztą bardzo prawdopodobne. Na tym etapie choroby już nic nie można zrobić, nawet jeśli będzie ze mną gorzej, oni na pewno mi w niczym nie pomogą. Marnuję tu tylko bezcenny czas, którego zostało mi tak mało.

Lekarz prowadzący poinformował mnie, że następnego dnia zostaną wypisany. Ucieszyłem się ogromnie i od razu umówiłem się z moim przyjacielem. Do niego mam zaufanie. Jest jednym z dwóch lekarzy, którym naprawdę wierzę. Wiele razy pomagał mnie i moim bliskim przy różnych dolegliwościach – od pękniętych

wrzodów na dwunastnicy po raka jelita grubego – zawsze z bardzo dobrym wynikiem.

Zdawałem sobie jednak sprawę, że tym razem mamy znacznie poważniejszy problem. Ten problem dotyczy mnie, a guz ogranicza w znacznym stopniu moją zdolność koncentracji i logicznego myślenia. Ból nogi, ręki, serca czy żołądka z pewnością przeszkadza w myśleniu, jednak ból głowy, w dodatku spowodowany nowotworem, uniemożliwia nie tylko podejmowanie jakichkolwiek decyzji, ale i samo myślenie. Pocieszałem się, że jak tylko wyjdę z kliniki, od razu pójdę do mojego lekarza, a potem odpocznę w Krynicy i będzie dobrze. Po prostu musi być!

Ostatni wieczór i noc tego szpitalnego koszmaru upłynął mi, jak zwykle, w towarzystwie Waldka, który zostawał jeszcze na obserwacji. Wyznaczono mi termin operacji na koniec sierpnia, a ja miałem tylko za trzy miesiące zrobić badanie kontrolne – MR głowy. Ten odległy z mojej perspektywy termin nieco mnie pocieszył. Czyli lekarze wiedzą, że do tego czasu nie umrę. Gdyby było aż tak źle, wyznaczyliby mi termin za dwa, trzy tygodnie. Góra – za miesiąc!

Ale już wkrótce się okazało, jak bardzo byłem naiwny.

Piiiiip, piiiip – znów ten koszmarne dźwięk tuż przy głowie. Otwieram oko, no tak, już poranek, już strzela do mnie z laserowego termometru postać w białym fartuchu. Dlaczego nie można wyłączyć tego cholernego dźwięku?

W jakim celu ci wszyscy chorzy i umierający katowani są dodatkowo jeszcze tym wstrętnym „piiiip”? Jak dobrze, że to już ostatni raz.

Nie mogłem się doczekać chwili opuszczenia kliniki. Mojej radości nie przyćmiło nawet kilkugodzinne oczekiwanie na wypis. Łzy w oczach miałem tylko w chwili pożegnania z Waldkiem, człowiekiem, który swoimi opowieściami tak mi umilił szpital i który bezustannie podnosił mnie na duchu. Akurat dziś przy łóżku siedziały dwie jego córki, bardzo miłe i ładne dziewczyny. Przeprosiłem, że

przeszkadzam, i żegnając się z towarzyszem niedoli, próbowałem się przy tym uśmiechać. Na koniec zaproponowałem:

– Waldek, za rok o tej samej porze widzimy się w Pekinie, na Tiananmen, placu Niebiańskiego Spokoju. Co ty na to?

Waldek, ściskając mi dłoń, odpowiedział:

– Dobry pomysł, może być!

– Ale pamiętaj, żebyś tam był – dodałem

– Będę.

– Ja też będę, na pewno. Tylko nie zapomnij, Waldek. Nie zapomnij!

– Nie zapomnę. Roman, jeśli ty tam będziesz, to i ja będę.

Ściskając mocno jego dłoń i patrząc mu na odchodnym prosto w oczy, pomyślałem: ty tam będziesz, i to na pewno, a ja wtedy już dawno będę w grobie. Jednak w chwili, kiedy proponowałem to spotkanie, przez sekundę czułem, że rzeczywiście tam będę. Ale czarne myśli natychmiast przesłoniły ten promyk nadziei. Puściłem jego dłoń, pożegnałem się z dziewczynami i wychodząc z sali, odwróciłem się, byjeszcze raz powtórzyć:

– Trzymam cię za słowo. Masz tam być!

– Będę na pewno – odpowiedział Waldek i uśmiechnął się serdecznie. Ale widziałem w jego oczach, że mówi tak tylko po to, żeby nie sprawić mi przykrości.

Takich Waldków nazywam ludźmi-aniołami. Zjawiają się w trudnych chwilach, niby przypadkiem, właśnie wtedy, kiedy potrzebujemy pomocy, porady lub choćby zwykłej rozmowy. Ludzie-anioły robią, co do nich należy, a potem nagle znikają, by znów się kiedyś pojawić, albo pozostają naszymi przyjaciółmi na długie lata i wspierają nas już samą obecnością. Świadomość, że są, choćby na drugim końcu świata, pomaga i dodaje sił. A może jest tak, że w każdym z nas ukryta jest anielskość, choć nie zdajemy sobie z tego sprawy.

I w momencie, kiedy próbuje się ona ujawnić, my jej na to nie pozwalamy. Uważam, że nie ma złych ludzi. Różnimy się tylko tym, w jakim stopniu nie dopuszczamy anielskości do głosu.

Zaraz po wyjściu z kliniki udałem się w moje rodzinne strony. Kilkudniowy odpoczynek od pracy i radość z opuszczenia szpitala, dodały mi sił. Coraz bardziej nabierałem przekonania, że wszystko będzie OK. Odwiedziłem znajomego lekarza – Darka. Przez telefon powiedziałem mu, że mam problem, ale nie wyjaśniłem, o co chodzi. Wziął do ręki moje wyniki i znieruchomiał. Zmarszczył czoło i zapytał: „Ale wiesz, co to jest?”. Odparłem, że tak, i zaczęliśmy się zastanawiać, z czego się to wzięło. Przypomniałem sobie, że kilka miesięcy wcześniej, podczas remontu restauracji w Szwecji, spadająca ze ściany szafka uderzyła mnie w głowę w okolicy tego miejsca, gdzie zdiagnozowano raka. Więc...? Istniało zatem duże prawdopodobieństwo, że to tylko krwiak. To mnie podbudowało i natychmiast zadzwoniłem do Wojtka, żeby go poinformować o nowych odkryciach. Ucieszył się bardzo, mimo że były to nadal tylko przypuszczenia, ale moje ogólnie dobre samopoczucie utwierdzało nas w przekonaniu, że jest lepiej, niż wskazywały wyniki badań.

Pod wieczór przyjechał do mnie mój przyjaciel Mietek. Zadzwoniłem do niego i poinformowałem o moim stanie zdrowia, a on natychmiast rzucił wszystko i najszybciej jak się dało, przyjechał po prostu pogadać. Przyjechał, a może przyleciał, bo to jest właśnie jeden z tych skrzydlatych, którzy zjawiają się, by nas wspierać. Rafał, Waldek, Wojtek, Mietek... Lista zaczynała się wydłużać. Wojtek dzwonił kilka razy dziennie z pytaniem, jak się czuję, albo po prostu pogadać. Z Mietkiem dość długo rozmawialiśmy w jego samochodzie. Pożegnaliśmy się serdecznie i pojechał, a ja czułem, że nie jestem sam, że są ludzie, których interesuje, co się ze mną dzieje. I są ze mną nie tylko wtedy, kiedy jest wesoło i pięknie, ale również w trudnych chwilach.

Dni szybko mijały, a mój nastrój zmieniał się tak często, że samemu trudno mi było w tym wszystkim się połapać. Spałem dobrze, apetyt mi dopisywał, nic mnie nie bolało, dym odsunął się na jakieś dwieście, trzysta metrów, więc nie zwracałem na to uwagi. Nadszedł poniedziałek. Wstałem jak zawsze

o trzeciej trzydziści i pojechaliśmy z chłopakami do pracy. Do dziewiątej wszystko było dobrze. Nagle poczułem się bardzo źle, tak jakbym się czymś zatruł. Kręciło mi się w głowie, zbierało na wymioty, traciłem czucie w dłoniach i całym ciele. Powróciło to okropne uczucie rozdwojenia, jakbym wychodził z siebie. Moje ciało znów przestało za mną nadążać, tak jakbym składał się z dwóch warstw – tej powstałej z materii i tej drugiej - z czegoś jeszcze, co tę materię wypełniało. Jakiegoś osobnego Ja.

Zadzwoiłem do mojej znajomej, która nieźle orientuje się w medycynie. Opisałem mój stan.

– Proszę, ratuj mnie, zrób, co tylko możesz, ale ratuj!

– Roman, po tym co powiedziałaś... Stan, w jakim jesteś... Ja nie mogę nic zrobić – odpowiedziała ledwo słyszalnym szeptem.

Wystraszyłem się bardzo, ba, spanikowałem. Pierwszy raz w życiu poczułem lęk, nad którym nie umiałem zapanować. Znów miliardy czarnych myśli – lawina błota. Jednak jest naprawdę źle! Położyłem się w samochodzie, usiłując odpocząć. Trudno było nazwać to odpoczynkiem. Trochę spałem, trochę drzemałem. Budziło mnie szalejące w głowie tornado. Szukałem przyczyny tak nagłego pogorszenia. Od wyjścia ze szpitala minęło kilka dni, pewnie przestały działać środki, które mi tam podawali, a pobudka w środku nocy i powrót do pracy zrobiły swoje. Po kilku godzinach poczułem się zaledwie odrobinę lepiej.

Jeszcze kilka dni i będę w Krynicy z moimi dwiema ukochanymi kobietkami – ta myśl wypełniała mi głowę, ale zaraz dołączyła do niej druga, i ta przyprawiła mnie niemal o paraliż. Muszę wyznaczyć mojej narzeczonej całą prawdę! Jest tyle spraw, w które muszę ją wprowadzić. Będzie musiała sobie z tym wszystkim poradzić, kiedy mnie zabraknie. Ale kiedy i jak to zrobić? Przecież to będzie dla niej straszny szok. Gdy tylko jej to powiem, zacznie się koszmar. Każda chwila stanie się udręką. Jak to zrobić najodpowiedniej i w sposób najmniej bolesny? Nigdy nie bałem się wyzwania i trudnych spraw,

ale tym razem to, że mam ukochanej osobie powiedzieć: „Słuchaj, zdiagnozowano u mnie raka mózgu i niedługo umrę”, było ponad moje siły. Kiedyś będę musiał to powiedzieć, ale strach przed tą chwilą obezwładniał. Samej śmierci bałem się wtedy mniej niż tego, że będę musiał ujawnić tę straszną tajemnicę. Postanowiłem, że postaram się to przeciągać, ile zdołam. Ale z drugiej strony wiedziałem, że nie mogę za długo czekać, ponieważ muszę być w dobrym stanie, na tyle żeby móc przekazać wszystko ze szczegółami. Wszystkie działania, jakie trzeba podjąć po mojej śmierci... Hmm... a jeśli umrę nagle, we śnie?

Z godziny na godzinę czułem się lepiej, więc i myśli, te najczarniejsze, pojawiały się rzadziej. Każda myśl, że jest lepiej, sprawiała, że czułem się lepiej, a z każdą, że jest gorzej – było gorzej. Przekonałem się na własnej skórze, jak bardzo wrażliwy jest organizm na to, co podpowiada psychika. Wystarczy jedno słowo, jeden gest, jedno spojrzenie, a skutki mogą być nieobliczalne. To był dopiero początek lekcji, które zacząłem pobierać od życia.

Kolejne dni wyglądały podobnie. Rano czułem się lepiej, a po kilku godzinach znacznie gorzej. W południe odpoczywałem dwie godziny, śpiąc lub leżąc, co powodowało, że znów było nieco lepiej. Wieczorem robiło się chłodniej i to też pozytywnie wpływało na mój organizm. Dym zbliżał się i oddalał, a ja w wyobraźni już spacerowałem po deptaku w Krynicy albo siedziałem w parku, popijając wodę i aż do bólu wypełniając płuca świeżym, górskim powietrzem.

Nareszcie zakończyliśmy prace. Radość ogromna. Spotkałem się z Wojtkiem na jego działce, staliśmy pod tarasem i rozmawialiśmy głównie o mnie. Poprosiłem go, żeby mnie obserwował i uważnie słuchał, co mówię, a kiedy zauważy coś niepokojącego, powiedział: „Roman, już czas”. Nie wiem, co to miało znaczyć, nie mam pojęcia, dlaczego tak powiedziałem. Żegnaliśmy się, płacząc. Czułem, a nawet wiedziałem, że widzimy się po raz ostatni. Następnego dnia miałem jechać na urlop, a potem już prosto na Dolny Śląsk, czyli do domu. Pozostali znajomi, żegnając się ze mną, nie mieli po-

jęcia o niczym i jak zawsze pytali, kiedy znów przyjadę. Wszystko wskazuje na to, że nigdy – odpowiadałem, ale brali to za kolejny mój żart. Śmiali się, a ja zaciskałem szczęki i powieki, żeby nie płać.

Krynica powitała nas wymarzoną pogodą i rześkim powietrzem. Prawie pobiegłem do pijalni, żeby jak najszybciej zażyć moich ulubionych płynnych minerałów. Od razu poczułem się lepiej. Noc przespałem jak niemowlę, wstałem rano i znów do pijalni. W kilka minut pokonałem dystans ośmiuset metrów. Tak dobrze się czułem. Jeśli w takim tempie odzyskuję siły, to za dziesięć dni będę jak nowy. Wróciłem radosny, czarne myśli odleciały. Nazajutrz było jeszcze lepiej. Jednak Krynica to Krynica! Zaraz po śniadaniu zadzwoniłem do Wojtka i zdałem mu relację z mojego samopoczucia. Bardzo się ucieszył, śmialiśmy się i żartowaliśmy tak jak kiedyś. Spacer, woda, basen... ten wyjazd to był strzał w dziesiątkę! Poszedłem spać w wyśmienitym humorze.

Następnego poranka czułem się trochę dziwnie. Niby nic, a jednak. Córka oświadczyła, że idzie ze mną do pijalni. W praktyce oznaczało to, że będę ją niósł w obie strony. Nic takiego, codziennie ją nosiłem. Wziąłem ją na barana i ruszyliśmy w kierunku źródeł.

Jest mi źle. Już po dwustu metrach wiem, że coś jest nie tak. Ciągle przystaję, poprawiam ją, zalewa mnie pot, cierpnie szyja i czuję dziwny ucisk wewnątrz czaszki. Próbuję iść dalej, ale po kolejnych stu metrach zdejmuję małą z ramion i proszę, żeby szła sama. Oczywiście protestuje i prosi, żebym niósł ją dalej. Podejmuję próbę po kilku minutach, ale kolejne sto metrów i jestem zupełnie bez sił. Tym razem dziecko zgadza się iść samo i w dalszą drogę ruszamy, trzymając się za ręce.

Dotarliśmy do pijalni, zimna woda nieco złagodziła moje dolegliwości, ale w drodze powrotnej znów poczułem, że tracę siły. Bardzo powoli i z wieloma przystankami wróciliśmy do hotelu.

Padłem na łóżko ledwie żywy. Nowy objaw – parcie mózgu na czaszkę, zwłaszcza w jednym miejscu. Tego do tej pory nie było. Zmartwiłem się – jednak nie będzie ze mną dobrze. I jak zwykle natychmiast zacząłem sobie wszystko tłumaczyć. Nic dziwnego. Za dużo codziennie nosiłem córkę na ramionach, a przecież jestem przemęczony.

Wytłumaczenie, owszem, znalazłem, ale cóż z tego, skoro nie tylko nie czułem się lepiej, ale wręcz gorzej. Następnego dnia ucisk nie znikł, lecz się nasilił. Coś rozpychało się w mojej głowie, miałem mdłości jak na karuzeli. Uczucie parzenia ostatecznie przekonało mnie, że to wszystko nieuchronnie zmierza w oczywistym kierunku. Córeczka jakby coś przeczuwała. Bez przerwy chciała być ze mną. Nosząc ją na barana, bałem się, że zaślinię i przewrócę się razem z nią. Zaciskałem zęby i brałem ją na rękę, mając świadomość, że może to ostatni raz. Coraz precyzyjniej odczuwałem, gdzie w mojej głowie znajduje się guz. Wiedziałem, że w pewnym momencie coś pęknie – naczynie krwionośne albo właśnie sam guz – i będzie już po Romanie. Chciałem, żeby póki jeszcze czas, moja córka była jak najszcześniejsza. Dlatego wszystkie jej prośby i życzenia spełniałem natychmiast, nie zważając na ból.

W hotelu poznaliśmy panią Monikę i jej dwóch synów. Spotykaliśmy się z nimi przy śniadaniu, a potem większość dnia także byliśmy razem. Na wycieczkach, na basenie. Miło spędzaliśmy czas, a mój rak z nami. Kiedy sobie o nim przypominałem, czułem się jeszcze słabiej. Wracwały i krążyły z coraz większą prędkością wciąż te same myśli: jak to, dlaczego? Przecież mam tyle planów, tyle obowiązków! Co z moją intuicją? Zawsze była niezawodna, a w najważniejszej sprawie mojego życia uknuła przeciw mnie spisek.

Czułem się zdradzony. Złościłem się na własną bezsilność i bezsilność całej medycyny. Ja, który zawsze twierdziłem, że nie ma rzeczy niemożliwych, że nie ma sytuacji bez wyjścia, stoję przed taką właśnie sytuacją i coraz bardziej wierzę, że naprawdę nie ma wyjścia! W tej chwili każda próba uśmiechnięcia się była dla

mnie porównywalna z wydobywaniem się z głębokiej studni na powierzchnię, w stronę światła.

Dni mijały. Zauważyłem, że pojawił się nowy problem. Coś zaczęło się dziać z moją pamięcią. Jakby wyłączono z niej zapis. Nie pamiętałem niektórych rozmów i zdarzeń. Nie tyle tematu rozmowy, ile tego, że w ogóle miała miejsce. Straszny jest moment w życiu, kiedy sobie uświadamiamy, że to nie żarty. Po prostu nie wierzyłem, że mam umrzeć. Bardzo ciężko opisać ten stan. Ten milion myśli na sekundę, splątanych i wykluczających się nawzajem.

W takim stanie dotrwałem do końca pobytu w Krynicy A.D. 2014. Pamięć rwała się coraz bardziej. Umysł wydawał polecenia, ale ciało wykonywało je z coraz większym opóźnieniem albo w ogóle odmawiało posłuszeństwa.

I zauważałem to dopiero po jakimś czasie. Jednocześnie stałem się dziwnie obojętny i nieobecny, wszystko docierało do mnie jakby przez grubą warstwę gąbki, ponadto stale miałem mdłości, tak jak przy silnym zatruciu. Czułem, że mam w sobie coraz więcej tych „zatrutych” komórek, moje ciało powoli umierało. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałem i nie analizowałem tak szczegółowo, jak to jest, kiedy się umiera. Najciekawsze, że nikt wokół mnie tego nie zauważył, nikt nawet nie przypuszczał, co się ze mną dzieje – ludzie zajęci są sobą – a ja się wewnątrz jakby gotowałem.

Postanowiliśmy ostatnie dni urlopu wykorzystać na wypad w moje rodzinne strony. Bardzo tego pragnąłem. Widziałem, co się ze mną dzieje, chciałem więc spotkać się jeszcze raz i pożegnać ze znajomymi, z rodziną, a zwłaszcza z mamą. Bardzo szybko przyszło mi żałować tej decyzji. Z każdą chwilą czułem się gorzej. Wydawało się, że gorzej być nie może, a jednak mogło. I było. Już tylko przez krótkie chwile czułem się odrobinę lepiej.

Rozmawiałem z mamą i myślałem: masz ponad siedemdziesiąt lat i jesteś pewna, że pierwsza odejdziesz z tego świata, a tymczasem to ja niebawem umrę... Mama, jak to

mama, coś tam mówiła, układała związane ze mną plany, a ja tylko kiwałem głową, że się zgadzam. Żebyś ty wiedziała, co się niebawem zdarzy – myślałem, sam przecież nie wiedząc, co tak naprawdę może się wydarzyć. To ciężkie przeżycie, kiedy przy pożegnaniu pada pytanie: „To kiedy znów przyjedziecie?”, a ty wiesz, że żegnasz się na zawsze. Stał mi przed oczami obraz Ojca Świętego Jana Pawła II, kiedy odlatywał z Polski, wiedząc, że to już ostatni raz. Już w wejściu do samolotu odwrócił się i po raz ostatni spojrzął na swoją kochaną ojczyznę.

Ja żegnałem się z moją małą ojczyzną, miejscem gdzie się urodziłem, wychowałem i spędziłem większość życia. Serce pękało mi z żalu, gdy patrzyłem na mamę. Zawsze wierzyłem, że będzie mi dane opiekować się nią do końca jej życia. Uściskałem ją bardzo mocno, a ona, jak zawsze, powtórzyła: „Romuś, tylko przyjedź za niedługo” i jednym tchem wymieniła całą listę spraw, które mam jej załatwić. Zawsze tak robiła, a ja wiedziałem, że to pretekst, żebym wrócił jak najszybciej i został jak najdłużej. Nie miałem jej tego za złe, wiedziałem, że bardzo nie lubi być sama. Więc i tym razem obiecałem, że przyjadę.

Zanim wsiadłem do samochodu, patrzyłem dłuższą chwilę na wszystko dookoła – domy, ptaki, ludzi, nawet kosze na śmieci i publiczną toaletę. Patrzyłem na kościół, w którym przyjąłem chrzest i komunię i w którym jako młody chłopak byłem ministrantem. Tysiące obrazów z mojego życia, cały film pocięty na klatki, rozrzucone i znów przypadkowo, byle jak poskładane, przesuwał się przed moimi oczami. To było nawet przyjemne, zobaczyć chwile z dzieciństwa i młodości.

Obok kościoła jest szkoła, w której spędziłem pięć lat. Tysiące wspomnień. Po uliczkach mojego miasteczka biegaliśmy z kolegami, spacerowaliśmy z koleżankami i uciekaliśmy nauczycielom w dzień wagarowicza, czasem gdzieś za rogiem popalając coś z filtrem.

Wsiadłem do samochodu i trzasnąłem drzwiami, nie dając po sobie poznać, że jestem bliski łez. Miasto Świętej Anny leży nad

Wisłą, więc za chwilę byliśmy już na moście. Ostatnie spojrzenie na biały, skalisty brzeg i domy pięknie wkomponowane w zieleni. Tyle razy odjeżdżając stąd, podziwiałem ten widok i patrzyłem na królową naszych rzek, napawając się jej pięknem. Teraz i na nią patrzę po raz ostatni. Serce ścisnęło coraz mocniej.

Nagle usłyszałem głos mojej narzeczonej:

– A może w drodze do Wrocławia wstąpimy do Częstochowy?

Tak, oczywiście, że tak! Jak mogłem o tym nie pomyśleć! Jak mogłem zapomnieć? Muszę tam być, muszę się pożegnać z Matką Bożą Częstochowską. Tyle razy tam byłem, tyle razy zostałem wysłuchany. Muszę pojechać i podziękować za wszystkie łaski! Że sam na to nie wpadłem! Wyjechaliśmy wcześniej, więc mamy czas. Około szesnastej powinniśmy być na Jasnej Górze.

Chwilowa poprawa nastroju wywołana tym spontanicznym planem nie zmienia mojego bardzo złego samopoczucia. Tak źle nie czułem się jeszcze nigdy. Odnoszę wrażenie, że mam pięćdziesiąt stopni gorączki. Z trudem, choć jestem tylko pasażerem, wytrzymuję w samochodzie. Jak na złość jedziemy bardzo powoli - a to roboty drogowe, a to popsuty samochód, rowerzysta, kombajn, furmanka... Czas mija, a drogi nie ubywa. Mój stan się pogarsza. Czyżbym dziś miał umrzeć? Chciałbym zdążyć chociaż do Matki Bożej... Czemu ci wszyscy ludzie mówili się przeciw mnie? Nigdy dotąd nie spotkałem tylu drogowych przeszkód naraz, pieszych, rowerzystów, traktorów, psów, kotów... Co za dzień! Na czterogodzinnej trasie dwie godziny opóźnienia – to sporo, zwłaszcza w mojej sytuacji.

Aż mi wstyd, jak ja wtedy wymyślałem tym wszystkim ludziom, którzy opóźniali moją podróż, jak ich przeklinałem. Z wielkim trudem dotarliśmy na miejsce, nawet nie patrzyłem, która jest godzina. Szybkim krokiem, tak mi się przynajmniej wydawało, zbliżałem się do miejsca, gdzie przez ostatnie lata tak wiele się zdarzyło. Jak dziwnie pracował wtedy mój mózg! Cały czas jechałem z myślą

o pożegnaniu, a dopiero teraz przyszło mi do głowy, że przecież mogę nie tylko się pożegnać, ale też poprosić o uzdrowienie, a przynajmniej o przedłużenie życia. Chociaż trochę.

Wszedłem do kaplicy dokładnie w chwili rozpoczęcia mszy świętej. Nagle zrozumiałem, że wszystko dzieje się po coś. Gdybym dojechał wcześniej, może kaplica byłaby jeszcze zamknięta, a ja na pewno bym nie poczekał.

Jest taki zwyczaj, że pielgrzymi peregrynujący do Cudownego Obrazu okrążają ołtarz, by wyjść z drugiej strony. Niektórzy idą normalnie, ale zdecydowana większość posuwa się na kolanach. Za każdym razem i ja w ten sposób obchodziłem ołtarz, modląc się w głębokiej zadumie. Pokonywałem tę drogę, przyglądając się marmurowi wytartemu przez setki lat i tysiące pielgrzymów. Wgłębienia w kamieniu i wota dookoła – medaliki, różańce, kule inwalidzkie, tabliczki z nazwiskami – robią niesamowite wrażenie.

Tak wielu zostało uzdrowionych, to może i ja... Chociaż z drugiej strony, spośród tych wszystkich, którzy tu byli, pewnie tylko nieliczni dostąpili tej łaski albo, jak mawiam - właściwie uzasadnili swoją prośbę.

Dziesięć lat wcześniej, w 2004 roku, zachorowała na raka moja mama. Trzy guzy na jelicie. Jakie miała szanse, tego nie wiem. Ale wiem, że tu, w tej kaplicy, kilka dni przed operacją prosiłem o jej zdrowie. Operacja się udała i obyło się bez dodatkowego leczenia.

Moje kochane dziewczyny zostały z tyłu i czekają na mnie. Ledwo stoję, trzymam się barierki, w głowie mi się kręci, ale wiem, że muszę wytrwać. Jeśli nie na kolanach, to wyprostowany, ale obejdem ołtarz. To zawsze było dla mnie bardzo ważne, a dziś, podczas tej ostatniej, pożegnalnej wizyty, jest ważne szczególnie.

Z zadumy wyrwał mnie dotyk ciepłutkiej rączki i cichy głosik: „Tatusi, ja chcię ż tobą”. Ucieszyłem się bardzo, ten dotyk dodał mi sił. Kolejka przesuwawała się powoli, aż wreszcie przyszedł czas na nas. Ukląkłem i... „Tatusi, ja chcię na łączki!” Tego się nie spodziewałem. Ledwo się poruszam. Na kolanach, z dodatkowym ciężarem kilkunastu kilogramów, jak ja dam radę? Wziąłem ją na ręce,

bo nie chciałem blokować pielgrzymów, którzy tłoczyli się za mną. Z trudem utrzymałem równowagę. Nie dam rady. Pot zalał mi czoło i oczy, ból w kolanach był straszny, ciśnienie rozsadzało czaszkę.

Mózg palił żywym ogniem, pół twarzy – prawą stronę – zdawał się parzyć roztopiony metal. Przesuwałem się powoli do przodu, próbując się modlić, a raczej żegnać się i dziękować za życie, za opiekę i za wsparcie. Od wczesnego dzieciństwa Matka Boża słuchała moich próśb i bardzo szybko je spełniała. Ja natomiast składałem Jej obietnice i, jak to często w życiu bywa, wcześniej czy później o części z nich zapomniałem. Przypominałem sobie o nich dopiero w chwili, kiedy nowa sytuacja zmuszała mnie do powrotu – ponownego uklęknięcia przed Cudownym Obrazem, modlitwy, kolejnych próśb i kolejnych obietnic. Tym razem było inaczej. Wiedziałem, że to koniec. Nie mogłem już o nic prosić. Tyle miałem czasu. Tyle zmarnowałem darowanych mi szans i okazji.

Wszystko stanęło mi teraz przed oczami. Jak mogłem być tak głupi i nieodpowiedzialny! Patrząc na twarz Maryi, ostatkiem sił prosiłem o wybaczenie i dziękowałem za wszystko, co spotkało mnie w życiu. Poczułem, że godzę się na swój los. Nie umiałem żyć, trzeba odejść – niech tak się stanie. Nie martwiłem się moim losem i tym, co ze mną będzie, martwiłem się o najbliższych, o córkę. Widziałem sceny z jej przyszłego życia. Pierwszy dzień w przedszkolu, w szkole. Idą we dwie z mamą, trzymają się za ręce. W białej sukience, w dniu Pierwszej Komunii, wśród rozbieganych i wesółych dzieci. Niby radosna, ale gdzieś w głębi serca smutna. Nastolatka, osiemnaste urodziny... Dzień ślubu... a mnie tam nie ma. Nie ma mnie też przy mamie, nie ma mnie z moją ukochaną.

Ocknąłem się z głębokiej zadumy czując przenikliwe spojrzenie księdza, który odprawiał mszę świętą. Od razu przypomniałem sobie, gdzie jestem, i ruszyłem dalej. Wtedy myślałem, że ksiądz po prostu karci mnie za blokowanie przejścia, ale dziś wiem, że doskonale wiedział, co się ze mną dzieje. To spojrzenie czuję na sobie do teraz.

Z każdym ruchem było gorzej. Zadzierałem głowę i odwraca-

łem ją w bok, żeby widzieć Obraz. Za chwilę miałem znaleźć się za ołtarzem i ponownie zobaczyć twarz Matki Bożej. Pomyślałem, że może ja tu umrę. Szybko wróciłem myślami do moich bliskich i zacząłem prosić o opiekę nad nimi. A potem jeszcze, choć nie wierzyłem, że dostanę kolejną szansę, poprosiłem także o siebie. Poprosiłem! Inni pielgrzymi chyba widzieli, w jakim jestem stanie, dlatego mnie nie poganiali. Widziałem oczy ludzi siedzących na krzesłach przed samym ołtarzem. Pewnie myśleli, że mam ciężko chore dziecko. Jak często to, co widzimy, ma się nijak do rzeczywistości!

Cieszyłem się, że moje kolana zaraz się wyprostują i odpoczną. Wstałem, postawiłem dziecko na ziemi i powoli ruszyliśmy na środek kaplicy. W głowie mi się kręciło, ukląkłem jeszcze raz, podczas gdy mała zobaczyła swoją mamę i poszła w jej stronę. Narzeczona pokazała mi gestem, że wychodzimy, ale ja dałem znak, że zostaję. Zacząłem się modlić, lecz czułem, że pamiętam tylko strzępy tekstu. Do Ojczy nasz dołączyłem fragmenty wszystkich znanych mi modlitw, które w kółko powtarzałem. Nie mogłem się skupić, zatrzymać myśli, mózg odmówił mi posłuszeństwa. Klęczałem tak ze spuszczoną głową i zamkniętymi oczami, słysząc, jak inni wstają, klękają, modlą się. Powtarzałem w kółko to samo. Wydawało mi się, że to składna i poprawna modlitwa.

I wtedy usłyszałem wyraźny głos:

– Przestań pleść wciąż to samo! Powiedz, czego chcesz!

Zesztywniałem i otworzyłem oczy, szukając autora tych słów. Ale nie znalazłem. Nikogo, kto mógłby to powiedzieć. Każdy na swój sposób zajęty był sobą i nikt nie zwracał na mnie uwagi. Szybko zamknąłem oczy, próbując nawiązać dialog, ale usłyszałem tylko echo tamtych słów: „Powiedz, czego oczekujesz...” i cisza! Nawet szelestu czy szumu... Koniec!

Oburzyłem się. Ale coś się tu nie zgadzało, bo głos brzmiał mi w głowie, nie w uszach. Nie znajdując autora tych słów uznałem, że to moja własna myśl, tylko głośno wypowiedziana do siebie.

Tyle że to z pewnością nie był mój głos! Czyżby przemówiła do mnie Matka Boża? Ucieszyłem się, ale nadal coś mnie niepokoiło i to uczucie trwało jeszcze długi czas. Na razie, nie mając czasu na rozmyślanie, szybko zacząłem szukać odpowiednich słów. Czego ja chcę, o co mam prosić? Zrobiło mi się straszliwie wstyd, że kieruję do Matki Bożej jakieś bezładnie posklejane słowa, ale zaraz się otrząsnąłem i szybko zacząłem układać swe prośby.

Matko Boża, proszę Cię, żebym mógł wychować szczęśliwie moją córeczkę i, jeśli to możliwe, mieć więcej dzieci. Proszę o więcej dzieci. Proszę, abym mógł być z moimi bliskimi, mógł o nich dbać i zajmować się nimi. Żebym mógł Ci godnie służyć, spełnić moje obietnice, a także Twoje prośby.

A jeśli będzie mi dane wyzdrowieć, obiecuję, że już nigdy Cię nie zawiodę, nigdy nie zejdem z dobrej drogi. Nigdy! Przysięgam! Nigdy nie zaprzestanę czynić dobra i zrobię wszystko, żeby naprawić ten świat, choć zdaję sobie sprawę, że dla jednego człowieka to dość trudne zadanie. Dlatego proszę Cię o pomoc. A gdyby się zdarzyło, że nie dotrzymam słowa, że postąpię tak, jak wiele razy przedtem, to proszę, zabierz mnie stąd w tej samej chwili, żebym więcej nie zdążył uczynić nic złego. Bo nie chcę więcej prosić, nie chcę więcej szans. Daj mi, proszę, tylko tę jedną i ostatnią.

Nie chciałem być dłużej niesłowny, zwłaszcza w stosunku do Matki Bożej. Tyle w życiu złożyłem obietnic i żadnej do końca nie dotrzymałem.

Przypomniałem sobie, jak dziesięć lat wcześniej w tej samej kaplicy, w obliczu śmierci mojej mamy klęczałem tak jak dziś z zamkniętymi oczami i prosiłem o jej zdrowie, obiecując przy tym bardzo wiele.

Mama wyzdrowiała. Operacja wycięcia trzech guzów na jelicie grubym się udała. Nie było przerzutów, mama żyje do dziś. Znamy lekarz, dzwoniąc co jakiś czas, pyta o jej zdrowie i nie umie ukryć zdziwienia.

Tymczasem ja nie wypełniłem obietnic złożonych Matce Bożej. Szybko o nich zapomniałem.

Wtedy miałem ciekawą wizję. Ujrzałem trzy szare, deszczowe chmurki. Coś kazało mi nimi obracać. Początkowo nie było to łatwe – uciekały i rozbiegały się po niebie. Wreszcie zacząłem je skręcać, jakbym chciał zrobić z nich linę. To było niezwykle ciężkie zadanie i szło mi bardzo powoli. Powstał cienki sznurek, potem coraz grubszy, potężny jak cuma okrętowa, aż wreszcie wyglądało to jak tornado, tyle że w poziomie. Nagle wszystko odleciało z olbrzymią prędkością i znikło, a niebo zrobiło się jasne.

Przypomniawszy sobie to zdarzenie sprzed lat, wpadłem na pomysł, żeby tym razem świadomie powtórzyć tamte działania. Może to jest jakiś sposób? Co mi szkodzi spróbować... Zacząłem sobie wyobrażać trzy chmurki. Ale niewiele to dało. Za nic nie chciały się pojawić. Prawie zwątpiłem, bo zamiast trzech widziałem jedną wielką, postrzępioną, szaroczną plamę. Zmęczony i zrezygnowany postanowiłem, że skręcę to, co mam, pał sześć trzy chmurki.

Zadanie było jednak ponad moje siły. Chmurzysko ledwo drgnęło, gdzie mi do kręcenia. Zwątpiłem i tak trwałem z głową zwieszoną na piersi, smutny i bezradny. Tak jakby skręcenie tej chmury miało dać mi gwarancję wyzdrowienia. Kiedy się wie, że nie ma żadnych szans – nawet coś takiego dałoby nadzieję. Niestety, nie tym razem. Chmura jednak nie zniknęła, miałem ją cały czas przed oczami. Kątem oka dostrzegłem nagle maleńką, złotą iskierkę. Pojawiła się z boku, jak samolot czasem błyszczący na niebie. Leciła w kierunku chmury i była coraz większa. Chociaż wszystko nadal działo się na niebie, zatrzymała się na sekundę przed moją twarzą, jakby chciała się pokazać, po czym ruszyła z zawrotną prędkością w stronę chmury. W oka mgnieniu zderzyła się z nią i znikła, porywając ją ze sobą, a niebo nagle pojaśniało.

Wtem usłyszałem straszliwy trzask w głowie. Głośny trzask łamanej bardzo grubej i bardzo suchej gałęzi. W tej samej chwili poczułem się dużo lepiej. Głowa przestała boleć, znikło nadmierne ciśnienie, uczucie parzenia i pieczenia. Poprawił się wzrok. Cud! Prawdziwy cud!

Msza się skończyła. Wyszedłem z kościoła i wsiedliśmy do sa-

mochodu. Całą drogę cieszyłem się, że chociaż chwilami czuję się gorzej, to zaraz potem jest lepiej. Chociaż odrobinę, ale jednak lepiej. Pewnie nie umrę. W domu znów czułem się źle, ale tłumaczyłem sobie, że po kilku godzinach uciążliwej jazdy nie może być inaczej. Rano obudzę się zdrowy i wypoczęty. Przecież zdarzył się cud. Będzie dobrze!

Cudu jednak nie było. Rano czułem się tylko odrobinę lepiej, lecz nadal źle.

A potem z godziny na godzinę gorzej. Wróciły czarne myśli, koszmar pożerał mnie na nowo. Żal i smutek. I tylko ten dziwny głos nie dawał mi spokoju. Głos Matki Bożej. Nie, to niemożliwe, żeby Ona mówiła do mnie w ten sposób...

Od jakiegoś czasu bolał mnie ząb. Odwlekałem sprawę, bo postanowiłem, że załatwię to po Krynicy. Plomba wypadła i bolało coraz bardziej. Nie dość, że mam guz mózgu, to jeszcze ząb! Jakby było za mało problemów. Gdyby nie ból, zostawiłbym sprawę. W dodatku nasz dentysta miał bardzo odległe terminy. Szukaliśmy w Internecie i w końcu znalazł się ktoś, kto mógł przyjąć mnie już następnego dnia. Byle tylko nie jakiś konował, byle tylko zlikwidował ból i zalepił tę dziurę, bo kaleczy język...

Otworzyła mi młoda i ładna kobieta. Z uśmiechem zaprosiła do środka. Rzadko spotyka się takie osoby. Widać, że zadowolona z życia, szczerą, naturalną.

– Co panu dolega? – zapytała. Dziewczyno, gdybym ja ci powiedział, co mi dolega... Nie, nie będę cię obciążał swoimi nieszczęściami – pomyślałem.

Patrzyłem na nią, na jej nienaganną figurę, miłą buzię i śliczne oczy. Jaka szkoda, że takich ludzi spotykam dopiero tuż przed śmiercią. A może nie, nie szkoda. Takich ludzi nie ma wielu na świecie, a ja za każdym razem, kiedy na kogoś z nich trafiam, staję się spokojniejszy o jego losy. Dopóki są tacy ludzie, ten świat nie zginie. A jeśli tak wyglądają anioły, to ja chcę do nieba!

Pani doktor załatwiła mój problem szybko i sprawnie, ale znalazła kolejny. Zastanawiałem się, czy mnie nie naciąga, to przecież tak często się zdarza, ale nie – widziałem, że nie potrafiłaby kłamać. Zapytałem, czy ten stan szybko się pogorszy. Bo jeśli powie, że to kwestia kilku miesięcy albo nawet miesiąca, nie będę tego ruszał. Niestety okazało się, że nie można czekać. Sprawa może się szybko skomplikować, najlepiej zrobić to natychmiast. Przekonałaś mnie. Ale mam raka mózgu, kilkanaście centymetrów dalej. Może nastąpić przerzut, dodatkowy ból... powiedzieć jej o tym, czy nie...

Dentystka patrzyła na mnie jak na idiotę. Fachowo wyjaśniła problem, zapewniła, że ząb zostanie usunięty bezboleśnie i uprzedziła o konsekwencjach pozostawienia go bez leczenia, a ja nadal próbowałem się wymigać. Dobra, chciałaś, to masz.

– Ja się nie boję bólu, ale mam raka mózgu i jeśli cokolwiek pójdzie nie tak...

Uśmiech zamarł na jej twarzy, zeszywniała i widziałem, że przez chwilę nie bardzo wie, co powiedzieć.

– Kolejne ognisko zapalne w okolicy guza jest jak najbardziej niewskazane.

Miała rację. Jakby tego wszystkiego było mało, jedyny wolny termin przypadał o dziesiątej wieczorem. Byłem zrozpaczony.

Pani Hania znalazła jeszcze coś w innym zębie, więc znów usta pełne tamponów i wiercenie, a tu nagle otwierają się drzwi i wchodzi moje ukochane dziewczyny. Jak zawsze rozbawione i roześmiane, bo to dwie śmieszki. Wpadłem w panikę, bo nie mogę nic powiedzieć, a pani doktor zaraz wypali coś na temat mojego raka! Mrugam do niej, pokazuję oczami, ruszam głową na wszystkie strony, a dentystka patrzy na mnie i stara się pojąć, o co mi chodzi. Nagle widzę, że się domyśliła, odetchnąłem więc z ulgą, ale jestem czujny. Jeśli będzie źle, to ją kopnę. Wreszcie koniec zabiegu. Żegnamy się jak gdyby nigdy nic i umawiamy na nocne rwanie zęba.

Wieczorem otwiera mi drzwi już bez uśmiechu. Jest razem z mężem, każą mi usiąść.

– Sytuacja wygląda następująco – zaczynają – ząb trzeba koniecz-

nie usunąć. Skonsultowaliśmy to z onkologiem, nie widzi przeszkód, ale decyzja należy do pana. – I niespodziewanie kontynuują: – Po dzwoniłszy po naszych znajomych z pytaniem, jak można panu pomóc, ale, niestety, nie mamy żadnych możliwości ani znajomości, nie jesteśmy w stanie nic zrobić. – Oboje spuścili głowy.

Tak mnie zaskoczyli, że omal nie spadłem z krzesła. Obcy ludzie zainteresowali się moim losem! I przepraszają, że nie są w stanie pomóc! Byłem pewien, że po zabiegu usłyszę tylko zdawkowe „Życzymy powodzenia”. Takiej reakcji, takiego zainteresowania nie spodziewałem się w ogóle. Oni, tacy młodzi, piękni, wykształceni i ustawieni w życiu, pełni radości i tryskający humorem, dwa okazy zdrowia – zainteresowali się losem obcego człowieka. To straszne, że takie zachowanie nas zadziwia.

Mój stomatologiczny epizod tylko z pozoru jest nieistotny. To był dla mnie ogromny zastrzyk wiary. Wiary w ludzi i ten świat. Patrzyłem na nich jak na przybyszów z innej planety i nie wiedziałem, jak podziękować za to, co dla mnie zrobili. Kolejny raz ludzie-anioty stanęli na mojej drodze.

Zacząłem moje przygotowania do odejścia. Następnego dnia przyniosłem wszystkie dokumenty i położyłem na stole. Co i jak ma być załatwione, komu, ile jestem winien, kto i co jest winien mnie... Setki spraw.

Nie dałem rady, położyłem się, żeby odpocząć i wszystko przemyśleć. W głowie zamiast mózgu miałem gąbkę. Proste sprawy wymagały strasznego wysiłku, o tych skomplikowanych w ogóle nie było mowy. Postanowiłem, że jeszcze dziś przekażę mojej ukochanej tyle, ile zdołam. Kiedy wróci z pracy, poproszę, żeby zaprowadziła małą do rodziców i powiem jej, jak sprawy wyglądają.

Moje kobiety wróciły po kilku godzinach. Siedziałem przy stole, patrzyłem na nie i wyobrażałem sobie, co się zaraz stanie. Powiem, że mam raka i umieram. Jak będzie teraz wyglądać nasze życie? Nie zrobiłem tego, nie miałem siły ani odwagi. Odłożyłem sprawę

do jutra i na kilka godzin wyszedłem z domu. Po powrocie dostało mi się i za nieobecność, i za niewyrzucone śmieci.

Dziewczyno, żebyś ty wiedziała, co się tuż obok ciebie dzieje! Wywołuję te sprzeczki i pod byle pretekstem wychodzę z kuchni, żebyś nie zauważyła moich problemów ze słuchem i wzrokiem. Niewiele brakowało, a bym jej to powiedział.

Z trudem doczekałem nocy. Jednak noc nie przynosiła mi ulgi. We śnie koszmar gonił koszmar albo głowę wypełniała na zmianę przerażająca pustka. Myślałem, że eksploduję. Na jawie nie było lepiej – kaskada czarnych myśli. Właśnie wtedy przekonałem się, że czas nie istnieje. Wszystko działa się naraz.

Obudziłem się z ulgą. Żyję, jeszcze nie umarłem, czuję się jako tako. Pozbierałem się powoli, poszedłem do kuchni, ale nie wiedziałem po co. Poszedłem do łazienki i zastałem tam... Nie pamiętałem, że już raz tu byłem. Jak można aż tak się spieszyć do pracy! Postanowiłem zostawić toaletę w dotychczasowym stanie, a wieczorem urządzić awanturę. Jednak już po chwili zmieniłem zdanie. Spojrzałem w lustro, ale zobaczyłem tylko cień kilku swoich twarzy. Przysunąłem twarz bliżej i się przeraziłem. Już wyglądałem jak trup. Przypomniałem sobie o dokumentach, usiadłem, by je poukładać, ale poczułem, że jest gorzej niż poprzedniego dnia. Jednak dziś muszę o wszystkim powiedzieć... jutra może już nie być. Był dym, a teraz ta dziwna mgła, czy też szyba jest coraz bliżej.

Coraz trudniej mi oddychać. Niby nabieram pełne płuca powietrza, a ciągle brakuje mi tlenu. Nie dam rady poukładać papierów, może uda mi się chociaż je pokazać i powiedzieć, o co chodzi. Wstałem raptem dwie godziny temu, a czuję się coraz gorzej. Sztywnieje mi język, obraz rozmywa się coraz bardziej, czasem widzę już tylko białą plamę... Coś miałem zrobić, ale co? Nieważne, i tak nie mam siły. Muszę powiedzieć dziś... Prawe oko pali tak jak coś od tyłu, od wewnątrz gałki... cały wczorajszy ból to żart w porównaniu z tym, co jest dziś.

Wróciły. Znow ten sam obrazek: krzątają się przy kuchni, mała

biega, Pat coś opowiada, nawet się uśmiecha... Jak jej to... Niby tylko jedno, dwa zdania, ale żeby je wypowiedzieć trzeba mieć naprawdę dużo odwagi.

Mała ciągnie mnie do zabawy, ale to nie trwa długo. Po kilku minutach muszę przerwać...

– Przepraszam, córeczko, dziś już musimy kończyć zabawę. – Patrzy na mnie smutna. – Wybacz, aniołku, nie mam siły.

– Tatusiu, ale jutro pojeździmy?

– Zobaczę, czy będę miał siłę.

– Tatusiu, ale jutro to dłużej pojeździmy?

Nie wiem, co było gorsze, co zadawało większy ból. To stało się nie do zniesienia. Na szczęście zbliżała się noc. Nie mogłem się jej doczekać, chociaż bałem się strasznie. Pożegnałem się z obiema czulej niż zazwyczaj i poszedłem na moje kolejne tortury. Nie byłem w stanie pojąć, jak człowiek może to wszystko znieść, chociaż zdawałem sobie sprawę, że przecież wielu na tym świecie wycierpiało znacznie więcej.

Noc znów okazała się straszna. Znów się obudziłem, ale tym razem już nie było tych kilku godzin, kiedy czułem się lepiej. Od razu masakra. Ledwo wstałem i z trudem rozpoznawałem miejsce i przedmioty. Nawet ból odczuwałem inaczej. Jakby stępiął, jakby się przez coś przebijał. Najprostsze czynności sprawiały kłopot. Nie wiedziałem, co robić. Zszedłem na dół. Ból był straszny, ale myśl o tym, co mam powiedzieć, jeszcze straszniejsza.

Stchórzyłem po raz kolejny. Z trudem maskując tży i ukrywając, że bardzo słabo słyszę, wyszedłem z domu. Wróciłem i znów doszło do sprzeczki. Dziecko chce się bawić w „starego konia” – mam paść na kolana i wozić ją na grzbiecie. Jestem pewien, że umrę podczas tej zabawy, guz pęknie z wysiłku i będzie po wszystkim. Ale w sumie, co za różnica – w nocy, czy teraz – przynajmniej dam dziecku jeszcze chwilę radości. Klękam, mała wsiada i zaczyna poganiać mnie okrzykami: „Wio, wio, stary koniu!”. Ból rozrywa czas-

kę, ledwo się wlokę po dywanie, zaraz chyba z bólu zacznę gryźć. A tu: „Wio, wio, tatuś, co tak wolno, sybciej, sybciej!”... Staram się szybciej, ale niewiele mogę. Już nawet nie ma szyby, za to jest jakiś hełmofon, brak powietrza, skończył się szalony galop myśli, zrobiło się dziwnie. Czuję, jak wszystko zwolniło. Myśl... krzeeeeesto... Jeden wyraz trwa wiele minut... Ucisk w pęcherzu... O co chodzi... co mam z tym zrobić... Aha, trzeba iść do toalety...

Spojrzałem w lustro i nie poznałem swojego odbicia. Przyglądałem mu się zastanawiałem, skąd znam tego człowieka, kto to jest. Jego głowa się rozpywała. Kiedy ja odwracałem swoją, on nadal na mnie patrzył. To ja, czy tylko ktoś podobny? Dziwnie się porusza, jak filmowy duch. Czuję, że tracę kontakt z rzeczywistością. Powoli stawiając nogi, wyszedłem z łazienki i stanąłem w miejscu. Coś miałem zrobić, ale co? Nie mogłem zmusić głowy do choćby jednej myśli. Czuję tylko straszliwy smutek.

Nic już nie wiem, jest ze mną naprawdę bardzo źle. Nagle błysk – wiem! Miałem zgasić światło. A więc nie jest aż tak źle, daję radę, będę żył – ucieszyłem się, prawie podskoczyłem z radości. I natchmiast nowy cios – co to jest światło? Nie mam pojęcia, co to słowo znaczy. Spojrzałem na żarówkę – ach, to jest światło, już wiem! Będę jednak żył, wymyśliłem!

Znów radość. I znów niedługo. Napłynęło kolejne pytanie: co to znaczy zgasić? Ręka machinalnie sięgnęła do kontaktu, światło zgasło, ale już nie było uczucia radości. Wróciłem na kanapę z postanowieniem, ostateczną decyzją, że jeśli do wieczora nie umrę, to jeszcze dziś nieodwołalnie poinformuję rodzinę o mojej zbliżającej się śmierci. Doznałem ulgi, jakby już było po wszystkim, poczułem się lekko. Ulga to piękne uczucie.

Już nawet nie próbowałem się zastanawiać, czym jest ten hełm, który mnie więzi. Z dnia na dzień stawałem się coraz mniejszy, moje ciało się nie zmieniało, ale ja powoli znikałem wewnątrz ciała. Dziś już byłem zaledwie małą, całkowicie pozbawioną materii iskierką, i to nie w ciele, ale kilka centymetrów przed nim, na wysokości klatki piersiowej. Moje ogromne cielsko stało za mną. Patrzyłem

na nie jak na wielką górę, która nie chce wykonywać moich poleceń. Byłem wobec niej bezsilny.

To już kiedyś było! Znam ten stan! Przeżyłem to w dzieciństwie co najmniej dwukrotnie. Kiedy najedliśmy się niedojrzałych owoców i kiedy zatrąłem się mleczem.

Oto jak zapamiętałem te wydarzenia. Kładę się spać i w pewnym momencie staję się iskierką światła. Wyglądam jak szpilka, która ma cieniutkie rączki i nóżki. Jest strasznie ciemno, tylko ja jestem maleńkim światłem, a coś potężnego, coś straszego i ogromnego goni mnie i próbuje zabić! Włochata czarna kula rzuca się na mnie i przygniata, ale udaje mi się uwolnić, wyrwać ostatkiem sił. Uciekam, a ona mnie goni. Jestem zmęczony, wystraszony, czuję śmiertelne zagrożenie. Coraz bardziej słabnę.

Nagle widzę światło. Ktoś mnie szarpie i podaje coś do picia, przytula... To ojciec wlewa do moich ust jakieś gorzkie lekarstwo, wyciera mi czoło, ale chociażw pomieszczeniu jest widno, ta czarna, włochata bestia nadal atakuje. Po kilku minutach robię się senny, koszmar znika, czuję się inaczej, spokojnie zasypiam.

Rano budzę się wesoły, ale nagle przypominam sobie nocne przeżycia. Nie mam pojęcia, co to było. Zastanawiam się nad tym miesiącami i wreszcie powoli o wszystkim zapominam.

Jednak pewnego dnia, chcąc przestraszyć kuzynkę, zrywam mlecz i robię sobie brodę przykładając go do twarzy urwanymi końcami, z których płynie mleko. Po tej zabawie w „brodatego dziadka” dostaję tak straszego uczulenia, że przez kilka dni nie mogę jeść ani pić, skóra twarzy od uszu aż po szyję, włącznie z nosem, uległa wręcz stopieniu. Powstała twarda skorupa, maska, jeden wielki strup. Wargi mi się skleiły, mam tylko małą szczelinę, co pozwala małą łyżeczką wlać mi do ust odrobinę płynu. A przy tym straszną temperaturę. Koszmar powraca. Znowu pojawia się mój włochaty, czarny prześladowca, a ja znowu staję się iskierką światła. Upiorna kula znowu chce mnie zabić! Ponownie

ktoś mną porusza, znów poją mnie gorzkim płynem, wymiotuję, ktoś coś mówi, ale słyszę tylko bulgotanie zamiast słów. Jestem nadal szpilką ze światła, a potwór chce mnie zmiążdżyć. Zasypiam, a rano budzę się zdrowy i wszystko jest piękne, dopóki sobie nie przypomnę moich koszmarów. Znów miną miesiące i milion razy zadam sobie pytanie, co to było, zanim wspomnienia wyblakną.

Tym razem minęło wiele lat. Siedzę na kanapie i czuję się bardzo źle. Jestem bardzo słaby, ledwo widzę, ból jest straszny, wewnętrzne ciśnienie rozsadza mi czaszkę, mózg parzy tak, jakby ktoś tam wlewał płynny ołów, Czuję się jak napromieniowany, duszę się. To nie w płucach brak tlenu, ja duszę się całym ciałem. Każda komórka mojego ciała się dusi! To okropne uczucie, którego nie da się porównać z niczym innym. Czuję siebie, ale tak, jakbym pozbawiony był ciała. Dziwne uczucie. Jestem tylko odrobiną światła, a moje ciało to już nie ja. Tym razem włochata kula się nie pojawiła, nikt mnie nie gonił i nie usiłował zabić, ale mimo wszystko czułem, wiedziałem, że to koniec. Tym razem było inaczej. Nikt do mnie nie mówił, nikt mi nie wlewał do ust gorzkiej substancji i nie miał mnie kto przytulić. Nie było przy mnie absolutnie nikogo. Za ścianą krzatali się tylko rodzice mojej narzeczonej, nie mając nawet bladego pojęcia, że umieram.

I wtedy przyszedł SMS od Rafała.

„Co tam u Ciebie, przyjacielu? Kiedy wreszcie zrobisz mi ten balkon?”

„Rafał, nie mam siły na żarty, ja umieram” – odpisałem z trudem, wielokrotnie poprawiając treść. Te kilka wyrazów!

„Przestań, kurwa, się doktoryzować. Weź się za siebie i rób ten balkon!”

„Rafał! Nie żartuję, ja naprawdę umieram! Nie ma dla mnie ratunku”.

„To jedź do Zbyszka Nowaka! Mojej żonie pomógł, mnie pomógł, wujkowi i wielu innym z rodziny...”

Jedź do Nowaka!!!

ZBYSZEK NOWAK!!! Jak mogłem zapomnieć!!!

Marzenia się spełniają!

W połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku we Włoszech, w pobliżu miejscowości Vezzano, mieszkało trzech młodych Polaków. Pewnego dnia jeden z nich natrafił w gazecie przywiezionej z Polski na artykuł o Zbyszku Nowaku - bioenergoterapeucie z Podkowy Leśnej. Gazeta poszła z rąk do rąk i pomiędzy trzema rodakami rozgorzała dyskusja. Rozmawiali i zastanawiali się, czy to jest możliwe. Ręce, które leczą..., a może to całkowita ściema i oszustwo? Podawali wszystko w wątpliwość, by za chwilę uznać, że może coś w tym jest, może to prawda.

Jeden z nich postanowił nawet, że też będzie leczył tak, jak Zbyszek Nowak, a że był bardzo ambitny, zaraz poszedł do drugiego pokoju i zaczął wykonywać te same gesty. Jednak nic w jego dłoniach się nie działo. Nie czuł ani ciepła, ani zimna. Kompletnie nic!

Po godzinie, może dwóch, stwierdził, że w swoich rękach nie ma mocy i że nadają się tylko do łopaty. Ale nie poddał się i wpadł na pomysł, że mimo braku zdolności będzie w ten sposób zarabiał. Kolejna chwila przyniosła jednak refleksję, że ludzie szybko odkrywają, że to lipa, i nie będą do niego przychodzić. Może nawet nakopią mu za to oszustwo.

Czyli Nowak leczy.

W przeciwnym razie nie przyjeżdżałyby do niego tysiące. Pojedynczych ludzi można oszukiwać, nawet bardzo długo, ale im większa ich liczba, tym krótszy czas. Oszustwo wyjdzie na jaw. A kiedy w grę wchodzi tysiące osób, to już nie godziny, lecz minuty wystarczą, aby odkryć prawdę.

Od tego czasu nasz przebywający czasowo na obczyźnie bohater zaczął zwracać uwagę na to, co o Zbyszku Nowaku piszą i mówią. Planował nawet, żeby kiedyś się do niego wybrać, pojechać do tej Podkowy. Obejrzał jednak w telewizji kawałek jakiegoś programu, w którym pan Zbyszek składał widzom życzenia noworoczne. Był też przekaz energii, a na koniec apel:

- A teraz wszyscy przestają palić papierosy. Od dzisiaj już nikt nie pali papierosów!

Nowak klasnął w dłonie i uśmiechnął się szeroko. No nie! Przegiąłeś na całej linii, ty sobie tak powiesz, a wszyscy akurat cię posłuchają! Aż się zagotował.

Po kilku miesiącach, tym razem we czterech, bo dojechał Janek, siedzieli w jednym pokoju i temat Zbyszka Nowaka znów powrócił. Bo często powracał. Szczerze mówiąc, tych chłopaków, owszem, interesowało uzdrawianie ludzi, ale też i plotki o majątności uzdrowiciela, o której krążyły legendy. Im dalej od Podkowy, tym hektarów było więcej. Każdy marzył o takich „ręczach” i o milionach też. Nie było w tych rozmowach zazdrości, oni tylko chcieli też być kiedyś bogaci.

Janek przez jakiś czas przysłuchiwał się tej rozmowie w milczeniu. Nietypowe dla niego zachowanie, bo to urodzony bazarz. Gdzież on nie był, kogo nie znał! Sławnemu dziennikarzowi budował dom, znanej piosenkarce układał płytki w łazience, z czołowym politykiem palił jointa pod mostem Poniatowskiego. Jego szwagier był komendantem policji, a sąsiadka znała osobiście papieża! Miał 42 lata, a pozostali po dwadzieścia parę. Wkurzały ich te opowieści, bo sami mogli się tylko pochwalić, że znają Zdzicha i Rycha, a Janek znał wszystkich i był wszędzie.

Wreszcie Janek przemówił:

- Taaak! Zbyszek Nowak! Syn mojego brata pracował u niego kilka lat! - I zaczął się niemal godzinny monolog.

Początkowo wszystkich wkurzył tą opowieścią. Albo perfidnie kłamie, albo znów, jak nie on, to ktoś z jego rodziny, gdzieś się wkręcił! Nie obyło się bez ostrych komentarzy, bo Janek był, jaki był. Jednak pomimo całej tej niechęci wszyscy słuchali z zaciekawieniem jego opowieści.

Tym bardziej że - jak nigdy przedtem i nigdy potem - Janek był bardzo poważny. Obywał się bez dziwnych komentarzy i dwuznacznych uśmieszków.

A na koniec powiedział:

- Pamiętajcie, gdybyście wy lub ktokolwiek z rodziny czy znajomych kiedykolwiek zachorowali, to natychmiast jedźcie do Zbyszka Nowaka!

Dało to do myślenia wszystkim, a szczególnie temu, który sam chciał mieć takie ręce. Do dziś pamięta kamienne poważną twarz Janka. I swoją decyzję, że musi poznać tego niesamowitego człowieka jak najszybciej.

Jednak wtedy, mając dwadzieścia kilka lat i będąc człowiekiem silnym i zdrowym, zapomniał, że postanowił po powrocie do Polski odwiedzić Podkowę Leśną. Czas mijał i chociaż zdarzały się różne choroby wśród rodziny i znajomych, nigdy nawet na myśl mu nie przyszło, aby zrobić to, co kiedyś na włoskiej ziemi sobie obiecywał. Jakby ktoś informacje na temat Nowaka usunął z jego pamięci.

Aż do dziś.

CZĘŚĆ DRUGA

Nowak!

Jest jeszcze nadzieja!

„Rafał, zapisz mnie do pana Zbyszka...”

„Na stronie internetowej masz adres, numer telefonu i wszystkie potrzebne informacje.”

„Rafał, ja umieram, zrób mi rezerwację! Proszę!”

„OK”

Co on tak długo robi tę rezerwację? Czekam już tysiąc lat! Wreszcie odpisał.

„Dziewiąty września, godzina trzynasta”.

„Dzięki wielkie”.

Ogromnie się ucieszyłem, że nie za kilka miesięcy, ale już 9 września. Zacząłem odliczać dni i nagle sobie uświadomiłem, że do tego dnia już mnie nie będzie! Dopadłem telefonu.

„Rafał, zrób co w twojej mocy, żeby mnie przyjął wcześniej, bo dziewiątego to ja nie dożyję!!!”

„Zobaczę, co się da zrobić...”

„Drugiego, dziewiątego czterdzieści”.

„Dzięki, Rafał”.

Znów liczę dni. Tak, 2 września to dożyję. Nadchodzą następne SMS-y:

„Zrobię sobie wolne i cię zawiozę. Pojedziemy moim autem. Już blokuję dzień w kalendarzu, zamykam kancelarię”.

„Rafał, dam radę, mam pracowników”.

„Ja cię zawiozę, bez dyskusji”.

„Poradzę sobie, zawiezie mnie kolega, już wystarczająco dużo dla mnie zrobicie”.

Wreszcie udało mi się go przekonać. Tak naprawdę nie miałem nikogo, ale sumienie nie pozwalało mi fatygować człowieka z drugiego końca Polski.

Zbyszek Nowak – powtarzałem sobie tysiące razy. Jest jakaś nadzieja. Pod wpływem emocji ostatnie SMS-y napisałem znacznie sprawniej. Ale sobie wybrał moment! Akurat wtedy, kiedy podjąłem ostateczną decyzję o rozmowie z rodziną. Boże! Zbyszek Nowak! Jak mogłem zapomnieć?! Jak mogłem?! Dlaczego sam na to nie wpadłem?! Dlaczego nie wcześniej?! Dlaczego taką informację dostaję na pięć minut przed śmiercią?! I to od kogo! Od szanowanego prawnika, którego w życiu bym nie podejrzewał, że w coś takiego wierzy. On jeździ do Nowaka! Wszyscy, ale nie on! Szok totalny! Ten człowiek nigdy mnie nie okłamał i nigdy nie zawiodł. Informacje od Rafała są zawsze stuprocentowo pewne.

Moja ostatnia decyzja z miejsca została anulowana, a przynajmniej zawieszona na czas nieokreślony. Rozsadzała mnie radość. Na samą myśl, że jest cień szansy, już czułem się lepiej. Nie zastanawiałem się, czy to pomoże, czy nie, pozwoliłem owładnąć się radości. Tego dnia nie uciekłem z domu, nie sprowokowałem sprzeczek. I chociaż głowa pękała z bólu, myślałem tylko o tym, że ktoś dał mi szansę. Czy to możliwe? Czy moje modlitwy w Częstochowie zostały wysłuchane? Czy znów okaże się, że mam fart i spadnę na cztery łapy?

Godziny mijały, żyłem jak w transie i cieszyłem się jak dziecko. Zacząłem szukać w pamięci, kogo mógłbym poprosić o pomoc. Nie znalazłem nikogo. Przez chwilę myślałem, że sam pojedę. Wstałem rażno z kanapy. Ciemno przed oczami, ból, zaraz upadnę. Nie, jednak nie pojedę sam. Nie dam rady.

Podzieliłem się nowiną z moją narzeczoną. Oświadczyłem, że we wtorek jadę do Podkowy. Spojrzała tylko dziwnie, ale oszczędziła sobie sarkazmu i razem zaczęliśmy przegląd potencjalnych kierowców. Nikogo. Aż nagle, mam! Darek! Szukał pracy, rozmawialiśmy o tym kilka razy i obiecywałem mu pomoc. Wysłałem SMS, że potrzebuję kierowcy, będę teraz często jeździł do Warszawy, a z przyczyn technicznych nie mogę prowadzić sam. Darek odpowiedział w swoim zawrotnym tempie, bodajże następnego dnia, że będzie w poniedziałek. Strasznie się bałem, że się rozmyśli, ale przyjechał zgodnie z umową.

Miałem za sobą kilka koszmarnych dni i nocy, zasypiałem i budziłem się w złej formie. Tylko nadzieja trzymała mnie przy życiu. Nie byłem w stanie cieszyć się z tego spotkania w tak widoczny sposób jak Darek.

Wsiedliśmy do samochodu.

– Darek, słuchaj, sprawa jest bardzo poważna – zacząłem rozmowę. W tym momencie mój towarzysz wybuchnął śmiechem. Był pewien, że żartuję, że to mój kolejny wygłup. Ale jedno moje spojrzenie spowodowało, że natychmiast spowaźniał.

– Słuchaj, Kazik – zwróciłem się do niego, używając szkolnej ksywki – jeśli komukolwiek powtórzysz to, co teraz ode mnie usłyszysz, a zwłaszcza mojej narzeczonej, to cię zabiję! Rozumiesz?

Popatrzył na mnie i już nawet nie próbował się śmiać.

– Stary, mam raka mózgu. Jutro rano muszę być pod Warszawą. Zostało mi kilka dni życia.

Był totalnie zszokowany. Wszystkiego się spodziewał z moich ust, ale tego chyba jednak nie.

– Pamiętaj – powtórzyłem – jak szepniesz słowo, zabiję!

Chyba nie miał cienia wątpliwości, że to zrobię. Weszliśmy do domu, siadamy do stołu, rozmowa słabo się klei. Ustalamy plan na jutro. Wyjazd czwarta rano, po spotkaniu z Nowakiem jedziemy do Lublina ustalić datę rezonansu, potem zobaczymy.

W samochodzie ledwo siedzę. Naprawdę źle się czuję. Próbuje-
my rozmawiać, ale nic z tego nie wychodzi. Jestem potwornie ze-
stresowany, nic mi nie pasuje, opieprzam bez powodu tego bied-
nego Darka i wreszcie milknę na dobre. W okolicy Łodzi Darek pyta
o adres, chce wpisać do nawigacji. Podkowa Leśna, Jaśminowa 7.
Nie skomentował. Nie wie, o co chodzi, czy tylko nic nie mówi?
Każdy w naszym wieku wie, kto to jest Nowak i zna jego adres.
Dziwne, na pewno i on już wie, po co jadę pod Warszawę, ale dla-
czego nic nie mówi? Małomówność Darka nie była jednak moim
największym problemem w tamtej chwili, więc nie zagłębiałem się
dalej.

Pamiętam, jak po raz pierwszy zobaczyłem tablicę – Podkowa
Leśna. Wreszcie jestem w miejscu tych niesamowitych zdarzeń
i cudów. Zaraz będę u TEGO Nowaka! Znać kogoś z telewizji i gazet
to jedno, a zobaczyć go na żywo – to drugie. Jedziemy główną uli-
cą, mijamy wille i domki. Nawigacja twierdzi, że za sto pięćdziesiąt
metrów będziemy na miejscu. Rozglądam się, gdzie to może być.
Nagle widzę tablicę. Wyraźna, duża siódemka i napis: Zbyszek No-
wak. Zatrzymujemy się, patrzymy w głąb uliczki. Darek spogląda na
mnie i niemal krzyczy:

– Gdzie myśmy, kurwa, przyjechali?! Z twoimi znajomościami
spodziewałem się jakiejś specjalistycznej kliniki, gigantycznego
szpitala, a nie jakiegoś bioenergoterapeuty!

– Darek, tylko on mi pozostał. On i nic więcej!

Patrzył na mnie z mieszaniną politowania i kpiny w oczach. Ten
wzrok nie wróżył mi sukcesu. Podjeżdżamy – niebieska brama,
sznur samochodów blokuje dojazd. A więc tak wygląda słynna Ja-
śminowa 7. Czuję się, jakbym stał w jakimś historycznym miej-
scu. To samo czułem na Forum Romanum albo kiedy dotykałem
egipskich piramid.

Poganiam Darka safandulę, bo nie lubię się spóźniać. Ledwo
stoję, kręci mi się w głowie, pot leje się z czoła, zaraz się przewró-
cę, a ten, jak na złość, marudzi, kręci się w kółko, nie może za-
mknąć drzwi.

– Zostaw, kurwa, otwarte!
Jestem na niego wściekły. Wreszcie idziemy.

Szedłem, z trudem powłóczę nogami. Nie wiedziałem, czy ja naprawdę idę, czy tylko stoję, nosem niemal dotykając ekranu, i oglądam film, w którym idę. Czy moje ciało nadąga za mną, czy jest pięć centymetrów, lub dwa metry za mną? Odwróciwszy się, widziałem siebie samego w opłakanym stanie. Albo byłem pół metra z prawej strony mojego ciała, albo metr z lewej. Czasem patrzyłem na nie z góry.

Pomimo tak złego stanu ostatkiem sił szedłem sam. W czterdzieści lat zdołałem doprowadzić się do ruiny. Bez żadnych używek, tylko ciężką pracą i stresem. Każdy krok groził upadkiem, ale mimo to nie poprosiłem o pomoc. Darek pytał mnie potem, dlaczego. Nie umiem na to odpowiedzieć, pewnie dlatego, żeby za wszelką cenę nie okazać słabości.

Tuż za bramą budynek z cegły, przeszklone drzwi. Nad nimi napis: Zbyszek Nowak. No, nie tak sobie to wszystko wyobrażałem. Kiedyś, bo teraz mój mózg nie był w stanie wyobrażać sobie cze-
gokolwiek. Wchodzimy do środka. Luksus, to to nie jest. Normalna skromna, niewielka poczekalnia. Za szybą, w recepcji – rejestracji siedzi młoda dziewczyna. Darek pyta, a właściwie informuje:

– My tu... my tu... no my... mamy rezerwację.

Jak zwykle nie na temat. Nachyla się do okienka.

– Do pana Zbyszka Nowaka od Rafała z Sandomierza, na dziewiątą czterdzieści.

Dziewczyna sprawdza na liście.

– Tak, zgadza się, może nawet wejdzie pan trochę wcześniej, bo mamy dobry czas.

Widzę, że to wesoła dziewczyna, więc z wielkim trudem zdobywam się na jakiś żart, co w przyszłości zostanie mi wypomniane. „Umierał, ledwo nogi ciągnął, ale zagadywać próbował”. Ot i cała Magda, jak się potem okazało.

Dostałem jakiś bilet, jakąś karteczkę. Podszedłem do stolika, usiadłem i zacząłem rozglądać się dookoła. Poczekalnia była pełna. Jedni stali, inni siedzieli. Ludzie w różnym wieku, raczej smutni. Nie uśmiechał się tutaj nikt, słysząc było tylko szepty.

Może zbyt szybko podniosłem głowę, a może od widoku tych wszystkich chorych poczułem się jeszcze gorzej. Dziś mam na to inne wytłumaczenie – wiem z doświadczenia własnego i innych pacjentów, że sam pobyt w poczekalni ma już swoje działanie i skutki. Mózg przestał pracować. Szukałem każdego słowa. Czuję się tak, jakbym stał sam na ogromnym stadionie, a wokół była wyjątkowo pustka.

Zabrałem się do wypełniania biletu. Wpisałem imię – jakoś poszło. W drugiej linijce jest miejsce na nazwisko. Co to jest nazwisko? Wiem! To jak ja mam na nazwisko? Proces przypominania sobie potrwał chwilę. Wiem, ale jak to się pisze? Coś nagryzmoliłem. Ktoś czekał na miejsce przy stoliku, więc przesiadłem się obok na oko siedemdziesięcioletniej pani ubranej na czarno. Znacznie później, przy kolejnej wizycie, dowiedziałem się, że to słynna pianistka, pani profesor Maria Niemira.

Darek tymczasem krążył po poczekalni, kogoś potrącił, komuś nadepnął na nogę. W końcu podchodzi i szepcze mi do ucha:

– Patrz, zdjęcie z Wałęsą! O, a tu z Kennedym i z Kulejem. A tu arcybiskup Dąbrowski, Anna Maria Jopek!

Opędzam się od niego jak od muchy, a ten łązi od gabloty do gabloty i komentuje:

– A tu z indiańskim wodzem!

Jak zaraz wstanę i mu przywalę, to padnie! Ma szczęście, że le-dwo żyję.

Słyszę rozmowy, oczywiście o chorobach. Jedni siedzą na ławce, inni przed nimi stoją, uformowali się w kółko i każdy coś opowiada. Co jakiś czas otwierają się drzwi i pokazuje się pan Nowak. Zaprasza do środka kolejną osobę, z niektórymi się wita, podając dłoń, innym tylko mówi „Dzień dobry”. A więc to tak wygląda ten Zbyszek Nowak. Trudno powiedzieć, ile ma lat. W telewizji wyglądał

na czterdziestkę, teraz nadal wygląda młodo, ale inaczej. Dałbym mu może pięćdziesiąt pięć.

W sekundę obrzucił wszystkich wzrokiem i zniknął za drzwiami. Kółeczko powróciło do rozmów. Każdy opowiadał o swojej niedoli, ale ani razu nie padło słowo „rak”. Dało mi to do myślenia.

W tej samej chwili wszyscy spojrzeli w moją stronę. Aha, teraz moja kolej. Wysłuchałeś naszych spraw, teraz dawaj swoją, bo jak nie, to nie gadamy z tobą – takie są reguły przed każdym gabinetem. Zwlekam, ile mogę, ale pani siedząca obok serdecznie i zachęcająco pyta:

– A pan, to z czym do pana Zbyszka?

– Z rakiem mózgu – odpowiadam.

Nie wszyscy dosłyszeli, więc powtórzyłem głośniejszym głosem. W ułamku sekundy zapadła grobowa cisza, żadnego komentarza, tylko wymowne spojrzenia w moją stronę. Oho! Widzę, że w tym gronie nie mam konkurencji, nawet nie ma nikogo, kto by znał kogoś... Nie podniosło mnie to na duchu, raczej dobiło. Cisza potrwała jeszcze moment, ale że ludzie lubią mówić, znów zaczęły się rozmowy. Tyle tylko że nie na mój temat i nie ze mną. Doprawdy, nie było to pocieszające.

Wyglądało na to, że Nowak też mi nie pomoże. Niewiele brakowało, żebym wstał i wyszedł. Gdyby nie to, że lubię wszystko sprawdzać u źródła, że byłem umówiony, w dodatku od Rafała... Otworzyły się drzwi.

– Pan Roman, zapraszam.

Przecisnąłem się przez tłumek, wyczuwając spojrzenia mówiące: Jaka szkoda, taki młody facet, a już po nim. Nie było ani jednego: Trzymaj się, będzie dobrze, zobaczysz! Czegoś, co by mi dodało otuchy.

Wszedłem ledwo żywy, przedstawiłem się, zameldowałem, od kogo jestem, i przekazałem pozdrowienia. Widzę, że nie mam przed sobą wylewnego człowieka. Kulturalnie, ale krótko i rzeczowo po-

dziękował, również przekazał pozdrowienia dla naszego wspólnego znajomego i przeszedł do działania. Na gruby plik badań i dokumentów nawet nie spojrzął, odłożył na stół. Usłyszałem muzykę z poczekalni – tam moje ulubione włoskie przeboje, moja ukochana Italia, sześć lat życia, ale tu zaskoczenie jeszcze większe.

Kiedy dotarło do mnie, czego słucha Zbyszek Nowak w gabinecie, przeżyłem szok. Moja ukochana muzyka z Ameryki Południowej. Zwłaszcza z Peru i Boliwii. Przez całe życie nie spotkałem nikogo, kto lubiłby ją tak jak ja. Skoro tego słucha, to znaczy, że musi ją lubić. Te same utwory miałem na kasecie kupionej wiele, wiele lat temu. Niesamowite, poruszające, bardzo dziwne, dające jakąś nadzieję...

– Czy to oko ma pan tak od urodzenia, czy teraz się tak zrobiło?

Jakie oko? Czego on chce ode mnie? Zanim cokolwiek odpowiedziałem, szybkim ruchem przysunął mi lusterko do twarzy. Po raz kolejny zobaczyłem trupa, ale dostrzegłem też, że jedno oko zastania mi opadnięta wraz ze skórą nad łukiem brwiowym powieka. O to mu chodzi!

– Nie, to teraz tak się... – Nie zdążyłem dokończyć.

Psik, psik... Spryskał sobie dłonie wodą i zaczął się mną zajmować. Ledwo stoję, głodny, zmęczony, a ten z dziecinną lekkością macha rękami. To przykłada je do mojego ciała, to coś strzepuje. Psik, psik – raz z jednego spryskiwacza, raz z drugiego, bardzo sprytnie to robi, raz z tyłu, raz z przodu. Głowa, plecy, teraz usiąść na fotelu, ręce, nogi, brzuch, wstać, oprzeć się... Co się dzieje?

Gdzie chłopie tak się spieszysz? Tu poklepał, tam dotknął, na całym ubraniu mokre ślady. Jeszcze raz głowa, plecy, głowa. Ścisła mi dłoń i posyła głębokie, krótkie spojrzenie prosto w oczy.

– To wszystko. Dziękuję. Do widzenia. Proszę, pańskie dokumenty szpitalne.

I dodaje:

– Zapraszam na spotkanie ogólne. Jest pan moim gościem. Po spotkaniu wejdzie pan jeszcze raz jako pierwszy. I proszę nie kierować samochodem, co najmniej pół godziny.

– Mam kierowcę – odpowiadam.

– O! Choć jeden mądry! Zapraszam i kierowcę na spotkanie ogólne, jesteście moimi gośćmi, do zobaczenia na dole.

Teraz jego głos wydaje mi się znajomy, gdzieś już go słyszałem... I to całkiem niedawno!

Wyszedłem z gabinetu nie tyle zdziwiony, co wręcz zbaraniały. Nic, ale to kompletnie nic, nie poczułem! Tylko plamy wody na ubraniu świadczyły o tym, że coś ze mną robił. Wszystkiego jakiegoś dziesięć minut razem z rozmową i instrukcją dalszego działania. Nie wiem, czego się spodziewałem, raczej niczego konkretnego, ale na pewno nie tego! Pochlapał mnie wodą, skasował, zalecił kolejną wizytę i... już mnie wyleczył?! Myślałem, że... Sam nie wiem, co myślałem, ale coś takiego!!! W dodatku, kiedy spojrział na mój bilet, a ja powiedziałem, że mam raka mózgu, usłyszałem:

– Jeszcze niczym tego nie nazywajmy.

Mówiłem dalej. Że byłem w klinice. Bez komentarza, tylko uważne spojrzenie.

I że za parę dni chcę jechać do Szwecji na budowę. Tu zauważyłem coś jakby cień obawy w jego oczach. Jednak niczym więcej się nie zdradził. Zrozumiałem, że nie ma żartów, że będzie źle, jeśli tam pojedę. Jeszcze parę razy ukradkiem zmierzył mnie wzrokiem. I tyle.

W poczekalni pytające spojrzenie „nowych znajomych” i czyjś głos:

– No i jak?

– Nic nie poczułem – odpowiadam – ale kazał mi wejść jeszcze raz.

Podchodzę do okienka, ale panią Magdę ledwo widzę. Coś próbuję mówić, z trudem utrzymuję kontakt z rzeczywistością. Zablokowało mnie całkowicie. Nie mogę mówić, nie mogę nawet śliny przełknąć, pochylam się do okienka, a w głowie szum, trzask, plusk wody. Zamiast odgłosów rozmów z poczekalni – gdakanie i bulgotanie. Chcę wyjaśnić, że pan Zbyszek kazał mi wejść drugi raz.

– Ale to płatne czy nie płatne?

– Nie wiem! Kazał drugi raz wejść...

– No tak, ale płatne, czy nie?

– Nie wiem! Niech pani da mi bilet, zapłacę i już.

– Jak pan Zbyszek wyjdzie, niech pan zapyta, czy to płatne, czy druga część wizyty...

Powiedziała to takim tonem, że nie miałem już ochoty dalej dyskutować. Stałem pod drzwiami, wreszcie wychodzi. Ledwo go widzę, walczę z mdłościami, ale staram się jak mogę i pytam:

– Panie Zbyszku, czy to drugie spotkanie jest płatne, czy nie? Chciałem jeszcze dodać, że to nie ja, to recepcjonistka pyta, ale nie zdążyłem.

– Oczywiście, że płatne!!! To całkiem osobna sprawa!!!

Powiedział to takim tonem, że straciłem ochotę na dalszą rozmowę. Wolałbym chyba, żeby mnie wtedy kopnął albo opluł. Kto to jest? Co to za odzywki! Ja tylko grzecznie zapytałem. I to nawet nie było moje pytanie, tylko tej pani. Co za człowiek, nawet on tylko kasa i kasa. Załamał mnie. Tyle zapłaciłem za chlapanie wodą, mógłby być chociaż odrobinę miłszy. Nie to było najgorsze, że muszę zapłacić, ale to, że tak mnie publicznie opieprzył. Na cały głos, tu w poczekalni. Jak on się nie wstydzi tej swojej pazerności? Myślałem, że to święty człowiek, a tu... Brak słów!!!

Stałem tak i zastanawiałem się, co dalej robić: iść do tego chama czy nie? Ale co powie Rafał? Że szkoda mi było pieniędzy? Znają się ponad piętnaście lat, Rafał mi nie uwierzy, że to tak wyszło nie z mojej winy. Kurwa mać! Gdzie ten Rafał mnie wysłał! Umieram, ale ten ma to w dupie. Lekarze, szczególnie jeden, byli niemili, ale w porównaniu z Nowakiem to przyszcz.

Podszedłem do okienka, kupiłem bilet i poszliśmy z Darkiem na dół, na spotkanie ogólne. Ale ja nakręcałem się dalej, byłem wściekły. Na Rafała, na Nowaka, ale głównie na siebie. Jaki ja głupi! Dałem się namówić na coś takiego! Jaki łatwowierny! Żeby Darek mnie nie wyśmiał, zagryzłem wargi i udawałem, że wszystko jest

OK. Jakbym mu się pożalił, chyba zabiłby mnie śmiechem.

Usiedliśmy w pierwszym rzędzie. Leciał program telewizyjny Nowaka, jakaś powtórka. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem, jak wygląda jego żona. Fajna laska i tak dobrze prowadzi ten program. No jasne, za taką kasę to można i ładnie wyglądać, i się uśmiechać. Oczywiście, że płatne! Osobna sprawa! Nigdy w życiu tego nie zapomnę! Nigdy! A to wszystko przez tę dziewczynę z okienka, to ona mnie podpuściła. Taki wstyd! Miałem nerwy jak postronki. A jeszcze Darek dokładał po swojemu. Latał jak opętany, zaglądał wszędzie, czytał i pytał. I jak to on, całkowicie impregnowany, nie reagował na żaden opieprz. Ale dobrze, że był ze mną, bo to na nim odreagowałem za Nowaka i tę Magdę.

– Patrz, jacht! Ale się dorobił! Widziałeś, ilu pacjentów! O kaczki, kaczki na stawie...

– Siadaj na dupie, przestań węszyć. Co mnie obchodzi staw, jacht, działki i cały jego majątek! Mam inne problemy.

W sali zbiera się coraz więcej osób, każdy siada i w zasadzie wszyscy milczą, a ten lata i gada.

– Popatrz, widziałeś? Zdjęcie od Steczkowskiej! A tu błogosławieństwo od papieża Jana Pawła II, a tu rysunek Mleczki, a tu, a tu...

Faktycznie na ścianach sporo tego – podziękowania, rysunki od dzieci. Przeszkłone szafki wypchane przeróżnymi pamiątkami. Patrząc i zastanawiam się, kto i za uleczenie jakiej choroby dał jakąś rzecz. Chciałbym kiedyś i ja móc coś dać za uratowanie mojego życia... Boże, jeśli dam mu coś kiedyś w życiu... to by znaczyło, że przeżyłem... Poczułem się dziwnie spokojnie, ale zaraz zasypała mnie lawina myśli. Pytania i miliony odpowiedzi, pytania bez odpowiedzi, same odpowiedzi bez pytań. I znów spokój.

To było mniej więcej tak, jakbym szedł kilkoma drogami naraz. W tym samym czasie ścieżką nadziei i zwątpienia, rezygnacji i walki, rozsądku i głupoty...

Jak długo to wytrzymam?! Sala jest pełna, wszystkie miejsca zajęte, ktoś z obsługi przyniósł dwie butelki wody i jakiś koszyk, drugi jakieś książki, zdjęcia, pudełeczka... O co tu chodzi?! Co to jest?! I znów w głowie te słowa: „To osobna sprawa”.

Po cholerę ja tu przyjechałem! Sam sobie próbuję coś wytłumażyć i jakoś się uspokoić.

Słyszę za sobą szmer i głos:

– Dzień dobry, dzień dobry, witam państwa bardzo serdecznie...

Od końca sali idzie ktoś zdecydowany i odważny. To słyhać po sposobie chodzenia. Ja to nazywam oficerskim krokiem.

– Niektórym z państwa podam dłoń, a pozostali, proszę, niech podadzą je sobie nawzajem – mówi Nowak, ściskając prawicę, mnie i Darkowi także. Miło mi się zrobiło, ale on nawet na mnie nie spojrział. Czeka, ja ci popamiętam ten opieprz na górze!

Dziwnie się poczułem. Nie wiem, dlaczego miałem wrażenie, że to jest pierwsze spotkanie z Nowakiem. Nie dla mnie pierwsze, ale i dla niego. Pierwsze wystąpienie Zbyszka Nowaka przed publicznością w jego życiu. Dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, że to przecież trwa już dziesiątki lat. A potem, dołączył jeszcze żal – dlaczego ja tu nie przyjechałem dwadzieścia lat temu? Dlaczego nie byłem tu od samego początku?

– Którego dziś mamy? – pyta pan Zbyszek.

– Drugiego września – odpowiada ktoś z sali.

– Jak ten czas szybko leci, już wrzesień – mówi Nowak i zaczyna spotkanie. Coś opowiada, o czymś informuje, daje jakieś instrukcje, wreszcie słyszę:

– Proszę wyciągnąć przed siebie obie dłonie, zaczynamy przekaz energetyczny.

Wszyscy wyciągają ręce, to ja też. Spoglądam na Darka, on na mnie, nie wiemy, o co chodzi, ale skoro tak trzeba... Wykonujemy posłusznie kolejne polecenia. Szczerze mówiąc, trochę komicznie to wygląda, ale powaga na twarzy prowadzącego, smutek i ból na twarzach zebranych nie pozostawiają najmniejszych wątpliwości, że tu nikt nie żartuje. Nikomu tu nie jest do śmiechu, mnie prze-

cież też nie, tylko to wszystko trochę naiwnie wygląda. Ja tu przyjechałem z rakiem. Z rakiem, a nie z opryszczką! Powinien być dym, ogień, błyskawice, jakieś efekty specjalne! Tego człowiek oczekuje. A tu chlapanie wodą i teraz to! Gdzie te cuda?!

– Niektórzy mogą poczuć w dłoniach mrowienie, gorąco. Jeśli parzy, proszę rozsunąć dłonie...

Wtedy się zorientowałem, że coś jest. Ledwo wyczuwalne ciepło, jakby ktoś położył mi na dłoniach ciepłutkie bańki mydlane albo dwa małe kotki. Niewielki ciężar i miłe ciepło.

– Czujesz? – szepczę do kolegi. – Bo ja czuję!

Widząc jego spojrzenie zorientowałem się, że na ten temat to my raczej nie porozmawiamy. Pewnie pomyślał, że człowiek w obliczu śmierci jest w stanie we wszystko uwierzyć.

– Proszę położyć dłonie na swoim ciele... Teraz odrywamy dłonie i klaszczemy, jakbyśmy coś strzepywali...

Nie mam pojęcia, dlaczego, ale do dziś mam ochotę w tym momencie zapytać: „Ale co strzepywali?”. Mimo że coś tam poczułem, nadal to wszystko wydawało mi się raczej śmieszne i niepoważne, zabawy jak w przedszkolu.

– Zapytam, jak zwykle, czy ktoś czuł coś w dłoniach?

Kilka osób podniosło ręce, no to ja też. Dobrze, że zapytał kogoś innego, bo z pewnością odpowiedziałbym, że czułem ciepłe kotki. Byłby kabaret. A w ogóle, to siedzę tu w pierwszym rzędzie, na widoku, jestem od Rafała, z polecenia, w dodatku z rakiem, a on nawet na mnie nie spojrzy! Coś opowiada – o kocie z białaczką i o innych przypadkach. Nagle szok – pokazuje zdjęcia młodej dziewczyny, której na skutek jakiegoś antybiotyku odpadło ponad siedemdziesiąt procent skóry. Straszny widok, odwracam oczy. Ale na kolejnym zdjęciu pan Zbyszek stoi z ładną dziewczyną w jakimś hotelowych holu.

– A to zdjęcie zostało zrobione trzy tygodnie później, wszystko jest już w porządku.

To akurat zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Toż to cud! Chyba w takiej sprawie nie mógłby kłamać. Ale Nowak dodaje:

– Ta dziewczyna nie była u mnie, ja też nie byłem w szpitalu. Matka wysłała mi jej zdjęcie. Miałem tylko to zdjęcie. Tak działa TIOPZ, czyli Tryb Intensywnej Opieki Przez Zdjęcie*.

**Tryb Intensywnej Opieki przez Zdjęcie – w skrócie TIOPZ – jedna z form pomocy na odległość. Po raz pierwszy odkryłem i zastosowałem możliwość nawiązania kontaktu z chorym wyłącznie na podstawie zdjęcia w 1958 roku. Obserwowałem i doskonaliłem tę metodę do 2000 roku. Wtedy zdecydowałem się ją sformalizować i upowszechnić. Dziś TIOPZ jest uznana i praktykowaną przez tysiące ludzi metodą stałego wspomagania energetycznego. (Wszystkie przypisy autor zaczerpnął z wykładów Zbyszka Nowaka).*

No nie! Tu już przesadził, jak można ludziom takie głupoty gadać. Jakaś woda, jakieś trzy gesty – OK, jeszcze zdołałem w to uwierzyć, ale to? To już kpina z ludzi. Gdybym się nie wstydził, wstałbym i wyszedł. Oglądam się na innych pewien, że się śmieją, a tu nic, nawet szmeru. Każdy słucha z powagą. Przyglądam się twarzom, na sali nie siedzi ciemny lud. Eleganckie panie, panowie w marynarkach. Są też ubrani inaczej, ale nikogo tu nie można podejrzewać o głupotę czy naiwność. Dało mi to do myślenia.

Teraz Nowak opowiada o pilocie z Norwegii, który miał boreliozę. Wyciąga zdjęcia z pobytu w państwie Katar. Wspólne zdjęcia z szejkami robią wrażenie, nie powiem. Oni są bogaci, a nie można być głupim i bogatym jednocześnie. Pomijając przypadki spadku i wygranej na loterii. Jeśli ktoś ma majątek i umie nim zarządzać, to jest mądry. Więc skoro ci na zdjęciu są mądrzy i zapraszają Nowaka do siebie, to coś w tym musi być. Gdyby ich oszukiwał, temat byłby krótki. Nóż, pustynia i sępy. Tam żartów nie ma.

Próbuję zweryfikować, co i na ile jest prawdą. Wierzę, czy nie wierzę. Wyjść, czy zostać. Iść na to drugie spotkanie czy nie iść. Tornado w głowie szaleje. A Nowak pokazuje zdjęcia tomografu głowy. Na jednym jest guz, a na drugim nie ma. Zrobione w odstępie kilku miesięcy. Nie chce mi się wierzyć. No tak, ktoś miał

szczęście, komuś się udało, ale to nie oznacza, że mnie się uda. Ale ten ktoś z tego wyszedł, a guz miał jeszcze większy. Jest nadzieja. O, teraz opowiada o chłopczyku, któremu guz mózgu wypychał oko. Walczyli kilka miesięcy, chłopak, dorosły już człowiek, żyje i jest zdrowy.

Nowak patrzy na wszystkich, a na mnie nie! Znów wyciągamy ręce, teraz będzie jakiś główny przekaz energetyczny. Znów jestem zawiedziony, bo nic spektakularnego się nie dzieje. Może te „kotki” przez chwilę były wyraźniejsze, ale nic szczególnego. Potem energetyzacja wody, trochę o wodzie, trochę o miodzie, jakiś delikatny żarcik o tym kocie, na którego leczenie pani wydała dziesięć tysięcy złotych, a ja cały czas czekam na jakieś konkrety.

– Powoli zbliżamy się do końca, będziemy teraz zamykać nasze energetyczne sprawy, proszę zamknąć oczy... Przenosimy się w wyobraźni do chwil szczęścia... Zanim zamkniecie oczy, proszę się uśmiechnąć...

I przeniosłem się w myślach do Włoch. Miałem wtedy dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa lata i nie wiem dlaczego, ale akurat ta scena pojawiła się przed moimi oczami. Siedzimy z bratem na dachu samochodu naszego szefa, jest piękna pogoda, a my tacy młodzi i prawie piękni... Potem właśnie ten obraz powracał do mnie przez wiele spotkań, mimo że we Włoszech spędziłem sześć lat i było dużo takich fajnych chwil. Nie powiem, że poczułem się lepiej, ale z pewnością inaczej, tak jakby coś mnie pchało w kierunku tego „lepiej”.

– Już czujemy wygodne oparcie krzesła, nogi spoczywają na podłodze, a ja liczę do czterech i na cztery otwieramy oczy. Witam państwa w tym świecie, jakże prawdziwym...

Przyznam, że fajnie było choć na chwilę zapomnieć o wszystkim. Ale my tu gadu-gadu, a ja mam raka i nie czas na słodkie wspomnienia. Widzę, że spotkanie się kończy, więc pospiesznie wstaję i idę na górę, żeby mnie nikt nie wyprzedził. Pierwszy to pierwszy. Jest kilka starszych pań, a one, wiadomo, mają talent do wciskania się bez kolejki, więc muszę być sprytniejszy.

Nie zauważyłem, że tylko ja ruszyłem na górę. Nawet Darek nie poszedł za mną. I dobrze, jego safandulstwo choć raz się na coś przydało. Słyszę, że woła mnie z dołu:

– Roman, chodź, szybko! On jeszcze podchodzi do każdego i coś robi!

Nie miałem ochoty pokonywać tych schodów po raz kolejny, ale się uparł. Schodzę i myślę, że jeżeli znów coś źle zrozumiał, to go rozszarpię.

Stajemy przed panem Zbyszkiem, psik, psik, znów to samo. Kilka szybkich, zwinnych ruchów i następny. Próbuję się odwrócić, ale jakbym zesztyniał. Ruszam z całej siły, daję jeden krok, drugi i... ciemno przed oczami, potworny ból, jakby ktoś przeciął mi twarz samurajskim mieczem. Piecze, oko łzawi. Dobrze, że tam na środku jest drewniany słup. Chwilę szukam go po omacku, wreszcie opieram się o niego całym ciężarem. Mam wrażenie, że ktoś zdiera mi skórę z twarzy, a przy tym razi prądem, tak jakby dotykał tysiącem kabelków pod napięciem.

To jest zupełnie inny ból. Nie taki tępy jak do tej pory – ale żywy. Metodycznie, centymetr po centymetrze przesuwa się po mojej twarzy, tak jakby mi ktoś zrywał silikonową maskę. Została już połowa, jedna trzecia... próbuję pomóc i ciągnę głowę w przeciwnym kierunku, do bólu. Nagle, kilka centymetrów za uchem, ból się urywa.

Co za ulga! Znów widzę! Pierwsza myśl, że jakaś babcia mnie wyprzedza. Ruszam na górę. Już jestem pod drzwiami. Dziwne, ale w ogóle się nie zastanawiam, co stało się tam na dole. Czekam. Hol powoli się zapełnia, ktoś coś kupuje – miód, jakieś deseczki i znów te TIOPZ-y. Co to jest?

Drzwi otwierają się po kilkunastu minutach.

– O, jest pan, myślałem, że pan pojechał.

Jak to pojechał, skoro kazał mi przyjść jeszcze raz!!! Chyba mnie z kimś pomylił. Albo robi ze mnie głupa.

– O! Oko panu puściło!

Jakie, kurwa, oko?! Czego on znowu ode mnie chce?! Jeszcze nie dokończyłem myśli, a już miałem przed twarzą lusterko. To, co zobaczyłem, było niewiarygodne! Niesamowite! Łuk brwiowy i powieka wróciły na swoje miejsce, a twarz... Twarz zrobiła się jakaś taka jasna, znikła z niej ta trupia szarość. Ja pierniczę, to przecież jest niemożliwe!

Psik, psik, znów mnie poklepuje, coś zmiata ze mnie, coś zrzuca. Psik, psik, z przodu, z tyłu, na fotel, z fotela, wstać, usiąść, klep, klep, psik, psik...

– Proszę stanąć przede mną.

Trzyma dłoń nad moją głową, tak trochę z przodu, w odległości około trzydziestu centymetrów, i nie rusza jej, a ja dostaję potężny cios – jakby rozpalonym do białości kilofem – prosto w guz. Jednocześnie rozmawiamy, a właściwie to ja mówię. Pytam, czy byłoby dobrym pomysłem przyjechać na trzy dni, bo słyszałem o takiej możliwości na spotkaniu.

– Oczywiście, że tak – odpowiada.

I w tym momencie pada ten cios. Tracę wzrok, jak przez mgłę pamiętam, że upadam na fotel. Pan Zbyszek coś jeszcze do mnie mówi, ale słyszę go jak spod wody. Nie mogę odpowiedzieć, jestem cały zesztywniały. Obraz Zbyszka Nowaka i gabinetu rozmazuje się, rękami staram się dać sygnał, że nic nie rozumiem, nic do mnie nie dociera. Jedno tylko słyszę wyraźnie:

– Nie przejmuj się, nie takie byki tu padały...

Roześmiał się serdecznie i energicznie poklepał mnie po ramieniu.

Próbowałem się podnieść, ale nie dałem rady. Nowak złapał mnie od tyłu, podciągnął i wywlókł do poczekalni jak worek kartofli. Pomagałem, jak mogłem, ale niewiele byłem w stanie zrobić. Bardziej przeszkadzałem, niż pomagałem. Miałem nisko opuszczoną głowę i byłem zgięty wpół. Posadził mnie na ławce i kazał tak siedzieć minimum pół godziny. Dalsze instrukcje przekazał pani Magdzie i mojemu Darkowi, a ja spojrzałem na wystraszone twa-

rze innych pacjentów – czegoś podobnego chyba nigdy nie widzieli. Walczyłem z mdłościami i karuzelą w głowie, ledwo siedziałem. Coś do mnie mówiono, o coś pytano, ale ja nie kontaktowałem.

Posiedziałem jeszcze trochę i ruszyliśmy w kierunku samochodu. Świeże powietrze nieco mnie ocuciło. Uszedłem z pięćdziesiąt metrów i znów fala mdłości, zawroty głowy, znów nic nie widzę. Po omacku podszedłem do siatki i złapałem się jej kurczowo.

– Roman, co ci jest? – dopytywał się Darek nerwowo, a ja przypomniałem sobie, że obiecałem zadzwonić do Rafała. Prosił o raport zaraz po wyjściu z gabinetu. Numer miałem już wybrany wcześniej, wystarczyło tylko nacisnąć przycisk.

– Mów, jak się czujesz! Mów szybko, jak się czujesz! – krzyczał Rafał.

– Właśnie trzymam się siatki, bo zaraz upadnę – wybełkotałem.

– Kurwa, to będziesz żył!

– Rafał, pogadamy później...

– Będziesz żył, moja żona mówi, że będziesz żył, a ona wie, co mówi!

– Dobra, Rafał, pogadamy później, dzięki, na razie.

Stałem tak jeszcze jakiś czas, było mi troszkę lepiej, tymczasem Darek recytował mi listę możliwych reakcji po spotkaniu. Mdłości, biegunka, wysypka... Chyba próbował mnie dobić. Wreszcie dotarłem do samochodu, ale zanim ruszyliśmy, minęło kolejne pół godziny. Darek nawijał i komentował szeroko wszystko, co widział i słyszał tego dnia. Siedziałem nieobecny, oparty o szybę, albo ze spuszczoną głową, pogrążony w myślach: jedziemy do Lublina, ustalimy termin kolejnych badań, a jeśli Nowak nie pomógł, to przynajmniej umrę w rodzinnych stronach. Byłem mimo wszystko pod dużym wrażeniem. Z jednej strony wkurzony, z drugiej szczęśliwy. Jednocześnie.

Miałem ze sobą butelkę wody energetyzowanej. Co chwila ją odkręcałem, piłem jeden łyk i zakręcałem z powrotem. Potem

przypomniałem sobie o okładach. Wziąłem chusteczkę higieniczną, namoczyłem i położyłem na głowie. Nic się nie działo. Po pięciu minutach jeszcze raz tak samo i znów nic. Dopiero za kolejnym razem poczułem gorąco. Parzyło, jakbym robił okład z wrzątku. Dotknąłem palcami – zimny. Zrobiłem w sumie kilkanaście okładów, moimi obserwacjami dzieląc się z Darkiem. Nie wiem, co sobie myślał, bo patrzył trochę dziwnie.

A ja czułem się z każdą chwilą lepiej. W końcu rozgadaliśmy się na całego. Wspominaliśmy dawne czasy. Pięć lat w jednej klasie – jest co wspominać. Zagłębialiśmy się w temat coraz bardziej, wreszcie Darek mówi:

– Ja połowy z tego, co ty opowiadasz, w ogóle nie pamiętam!

A mnie przypomniało się wszystko.

– Pamiętam, gdzie się poznaliśmy i nawet, jakie wtedy miałeś trampki. Pamiętam, że poszliśmy do ciebie do domu, potem do kościoła, pamiętam, o czym wtedy rozmawialiśmy. Zamierzaliśmy zorganizować mecz międzyszkolny.

Wybitna pamięć do szczegółów i wszystkich zdarzeń sprzed lat, to była dla mnie norma. Aż do czasu choroby. Przecież jeszcze rano nie mogłem sobie przypomnieć, jak się nazywam.

Dojeżdżaliśmy do Lublina, więc zadzwoniłem do kliniki umówić się na spotkanie. Mój znajomy lekarz zaczął mnie od razu wypytywać, jak się czuję, a w pewnym momencie zauważył:

– Jakiś pan dziś taki... pełen energii!

Potem zadzwoniłem do mojego szwedzkiego współnika zapytać o nasze plany, a ten spytał:

– Roman, skąd ty masz dzisiaj tyle energii?

Zacząłem się śmiać i powiedziałem, że lepiej się poczułem.

A poczułem się na tyle lepiej, że w ostatniej chwili postanowiłem wydłużyć trasę i pojechaliśmy do Biłgoraja, do znajomych, po owoce leśne. Dopisywał nam humor, śmiaaliśmy się i bez przerwy wygłupiali. Spotkałem się też z moją ekipą. Chłopaki szykowali się

na wyjazd do Szwecji. Nic nie wiedzieli o mojej chorobie, jak bardzo jest groźna. Powiedziałem im, że za kilka dni do nich dojadę i wszystko będzie OK.

Pojechaliśmy prosto do Wojtka, u którego zastałem na działce. Była już dziesiąta wieczorem, a ja pełen humoru i radości. Stoimy przed domem, opowiadam mu całą historię. Ucieszył się, że mnie widzi w tak dobrym stanie. Powiedział, że pytał znajomych o opinie na temat Nowaka i że „różnie o nim mówią”. Domyśliłem się, że pozytywnych informacji na ten temat dla mnie nie ma. Ale co mi tam opinie, jeśli dobrze się czuję.

Wojtek wiele razy jeszcze się zastanawiał, czy aby Nowak mnie nie zahipnotyzował. Za każdym razem odpowiadałem:

– Można kogoś zahipnotyzować, żeby wstał, usiadł, zatańczył, zaśpiewał, ale nie da się nikogo nakłonić, żeby żył. Więc jeśli będę żył, to nie jest to hipnoza.

Wojtek niczego nie negował i nie podważał. Po prostu z całą odpowiedzialnością i troską starał się trzeźwo patrzeć na to, co się ze mną dzieje. I chwala mu za to.

Pogadaliśmy jeszcze, pośmialiśmy się. Potem pojechaliśmy z Darkiem coś zjeść i około północy znaleźliśmy się w hotelu. Widzę, że Darek odpywa, oczy mu się kleją. Nic dziwnego, wstaliśmy o trzeciej rano, przejechaliśmy blisko tysiąc kilometrów. Darek zasnął, a ja nie. Jakbym dopiero zaczynał dzień. Cały czas popijałem po maleńkim łyczku tę wodę od Nowaka. Jutro trzeba wstać wcześniej, cały dzień coś załatwiać i jeszcze powrót do Wrocławia. Próbuję zasnąć, ale nie ma mowy. Przypomniało mi się, co pan Zbyszek powiedział na spotkaniu – trzeba zapytać go w myślach, jeśli czegoś nie wiemy. I tak zrobiłem. Dlaczego nie mogę zasnąć?

Zobaczyłem pomiędzy sobą a ścianą coś jakby hologram, a głos w mojej głowie powiedział: „Przestań pić tę wodę, to zaśniesz”. Właśnie brałem butelkę do ust, więc szybko ją odstawiłem. Po kilkunastu minutach poczułem się senny. Nie wiem, kiedy zasnąłem, ale rano obudziłem się wyspany i wesoły. Noc bez koszmarów to skarb.

Znajomy lekarz z kliniki przyglądał mi się uważnie, ale nie powiedział nic poza tym, że cieszy się, widząc mnie w takim stanie. Byliśmy też na jego działce, oddaliśmy klucze i właśnie mieliśmy odjeżdżać, kiedy przypomniałem sobie o Waldku. Co z Waldkiem? Miał mieć operację 28 sierpnia, a dziś 3 września, to pewnie jest już na chodzie. Pielęgniarki na oddziale nie znalazły Waldka na liście pacjentów, a w komputerze nie było wzmianki o operacji. Upewniłem się, czy nie zaszła pomyłka i pomyślałem, że zapewne załatwił sobie operację w Wiedniu albo Hamburgu. Szkoda, że się nie spotkaliśmy, chętnie bym z nim pogadał, ale może to dobrze, że jest w jakimś lepszym szpitalu.

Droga powrotna do Wrocławia upłynęła nam szybko, śmiałyśmy się i wygłupialiśmy cały czas. Po wspólnych szkolnych pięciu latach minęło kolejnych piętnaście. Każdy żył swoim życiem i widzieliśmy się raptem kilka razy. Cieszyliśmy się zatem, że zbiegiem okoliczności możemy spędzić ze sobą kilka dni i opowiedzieć sobie o wszystkich tych sprawach, na które do tej pory nie było czasu.

Zupełnie zapomniałem, że niedługo mogę umrzeć. Trzymałem w dłoni zdjęcie pana Zbyszka, to małe, niebieskie. Nie wiem, co mi kazało przykładać je sobie do głowy. Zauważyłem, że kiedy przesuwam je w okolicę guza, parzy, jakby laserowy skalpel ciął mi mózg. Poruszając nim, byłem w stanie określić, gdzie dokładnie jest guz. Kolejny szok. Kiedy zdjęcie było nad środkiem głowy, czułem odpychanie. Żeby przysunąć je bliżej, musiałem użyć siły. Eksperymentowałem tak całą drogę, zastanawiając się, jak to jest możliwe.

Oczywiście rozmawialiśmy też o Nowaku. Analizowaliśmy szczególnie po szczególe, wszystko co zdarzyło się w Podkowie. Najpierw mnie opieprzył, a potem chyba uzdrowił. No bo skąd taka zmiana samopoczucia. Czułem, że popełniłem błąd. Dlaczego wzięłem tylko jedną butelkę wody?! Jaki ja jestem głupi! Niech no tylko doczekam kolejnego wyjazdu!

W domu niewiele mogłem opowiedzieć ze względu na dobro

sprawy, ale też nikt nie był specjalnie zainteresowany. Byłem nieco rozgoryczony, mógłbym umrzeć i nikt by nic nie zauważył.

Długo, bardzo długo było mi przykro, że niewiele to moich bliskich obchodzi. Wreszcie rozumiałem, że mój żal jest nieuzasadniony. Przecież nikt poza mną nie miał bladego pojęcia, co naprawdę się dzieje i że jest aż tak źle. W końcu przyznałem się tylko do niepotwierdzonych cieni w mózgu.

Miało to też ogromne pozytywne znaczenie dla całej sprawy, bo chcąc ukryć mój stan, musiałem maksymalnie się starać i robić wszystko, żeby rzecz się nie wydała. Nie wiem, co by się stało, gdyby wszyscy litowali się nade mną, gdyby płakali, kazali leżeć i odpoczywać, gdyby przynosili jedzenie do łóżka. Czy to nie osłabiłoby mnie do reszty? Czy zdołałbym to wytrzymać.

Wiele lat temu poznałem dziewczynę, która miała sporo problemów. Rodziny, zawodowych i innych. Dzieliła nas różnica wieku i odległość. Nie byliśmy też w swoim typie. To wszystko dawało gwarancję bezpiecznego podtrzymywania znajomości. Ona posłuchała potem mojej rady i wyjechała do Niemiec. I chociaż z początku nie wyglądało to kolorowo, w rezultacie ustawiła się nieźle. Kiedyś zadzwoniła i powiedziała, że poznała chłopaka. Scena jak z filmu. Wracła sama pociągiem w nocy, przysiadł się chłopak z gitarą i zostali parą. Ucieszyłem się, bo mimo że nie była brzydka, przez wiele lat nie mogła nikogo spotkać. Krótko mówiąc, jej życie pięknie się ułożyło.

Po wyjściu ze szpitala szukałem pomocy, gdzie tylko się dało. Przypominałem sobie o Natalii. Znają niemiecki, on jest rodowitym Niemcem, lubimy się. To jest myśl! Na pewno mi pomogą! Chodziło o to, żeby podzwonić, popytać, napisać jakies pismo albo coś przetłumaczyć. Byłem pewien, że mi nie odmówią. Napisałem SMS. Zawsze odpowiadała natychmiast, ale nie tym razem. A ja nawet nie wspominałem o moich problemach. Po kilku godzinach przyszedł SMS, z którego wynikało, że jest

w Polsce i za dwa dni będzie w Krakowie. Odpisałem, że koniecznie musimy się zobaczyć. Planowaliśmy to spotkanie od dwóch lat, bo chciała mi przedstawić swojego chłopaka, a mimo to zgodziła się jakoś niechętnie, jakby pod przymusem.

Bardzo źle się czułem, więc zawiózł mnie kolega. Spotkaliśmy się z Natalią i Saszą w muzeum, kolega został w samochodzie. Zdawałem sobie sprawę, że postawiłem ich w sytuacji bez wyjścia, wymusiłem to spotkanie, toteż nie zdziwiła mnie jej niezadowolona mina. Nigdy takich rzeczy nie robię, ale tym razem naprawdę potrzebowałem ratunku. W kilku zdaniach wyjaśniłem, o co chodzi i poprosiłem o pomoc w skontaktowaniu się z kliniką w Hamburgu. Wydawało się, że się przejęła, jej oczy zaczęły błyszczeć, ale czułem, że nie mogę na nią liczyć. Zawsze była taka miła, uczynna, a teraz, w obliczu mojej choroby, pozostała zimna jak lód. Zapytała jedynie, czy mam za co żyć.

– Mam – zapewniłem – mam nawet wystarczająco dużo pieniędzy na leczenie za granicą. Potrzebuję tylko tłumacza.

Jej kamienna twarz była wystarczającą odpowiedzią. Podziękowałem za rozmowę, przeprosiłem, że przeszkadzam w zwiedzaniu i oszedłem, a potem rozplakałem się jak dziecko. Przeklinałem ją w duchu, jak potrafiłem najgorzej. Tyle razy jej pomogłem, cierpliwie wysłuchiwałem o wszystkich problemach, doradzałem, pocieszałem, a ona teraz po prostu odpowiedziała cokolwiek na odczepkę. Jak ja jej wtedy nienawidziłem!

Dotarłem do samochodu. Mariusz spytał zaniepokojony:

– No i co? Nie spotkałeś tych znajomych?

– Spotkałem.

– I co?

– Nic. Pogadaliśmy i możemy wracać.

Gdyby ktoś inny był wtedy na jego miejscu, to na pewno by mi się dostało. Cztery godziny jechaliśmy na spotkanie, które trwało dziesięć minut. Ale Mariusz jest w porządku gość i to mnie uratowało. Był co prawda pewien, że z niego zakpiłem i aż kręcił głową ze zdumienia, jednak nie komentował. A ja udawałem, że właśnie

tak miało być. Było mi wstyd. Wróciliśmy do domu praktycznie w milczeniu. Całą drogę kłóciłem się w myślach z Natalią, wyklinałem ją i wypominałem wszystko, co dla niej zrobiłem.

A potem trafiłem do Zbyszka Nowaka. I wtedy zacząłem być Natalii niezmiernie wdzięczny. Dziękowałem jej w myślach i wyobrażałem sobie, co by było, gdyby się zgodziła i podjęła akcję. Gdybym wtedy miał wybierać pomiędzy Nowakiem a jakąś niemiecką kliniką, z pewnością nie dotarłbym na Jaśminową 7. Ludzie-anioły działają jednak na różne sposoby.

Trudy dwudniowej eskapady dały mi się we znaki. Poczułem się gorzej, a w nocy znów męczyły mnie koszmary. Rano trochę lepiej, a potem znów spadek formy. Kolejnego dnia już zdecydowanie źle i na zasadzie reakcji łańcuchowej powróciły wszystkie czarne myśli. Nakręcałem się coraz bardziej. Co mnie podkusiło, żeby jechać taki kawał bez odpoczynku?! Niby tylko jako pasażer, ale w takim stanie to przecież i tak zbyt wyczerpujące.

Po powrocie do domu usiedliśmy do obiadu. Zaczynamy jeść, ale żeby nie marnować czasu, postawiłem obok talerzyk z energetyzowaną wodą, moczyłem chusteczki i robiłem okłady na głowę. Wpadła wygłodniała i natrętna mucha. Siadała na talerze i nie dawała się przegonić. W końcu przysiadła na brzegu talerzyka z wodą i zaczęła pić. Nie przepędzaliśmy jej, bo wreszcie była chwila spokoju. Zajęliśmy się jedzeniem i rozmową. Po jakimś czasie spojrzałem na talerzyk i zobaczyłem, że mucha siedzi w tym samym miejscu i się nie rusza. Wyglądała dziwnie. Rozpostarte skrzydła i sterzcący penis. Dotknąłem jej, ale już nie żyła.

– Pamiętasz, co mówił pan Zbyszek – odezwał się Darek – o częstotliwościach? Pasożyty od zera do trzech i pół tysiąca, ludzie od pięciu do siedmiu tysięcy, a rośliny lecznicze od siedmiu i pół tysiąca do dziesięciu tysięcy w skali Antona Bovisa, czy jakoś tak. To pewnie dlatego ta mucha zginęła.

Z energetyzowaną wodą miałem kilka przygód. Bywało, że okła-

dy robiły się gorące, a raz, kiedy zasnąłem z chusteczkami na głowie i obudziłem się dopiero rano, były częściowo w kolorze brunatno-brązowym. Aż się wystraszyłem. Do dziś trzęsę się na samo wspomnienie.

W sobotę było naprawdę bardzo źle. Cieszyłem się, że już następnego dnia jadę do Podkowy i martwiłem jednocześnie, że spotkanie dopiero w poniedziałek. Potem kolejna straszna noc i nowy atak paniki.

W niedzielny poranek kombinowałem od śniadania, jak by tu wyjechać najszybciej, bo z minuty na minutę było ze mną gorzej. Wreszcie wsiedliśmy do samochodu i jedziemy. Ledwo ruszyliśmy, a już poczułem się lepiej. A potem, im bliżej celu, tym lepiej i lepiej.

Dojechaliśmy. Jakaś pani otwiera nam bramę i prowadzi gdzieś w głąb tej olbrzymiej posesji.

– Panowie do Alkano*? – pyta.

**Willa Alkano, Pensjonat Alicja, Apartament Leśny, Pistacjowe Studio – tak nazywają się nasze hoteliki i miejsca noclegowe. Pracownicy oczywiście obsługują się skrótami. Jeśli są wolne miejsca, zachęcamy gości, żeby sami wybrali sobie najwygodniejszy pokój.*

Co to jest Alkano, do cholery?! Czy oni tu nie mogą obsługiwać się normalnym językiem: TIOPZ, Alkano, Alicja, Drewniak, Leśny...!

– Mam być w pokoju z łazienką, tyle wiem.

– Ale w Leśnym czy w Alkano? – drąży pani od pokoi. Czy ona nie rozumie? Jestem pierwszy raz, ledwo kontaktuję, a ta mi wali jakimiś skrótami, hasłami! Co za bałagan i brak organizacji! W końcu się dogadaliśmy.

– Alkano to koło pana Zbyszka.

Po co mi, kobieto, tłumaczysz, gdzie i jak to coś się nazywa, ja tu ledwo stoję, a ty taka precyzyjna. Wreszcie docieramy pod jakiś domek jednorodzinny. Zaraz idę się położyć, pierwsze co zrobię, to odpocznę!

Ale gdzie tam! Jeszcze długo nie będzie mi dane dotknąć łóżka. Najpierw pani Basia chce wiedzieć, który pokój: parter czy piętro,

z kominkiem czy bez, dwójka czy trójka, a może czwórka, a może piątka...

– Piątka to ten z kominkiem, panie Romanie!

Boże, co mnie to obchodzi, ja się chcę położyć! Zaczyna się jednak kolejne przesłuchanie. Nie wytrzymam z tą babą, jak to możliwe, że ona nie wie, który mam pokój! Rezerwacja była imienna.

W końcu dostałem klucze do pokoju, ale to jeszcze nie koniec tortur. Pani Basia wszystko objaśnia z detalami. Zostaję przeszkolony, jak należy korzystać z pomocy pana Zbyszka, a przy okazji dowiaduję się o kilku przypadkach ludzi umierających, którzy stawali tu na nogi.

Za kilka dni, kiedy znacznie lepiej się poczuję, zrozumiem, że to były bardzo ważne informacje i zalecenia. Pani Basia była po prostu miła i uczynna, to ja wszystko wyolbrzymiałem i o wszystko miałem pretensje.

Nawet do Darka, który tak wiele dla mnie robił. Tylko on ze swoim specyficznym charakterem mógł ze mną wytrzymać. Ktoś inny już dawno by mnie wyrzucił z samochodu. Nieraz widziałem, jak odwraca głowę i milczy, żeby przeczekać moje ataki i złośliwości. Kolejny ze skrzydłami...

Darek pojechał do domu, zostałem sam. Niezupełnie sam, byli jeszcze jacyś państwo z pieskami, których pazury tak zgrzytały o płytki w kuchni, że mózg mi pękał. Noc minęła w miarę spokojnie. Kilka krótkich sennych koszmarów to już był drobiazg, nie ma o czym mówić.

Umówiony byłem na dziewiątą, ale poszedłem wcześniej. Kupiłem bilet, kilka butelek wody i usiadłem w fotelu przy drzwiach. Tu dopiero poczułem się dobrze i bezpiecznie. Tu pewno nie umrę. Jakby co, to wezwą pana Zbyszka i mnie uratuje.

Otworzyły się drzwi, pan Zbyszek wyszedł na korytarz.

– Dzień dobry, witam państwa...

Zobaczył jakiegoś pana, widać znali się dobrze, bo przywitali się „na misia”. Pozostałym podał rękę. Mnie też!

To spotkanie obyło się bez atrakcji typu cios w głowę czy omdlenie. Zamieniliśmy tylko kilka słów. Przypomniałem, że za kilka dni zamierzam jechać do Szwecji. Tak jak poprzednio, Nowak nic nie odpowiedział, tylko spojrział znacząco. To mi wystarczyło. No, to chyba kiepsko ze mną.

– Proszę zostać na ogólnym, do widzenia.

Niby nawet miłym tonem, ale ja wciąż miałem w uszach hasło z poprzedniego razu: To jest całkowicie osobna sprawa! I to psuło mi wszystko.

Znów siedzę w fotelu, nad głową ta sama co zawsze włoska muzyka. Raz już byłem, teraz ogólne i co, kolejne dopiero jutro?! To po co ja tu będę czas marnował?! Jak działać, to na maksa – postanowiłem chodzić i przed, i po ogólnym.

Ogólne spotkanie niewiele różniło się od poprzedniego. Prawie te same opowieści, znów było o kocie i krzywym kaktusie. Jaki to ma sens*? Na końcu ktoś się wypowiadał, ale to były takie historie, że dziecko by nie uwierzyło. Obserwuję ludzi z mojego fotela i coraz bardziej mnie wkurzają.

**Spotkanie ogólne, nazywane również zbiorowym, trwa około godziny. Cały czas płynie energia. Spotkanie ma części stałe (przekaz energii i energetyzację wody) i wykład wskazujący przyczyny dolegliwości i dający proste wskazówki istotne dla zachowania dobrego zdrowia.*

– Poproszę dziesięć kartek wodnych i dwa zdjęcia, bo wie pani, jak nie mogę spać, to sobie przykładam i od razu zasypiam.

– A ja dwa TIOPZ-y na trzy miesiące.

– A ja kalendarz, bo jak nogi bolą...

Coraz to nowi wchodzą i coś kupują. Ze zdziwienia aż kręcę głowę – co za ciemny naród, jak łatwo ich można oszukać! Powariowali! A najbardziej wkurzają mnie te jakieś TIOPZ-y. Co to jest? I dlaczego tak dziwnie się nazywa?

– Madziu, bardzo się spieszę, daj mi, proszę, kartki wodne, coś mi jelita dokuczają.

– Poproszę deseczkę, tę dużą, córka ma egzamin i dużo nauki,

a tamta jej się zniszczyła.

Zaraz coś mnie trafi. Jak do apteki, cholera jasna, a Nowak pomocny na wszystko! Najciekawsze, że nikogo poza mną to nie dziwi. Jacyś szurnięci ludzie tu przychodzą. Ale z drugiej strony ciężko posądzać o głupotę tego elegancko ubranego i – wiadać, że – wykształconego pana, który siedzi sobie spokojnie i wypisuje cały stos tych TIOPIZ-ów. Jednak nie, gdybym był zdrowy, gdybym czuł się lepiej albo miał inne wyjście, to z tych nerwów walnąłbym drzwiami, potem furtką i więcej się tu nie pokazał. Są granice nawet mojej wytrzymałości!

Wiedziałem, niestety, że to jedyna moja szansa, więc tylko zamknąłem oczy, oparłem się wygodnie i pograżyłem w swoich myślach. Pacjenci* krążą, wchodzą i wychodzą z gabinetu, jeden po drugim.

**Roman nazywa moich podopiecznych pacjentami. Jednak ja nie używam tego terminu jako słowa zastrzeżonego dla lekarzy.*

Nagle ktoś mnie szarpie za rękaw. Nawet nie zauważyłem, że jakaś kobieta usiadła obok.

– Dlaczego pan tak dziwnie odwraca głowę, kiedy pan Zbyszek otwiera drzwi?

Spojrzałem na nią zdziwiony. Czego ta baba chce ode mnie! Ludzie to mają pomysły! Jak obserwują, a w dodatku zmyślają, zamiast się zająć sobą.

– Wcale jej nie odwracam. Nie wiem, o co pani chodzi.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i wyszedł pan Zbyszek.

– O! Widzi pan? Właśnie znów pan odwrócił głowę!

Rzeczywiście. Moja głowa nienaturalnie odchyliła się do tyłu i na bok, w kierunku drzwi. Zacząłem to obserwować, działo się tak za każdym razem, kiedy się otwierały, a nawet nieco wcześniej – wtedy, kiedy Nowak zbliżał się, żeby wpuścić nową osobę. Okazało się również, że kiedy wewnątrz trwa zabieg, w mojej głowie też coś

się dzieje, czułem dziwne uderzenia. Po ich natężeniu poznawałem, gdzie dokładnie znajduje się chore miejsce.

Drugi tego dnia zabieg też nie był niczym wyjątkowym. Zamieniliśmy może dwa zdania, reszta spotkania upłynęła w całkowitej ciszy. Nie to, żebym nie miał pytań, po prostu widząc liczbę pacjentów, nie miałem sumienia zwracać Nowakowi głowy. Ja tu jestem trzy dni, mam czas. Znów usiadłem sobie w „moim” fotelu. Odpoczywałem. Dzień powoli się kończył, wyszedł ostatni pacjent, za nim pan Zbyszek.

– Pan jeszcze tu? – spytał głośno i ostro.

No i spojrzał surowo. Znów mnie opieprzył! Zrobiło mi się strasznie głupio i wstyd. No tak, wszyscy już dawno poszli, tylko ja tu siedzę od rana. Teraz do mnie dotarło, że nawet nie jadłem śniadania. Poczulem potworny głód, pożegnałem się i poszedłem do Alkano. Alkano – co za głupia nazwa!

Zjadłem i położyłem się do łóżka w ubraniu, bo było mi zimno. Po półgodzinie poczułem się niesamowicie lekko i dobrze. Ach, jak bardzo dobrze! Muszę tu koniecznie przywieźć mojego szwedzkiego kolegę Håkana – złapałem za telefon i dzwonię do niego spod kołdry.

– Hello, Big Man!

– Hej, lille pojk! – To nasze stare powiedzonko.

– Odpowiedz mi krótko, chcesz być zdrowy?

– Ale o co chodzi?

– Czy chcesz być zdrowy? Pytam.

– Tak, ale...

– Bez ale. Słuchaj mnie uważnie. Za tydzień, w niedzielę, lądujesz na Okęciu. Wracasz we czwartek.

– Ale co się stało?

– Nic. Lądujesz w niedzielę, we czwartek wracasz, rozumiałeś?

– Daj mi pół godziny.

Za pół godziny:

– Roman, do zobaczenia w niedzielę!

Bardzo się ucieszyłem. Może to nasze ostatnie spotkanie? Dobrze że w Polsce. Dalej leżę w łóżku, czuję się lepiej, więc od razu biorę się do działania i zastanawiam się, co jeszcze mam do załatwienia. Nagle błysk w głowie – Waldek! Jak mogłem zapomnieć o Waldku? Gdzie ja mam jego telefon? Jest! Abonent niedostępny! Zaniepokoiłem się, ale mam też telefon do jego żony.

– Halo, słucham.

– Czy mam przyjemność rozmawiać z panią Mariolą? Roman z tej strony, sąsiad Waldka z kliniki.

– A, witam pana, panie Romanie.

– Co u Waldka? Jak się czuje?

– Leży na Banacha w Warszawie, jest po operacji, odzyskał przytomność, ale nie mówi i się nie rusza. Rozpoznaje znajomych. A pan, jak pan się czuje?

– Było bardzo źle, ale trafiłem do Zbyszka Nowaka i jest dużo lepiej. Pani Mariolu, proszę Waldka tu zabrać albo znaleźć jakiś inny sposób. Może pan Zbyszek zgodzi się przyjechać do szpitala.

Byłem pewien, że żona Waldka będzie skakała z radości, słysząc że jest ktoś, kto może wspomóc leczenie. Tymczasem to, co usłyszałem, niemal mnie zabiło.

– Dlaczego akurat dzisiaj pan dzwoni?

– Bo jestem u pana Zbyszka, poczułem się lepiej i od razu pomyślałem, żeby zawiadomić Waldka...

– Ale dlaczego właśnie teraz, dzisiaj?

– No właśnie tłumaczę, lepiej się czuję i pomyślałem o Waldku. Jego telefon nie odpowiada, więc dzwonię do pani...

– Ale dlaczego dzisiaj?

– Nie rozumiem, o co pani chodzi.

– To ja nie rozumiem, o co panu chodzi!

– Mnie? Tylko o to, żeby Waldka ratować!

– Aha, ratować! Właśnie dziś zamówiłam preparaty, które mi pan polecił. Za osiemset złotych! A pan mi tu z kolejnymi rewelacjami dzwoni!

– Co pani zrobiła?

– Zamówiłam preparaty, które pan polecał. Za osiemset złotych!

– Dzisiaj je pani zamówiła?!

Nie wierzyłem w to, co słyszę. Był 8 września. Mówiłem o tych wzmacniających preparatach w pierwszych dniach sierpnia. Co to za kobieta?! I z jaką złością wykrzyczała, że osiemset złotych! Jakby to było co najmniej osiem milionów. Na leczenie psa albo kota ludzie wydają po kilkadziesiąt tysięcy, a ta żałowała ośmiuset złotych! Widzę, że jej nie przekonam, więc proponuję, że przyjadę do szpitala. Z początku nie chce, ale wręcz zmuszam ją do spotkania.

Wybiegłem z Alkano na główną ulicę. Jakiś magiel czy pralnia, facet wyjeżdżał z podwórka, więc poprosiłem o podwiezienie do Warszawy. Wykręcał się brakiem czasu, ale ja nalegałem, więc zaczął mi tłumaczyć, gdzie jest postój taksówek i jakieś WKD. Co to, do cholery, jest WKD?! Czy oni tu wszyscy muszą mówić skrótami?! Pytam, ale on w kółko to samo: WKD i WKD... Widzę, że tracę czas, niczego się nie dowiem, więc dalej biegnę główną ulicą, ledwo już widzę na oczy. Cały spocony dobiegam do torów. Na postoju pusto, jakby od wojny nie było tu taksówek, ale jest stacja kolejowa! To musi być to tajemnicze WKD! Już w pociągu usiłuję się dowiedzieć, gdzie mam wysiąść, żeby dotrzeć na Banacha. Jakaś pani zaczyna mi tłumaczyć, ale ja jej prawie nie słyszę, już mam mdłości, w głowie mi wiruje. Dotykam czołem chłodnej szyby, nic nie pomaga. Wiem tylko, że jestem w pociągu i jestem na siebie wściekły. Jestem umierającym durniem, który zamiast leżeć i odpoczywać, lata za jakimś Waldkiem. Wsiadam zgodnie z radą na Zachodnim i znów pytam kogoś o szpital na Banacha. Słyszę, że to niedaleko, można dojść piechotą, prosto, w lewo, dwa razy w prawo, w lewo....

Zanim wydostałem się z dworca, nie miałem pojęcia, co dalej. Gorzej, nie miałem też siły ani pomysłu, jak wrócić. Kurwa, co mnie

podkusiło, ja pierdołę! Błądziłem, ledwo ciągnąc nogi. Znów podziemia i jakieś remonty. Chodziłem tam i z powrotem, nie mogłem znaleźć drogi, kłąłem na wszystko i na wszystkich, a najbardziej na samego siebie. Wreszcie wyszedłem z tego piekła, znalazłem taksówkę, coś tam było jeszcze z tymi taksówkarzami nie tak, ale w końcu dotarłem do szpitala. Gigantyczny, przerażający magazyn cierpienia. Umówiłem się z panią Mariolą w barze. Niestety, nie zgodziła się na odwiedziny u Waldka. Czekałem ze dwie godziny. Wreszcie się pojawiła i powiedziała, że kiedy Waldek usłyszał, że przyjechałem go odwiedzić, zaczął płakać. A mimo wszystko nie zgodziła się, żebym wszedł na górę. Co za baba! Rozmawialiśmy przy herbacie, a ja na wszystkie sposoby usiłowałem ją przekonać, żeby skorzystała z pomocy pana Zbyszka. Opowiadałem o moim stanie i jak się czuję teraz. Przecież gdyby to nie pomagało, nie byłbym w stanie tu przyjechać... Nic do niej nie docierało, wypominała mi tylko te osiemset złotych. Spróbowałem po raz ostatni.

– To może niech pani wyśle chociaż SMS...

– Tak, wyślę, a potem mi przyjdzie rachunek, z pięć dych!

Przeklinałem ją w myśli i prawie skapitulowałem, ale w ostatniej chwili wyjąłem to małe, niebieskie zdjęcie pana Zbyszka i nagle... Zmienił się wyraz jej twarzy, zabrała zdjęcie i wlepiła w nie wzrok.

– Co mam z tym zdjęciem zrobić?

– Przyłożyć mu do głowy, położyć pod poduszką, cokolwiek, proszę coś wymyślić.

Zerwała się i pobiegła do windy. Odetchnąłem z ulgą, ale wiedziałem, że mam tylko kilka minut, żeby coś wymyślić. Stałem na korytarzu i gorączkowo szukałem pomysłu, wreszcie... mam! Przecież ona tylko te osiemset i osiemset! Wyjąłem z portfela tysiąc złotych i czekałem. Kiedy wróciła, wziąłem ją za rękę i wciskając banknoty w jej dłoń, powiedziałem:

– Masz tu, kobieto, tysiąc złotych i nie myśl, że chodziło mi o jakieś pierdolone osiemset. Chciałem ratować Waldka, tylko tyle! Rozumiesz?

Nie chciała wziąć, ale ją zmusiłem. Powiedziałem, że jutro ma

być w Podkowie najwcześniej jak się da, a zdjęcie Waldka ma mi jak najszybciej wysłać mailem. Nawet nie protestowała. Popłakała się i poszła.

Wróciłem do Alkano po dziesiątej, byłem wykończony. Zjadłem cokolwiek i padłem. Rano była akcja ze zdjęciem Waldka i przyjazdem pani Marioli. Kupiłem jej bilety na ogólne i indywidualne, zrobiłem wodę, po spotkaniu odprowadziłem do kolejki i na ostatnich nogach wróciłem do przychodni. To był dziewiąty września, dzień w którym według pierwszej rezerwacji miałem pojawić się w Podkowie i dzień, którego, według mnie, miałem nie dożyć. A ja tu takie eskapady urządzam i Waldka ratuję! To chyba nie jest ze mną tak źle...

Przyjechał Rafał, wszedł do pana Zbyszka, wyszedł, pogadaliśmy chwilę i pojechał. Wróciłem do poczekalni, pan Zbyszek zaprosił mnie do środka, i pyta:

– Kim dla pana jest pan Rafał?

– Przyjacielem.

Odpowiedziałem bez zastanowienia i nagle zaschło mi w gardle. Co ja powiedziałem? Rafał był tu przed chwilą, pewnie powiedział co innego, że znajomy albo że kolega, a ja tu z przyjacielem wyjeżdżam. Szybko zacząłem wyjaśniać.

– No, przyjaciel, ale my ani nie pijemy razem, ani nie imprezujemy... tak tylko... no... taka inna ta nasza przyjaźń jest... Znamy się piętnaście lat, a nigdy nawet herbaty razem nie piliśmy...

Widzę, że się pograżam.

– A dlaczego pan pyta?

– Widzi pan, Rafał przyjeżdża tu ponad piętnaście lat, przywoził różnych ludzi, ale jeszcze nigdy o nikogo tak nie prosił, jak o pana.

Rozplakałem się. Wszystkiego bym się spodziewał, ale nie tego! Absolutnie! Widziałem, że pan Zbyszek też jest poruszony.

Powiedziałem mu wtedy o Częstochowie.

– To jest moja Matka – powiedział.

Wzięłem go za rękę.

– Moja też, panie Zbyszku. Moja też.

Skończył zabieg i kazał mi poczekać, aż wszystkich przyjmie. Znów mnie zaprosił, tym razem bez biletu. Widać było, że się spieszy. Usiadłem na fotelu, zajął się mną i kazał przez chwilę się nie ruszać. Kątem oka widziałem, że ściąga spodnie, wkłada drugie, przebiera się.

Nowak skończył pracę.

– A co pan robi dziś po południu? Jadę do Warszawy. Może pan pojedzie z nami? Pogadamy po drodze, mam parę pytań budowlanych.

Aż mi się w głowie zakręciło. Pan Zbyszek chce zasięgnąć mojej opinii, pogadać, proponuje przejażdżkę, szok! Kierowca już podjeżdża. Jedziemy pod jakiś drewniany budynek, jest tam ekipa remontowa, wchodzimy do środka. Marnie się czuję, ledwo stoję i słabo widzę. Pada pytanie:

– Jakby pan wyciął tu drzwi, to co by pan zrobił nad nimi?

Próbuję coś mówić, ale nie znajduję odpowiedzi, chociaż staram się ze wszystkich sił. A tu już drugie pytanie. I kolejne. Coś tam dukam, ale wiem, że to bez sensu. Widzę, że Nowak tylko udaje, że mnie słucha. Po chwili odwraca się i gdzieś idzie. Głupio mi się zrobiło, Rafał mnie przedstawił jako fachowca, a ja tu dałem plamę. Wsiadamy do samochodu, jedziemy nad stawy i znów to samo. Pytanie, ja coś wymyślam, on nie słucha. Teraz pyta o pływające domy i czy zgodziłbym się wybudować coś takiego dla niego. Kolejny szok. Ja miałbym budować dom dla Zbyszka Nowaka?! Dla tego Zbyszka Nowaka?! Święty mnie prosi o wybudowanie domu! Patrzę na niego, jak na trzydziestometrowy witraż. A święty wyciąga przed siebie ręce.

– Byłeś mi potrzebny, to wyciągnąłem te moje anteny – patrzy na swoje ręce – i przywołałem cię do siebie. Chodź, zapierdalaj tu do mnie budować dom.

Oniemiałem, prawie upadłem. Co on powiedział! Zapierdalaj! To ja cię mam za świętego, a ty takie słowa... Załamał mnie.

W ułamku sekundy witraż rozsypał się i spadł na ziemię. O matko, co on powiedział!

Znów jesteśmy w samochodzie, jedziemy dalej. Ale mi się trafiło! Całe życie marzyłem o tym, żeby zbudować pływający dom. Ale mnie zaszczyt kopnął! Nowak chce mnie do takiej budowy. Znów padło jakieś pytanie, znów nie bardzo słuchał odpowiedzi. Siedziałem z tyłu, walcząc z mdłościami. Jacek jechał, jak na mój stan, makabrycznie. I ta cisza, zero rozmowy, a podobno chciał ze mną pogadać. Skoro tak, wziąłem telefon i zacząłem pisać SMS do narzeczonej, ale było coraz gorzej, nie widziałem liter, nie mogłem się skupić. Weszliśmy do jakiegoś marketu. Pamiętam, że myślałem tylko o jednym – gdzie jest toaleta. Nie zdążyłem nawet zapytać, a już Nowak pokazał mi ręką kierunek. Skąd on wiedział?!

W drodze powrotnej Jacek znów jechał jak pirat. W Podkowie tak wziął zakręt, że byłem już pewien – testuje moją wytrzymałość.

– Tu jest sklep – słyszę głos pana Zbyszka – można tu wszystko kupić, nawet gazety! Nawet gazety – powtórzył z naciskiem.

Zastanawiałem się, o co mu chodzi, co w tym dziwnego w naszych czasach. Niby taki obcykany gość, a zachwyca się, że może tu kupić gazety. Może ze starości tak mu się porobiło, wychowywał się w dawnych czasach. No, ale przecież zjeździł cały świat, widział więcej niż niejeden prezydent, a tak się dziwi, że w sklepie są „nawet gazety”.

Wjechaliśmy na posesję.

– Pan pewnie zmęczony. Proszę iść się położyć.

Niby grzecznie i miło to powiedział, ale ewidentnie chciał się mnie pozbyć i nawet niespecjalnie się z tym krył. Wydajność mojego mózgu oceniłbym wtedy na jakieś pięć procent, a podczas tej przejażdżki spadła pewnie do jednego. Trudno to sobie wyobrazić, ale kiedy to wspominam i analizuję, ile potrzebowałem czasu, aby pomyśleć o najprostszych sprawach, to sam nie mogę w to uwierzyć. Z trudem wysiadłem z auta i powlokłem się noga za nogą

do Alkano. Jak mógł mnie tak zostawić! Było mi zimno, telepało mną jak przemarzniętym szczeniakiem w kałuży. Pół reklamówki zakupów ważyło tonę, ledwo to niosłem. Jak on mógł tak po prostu mnie wysadzić kawał drogi od hotelu! O co temu człowiekowi chodzi?! Najpierw miło zagaduje, zaprasza na przejażdżkę, ma rzekomo mnóstwo pytań, a potem totalnie olewa. A w dodatku te cholerne gazety...

Zziębnięty i mokry, chociaż nie padało, dotarłem do pokoju. Położyłem się głodny i w ubraniu. Wykończony i wściekły. Jak można robić sobie jaja z umierającego człowieka?! A jednak spotkał mnie zaszczyt... Zaraz, jaki zaszczyt?! Zadrwił ze mnie na całej linii!

W Alkano opowiedziałem pani od piešków o tym, że pan Zbyszek zaproponował mi budowę pływającego domu. Byłem tym pomysłem zachwycony, najchętniej z radości skakałbym pod sufit. Bo to oznaczało, że – po pierwsze – będę żył, a po drugie, skoro dostałem taką propozycję, to najwyraźniej Nowak uznał, że jestem w tym dobry. Pani wysłuchała mojej relacji i powiedziała:

– Och, to dobrze. Będzie pan miał okazję, żeby odbić sobie to, co wzięł od pana za leczenie.

Chociaż miałem jeszcze wątpliwości i sporo niechęci do Nowaka, to, co usłyszałem, zważyło mnie z nóg. Dotarło do mnie, że moje podejście do sprawy nie jest jeszcze takie najgorsze.

I tak ze skrajności w skrajność. Ale niedługo, bo szybko zasnąłem. Spałem tak głębokim snem jak nigdy. I tak mi było niesamowicie lekko. Jednak obudziłem się nadal zły, poniżony i ciągle coś mi nie pasowało, coś mi nie dawało spokoju. To zbyt poważny człowiek, żeby tak bez powodu sobie z kogoś kpić. Zjadłem, wypitem gorącą herbatę i znów poszedłem spać.

Rano obudziłem się lekki i radosny, ale złość wróciła. Na wspomnienie wczorajszych wydarzeń znów straciłem humor. I nagle ośnienie – wiem! Już wiem! Okłamał mnie, bo chciał, żebym się nie domyślił. Wziął mnie ze sobą, żebym jak najdłużej był w pobli-

żu i naładował się tą energią, ile się tylko da! A to krętacz! Myślał, że się nie kapnę! I od razu druga myśl – wiem, po co gadał o tych gazetach. Przecież ja cały czas zastanawiałem się, skąd wziąć zdjęcia Putina, Obamy i Komorowskiego. Wymyśliłem sobie, że muszę natychmiast oddać tych panów do TIOPZ. Któż bardziej potrzebował wtedy wsparcia?! Sytuacja na świecie wyglądała bardzo groźnie, zaczynała się wojna na Ukrainie, trudno było przewidzieć, co się stanie i czy to się nie rozleje na Polskę, Europę, cały świat... Postanowiłem działać, zrobić coś dla pokoju, dla ludzi i ugrzęzłem na poziomie zdjęć. Aż zacząłem się śmiać. Spryciarz! Naprowadzał, naprowadzał i wreszcie się udało. Postanowiłem, że pójdę i powiem mu, że wszystkiego się domyśliłem. Niech nie sądzi, że trafił na gapę. Najwyżej się wkurzy i mnie wyrzuci.

Poszedłem do sklepu, kupiłem gazetę i, o dziwo, były w niej wszystkie zdjęcia, których potrzebowałem. Z TIOPZ-ami w rękę wszedłem do gabinetu i od drzwi mówię:

– Ale mnie pan wczoraj zrobił w konia!

– Tak? A dlaczego?

Zapytał z taką miną, że przez chwilę uwierzyłem, że nie ma pojęcia, o czym mówię. Ale zanim się odwrócił, dostrzegłem w kąciach ust ślad uśmiechu.

– Chciał pan, żebym jak najdłużej przebywał blisko pana, dlatego wymyślił pan tę historyjkę o poradach budowlanych, to był taki prezent dla mnie...

– Ha, ha, ha, a jednak się pan zorientował, ha, ha, ha...

– Tak. I od razu to mówię, żeby pan nie myślał, że jestem taki tępy. Wczoraj się panu udało.

Teraz już Nowak zaśmiewał się na całego. Widziałem, że podoba mu się zarówno to, że się domyśliłem, jak i powiedzenie mu tego prosto w oczy.

– A z tymi gazetami, to też już wiem, o co chodziło!

Teraz pan Zbyszek spoważniał, obaj błyskawicznie spoważnieliśmy. Wręczyłem moje TIOPZ-y.

– Putin, Obama, nasz prezydent..., od nich wiele zależy,

panie Zbyszku, z gorącą prośbą...

To była bardzo podniosła chwila.

Wróciłem do poczekalni i, czekając na kolejne spotkanie, zastanawiałem się, kogo jeszcze można wspomóc, od kogo jeszcze na tej ziemi dużo zależy. Szukam w głowie, ale już nikogo nie znajduję. I nagle – jest! Przecież pan Zbyszek wspiera innych, to i jego trzeba wesprzeć! I to z wszystkich sił! Biorę druczek na TIOPZ, wypisuję i proszę Magdę o zdjęcie pana Zbyszka. Dołączam, co trzeba, na cały rok, i z sercem na ramieniu zmierzam do gabinetu. Znów ta sama śpiewka w głowie: a jeśli się wkurzy i wywali mnie z gabinetu? Jeśli pomyśli, że uważam go za słabego, skoro chcę go wesprzeć. Wyrzuci i umrę, bo mnie już więcej nie przyjmie. Nie wiem, jakie mam szanse z nim, ale jakieś mam, ale bez niego żadnych. Trudno. Będzie, co ma być, dam i już. Wchodzę i, tak dla upewnienia się w swojej decyzji, pytam:

– Panie Zbyszku, czy do tego TIOPZ-a można oddać każdego człowieka z tej planety?

– Tak! Oczywiście, że tak!

– A więc bardzo proszę. Mam tu kogoś, dla kogo proszę o wyjątkowo mocne wsparcie!

Nowak wziął druczek i już miał się odwrócić, by położyć go na stole, ale zatrzymał się i otworzył. Myślałem, że umrę ze strachu. Zaraz mnie na kopach wyrzuci z gabinetu albo co najmniej dostanę z liścia. Spojrzał na mnie.

I spokojnie powiedział:

– Dziękuję panu. Dziękuję panu bardzo!

Widziałem, że jest zaskoczony i wzruszony, ale niewiele dał po sobie poznać. Nie zdradzał emocji. Kilka miesięcy później dowiedziałem się, że jestem jedynym człowiekiem, który tak naprawdę pomyślał o Zbyszku Nowaku, a nie tylko o sobie. Przyznam, że to była najsmutniejsza rzecz, jaką usłyszałem w życiu. Ponad milion ludzi i nikt...!

Pan Zbyszek poprosił, żebym usiadł i zapytał, czy to ja jestem znajomym tego pana, którego żona była ze zdjęciem.

– Tak!

– Widzi pan, ta noc będzie dla niego decydująca.

Modliłem się za Waldka, żeby było dobrze, ale niestety następnego dnia dostałem SMS, że nie żyje. To mnie dobiło. Facet, który miał żyć, już odszedł, a ja, dla którego nie było ratunku... pewnie też niebawem pójdę w jego ślady. Przeżyłem Waldka! Szok! O co chodzi?! Kto o tym wszystkim decyduje?! I dlaczego znów ja?! Nie wiadomo, jak długo będę żył, ale jednak nadal żyję. I znów miliony czarnych myśli, znów poczułem się źle. Waldek nie żyje! Nie wierzę! Teraz, jeśli się za rok spotkamy na placu Niebiańskiego Spokoju, to z pewnością nie na pekińskim. A przecież był tak pozytywnie nastawiony do życia. Widać samo pozytywne nastawienie to zdecydowanie za mało.

Byłem załamany. Jedyne, co mnie pocieszało, to perspektywa powrotu do domu, do moich ukochanych kobietek, i plany spotkania, pewnie ostatni raz w życiu, z Håkanem.

W domu, gdzie przecież nikt nie znał mojego prawdziwego stanu, córka już czekała na swoją ulubioną zabawę, czyli jazdę na „starym koniu”. Znów ból rozrywał mi czaszkę, ale czego się nie robi dla ukochanego dziecka. Dobrze, że cały dzień była u babci, miałem czas na przekazy energii i okłady, no i na odpoczynek. A dokumenty, cały stos, nadal leżały na stole w kuchni.

Zauważyłem, że okłady rzeczywiście przynoszą ulgę. Czuję się po nich bardzo dobrze. Robiłem je seriami po dziesięć, co pomagało na około dwie godziny. Potem znów seria i tak kilka razy dziennie. Teraz miałem całą zgrzewkę, sześć butelek, ale i tak szybko zacząłem żałować, że nie więcej. Niech no tylko dożyję następnego pobytu...

Jak ja idiotycznie muszę wyglądać! Czterdziestoletni facet siedzący na kanapie, a przed nim na krześle zdjęcie innego faceta. Wyciągam ręce i robię jakieś gesty, przekazy... Dwudziesty pierwszy wiek, a ja jak skończony kretyn... Co ja bym pomyślał, widząc

kogoś innego w takiej akcji! Dlatego, kiedy zobaczyłem, jak patrzy na mnie moja ukochana, zabrałem wodę i zdjęcie i przeniósłem swoje warsztaty do sypialni. Z jednej strony byłem zły, ale z drugiej, czy będąc zdrowym, byłbym w stanie uwierzyć w takie rzeczy?

Myśląc to, jednocześnie uparcie robiłem swoje, z każdym dniem więcej i więcej. Dochodziłem do sześćdziesięciu okładów dziennie i tylu też przekazów.

Wróciłem z Podkowy we czwartek i do soboty czułem się dobrze. W sobotę już było gorzej, w niedzielę zupełnie źle, ale i tak lepiej niż przed pierwszym spotkaniem. Z jednej strony żał mi było rozstawać się z dziewczynami, ale z drugiej już nie mogłem się doczekać wyjazdu, bo tak naprawdę tylko w Podkowie czułem się bezpieczny. Tam nawet nie bałem się umrzeć. Wyjeżdżając, bałem się, że już nigdy ich nie zobaczę, więc żegnałem się na zawsze, tak na wszelki wypadek. Tym razem postanowiłem jechać pociągiem, w Podkowie spotkać się z moim kierowcą i razem odebrać z lotniska Håkana. Tę decyzję podjąłem we czwartek, kiedy czułem się bardzo dobrze. W niedzielę bardzo tego żałowałem, ale nie chciałem zmieniać koledze planów i zabierać czasu przeznaczonego dla rodziny.

Dziewczyny odwiozły mnie na dworzec. Ledwo niosłem walizkę. A gdy staliśmy na peronie, ukradkiem ocierałem pot z czoła, a czas dłużył się niemiłosiernie. Chciałem już usiąść i odjechać. Pożegnania skróciłem maksymalnie, nie mogłem już dłużej ukrywać łez, niewiele brakowało, a rozbeczałbym się na całego. Perony i pociągi czynią rozstania jeszcze bardziej smutnymi. Patrzyłem na narzeczoną i małą przez okno i myślałem: Boże, one nie mają pojęcia, że mogą mnie już nigdy nie zobaczyć. Szły sobie, trzymając się za ręce, mała wesoło podskakiwała. To nieprawda, że w takich chwilach serce pęka z żalu. Dzieje się coś znacznie gorszego.

Żeby się czymś zająć, zadzwoniłem do Edzi, żony Darka, mojego kierowcy. Gadaliśmy przez dwie godziny, a ja czułem się coraz go-

rzej, wreszcie poczułem się tak źle, że nie mogłem już dalej mówić. Och, jak ja żałowałem tej wyprawy!

Wysiadłem z pociągu, niewiele widząc. Krążyłem po dworcu w poszukiwaniu miejsca, z którego odjeżdża to cholerne WKD. Tej nazwy zresztą nie zdołałem sobie przypomnieć. Pani z informacji coś powiedziała, ale nic mi to nie dało. Na tablicach literki zasuwały tak szybko, że nie byłem w stanie tego przeczytać. Coś wreszcie dojrzałem, ale nie miało to już wielkiego znaczenia, bo nadjechał pociąg i na szczęście ktoś mi podpowiedział, że tak, że dojadę nim do Podkowy. Jak ja wtedy przeklinałem swoją głupotę! A najgorsze było dopiero przede mną, bo z dworca musiałem przejść z walizką prawie kilometr. Naprawdę nie mam pojęcia, jak mi się to wtedy udało!

W hoteliku nie miałem siły wczotgać się na piętro. Zjadłem coś, wypłem herbatę i dopiero położyłem się na chwilę. Natychmiast zasnąłem tym kamiennym, głębokim, podkowińskim snem. Po jakiejś godzinie obudził mnie Darek. Właśnie przyjechał i nadeszła już pora jechać na lotnisko. Godzina pobytu w pobliżu pana Zbyszka i ten sen, niepowtarzalny gdzie indziej, dały mi tyle siły, że kiedy znalazłem się w samochodzie, byłem już radosny i wypoczęty.

Nigdy jeszcze nie witałem się z Håkanem tak serdecznie. Znów razem! I to tu, w Polsce, w Podkowie! Jedziemy, śmiejemy się, cieszymy jak dzieci. A jeszcze trzy godziny temu było ze mną tak źle. Nie mogę się doczekać, kiedy przedstawię ich sobie. Mojego szwedzkiego przyjaciela i jednego z najwybitniejszych mieszkańców tej planety.

Pan Zbyszek zgodził się przyjąć nas już w niedzielę wieczorem. Widziałem, że Håkan podchodzi do sprawy z szacunkiem, ale obawiałem się, że to całe leczenie w oczach uniwersyteckiego wykładowcy fizyki wypadnie marnie, a może nawet śmiesznie. Byłem ciekaw, jak to potem skomentuje.

On jednak nie naśmiewał się, był wyjątkowo poważny. Zamiast

kpin słyszałem w kółko tylko jedno pytanie:

– Jak on to robi, co to jest?!

Za każdym razem odpowiadałem:

– Nawet nie ma sensu się nad tym zastanawiać. Zamiast próbować to rozgryźć, wołę z tego skorzystać i zrobić to jak najlepiej.

Po zabiegu wróciliśmy do hoteliku. Chciałem dłużej pogadać, ale Szweda zmiotło. Zaczął usprawiedliwiać zmęczenie podróżą, a ja popatrzyłem w jego bardziej niż zwykle zamglone oczy i żal mi się zrobiło, że już ma sześćdziesiąt siedem lat i traci wzrok, bo to naprawdę wspaniały człowiek. Zjadł odrobinę i uciekł spać, a ja zostałem sam.

Pani Basia skończyła już swoją robotę przy kwiatkach, więc miałem towarzystwo do rozmowy, chociaż denerwowałem się, bo nie mogła zrozumieć, że tu wszystko jest źle zorganizowane. Zła łączność, brak informacji itd. Lista moich zażaleń była długa. A pani Basia tylko mi się przyglądała i zaciskała zęby, żeby nie odpowiedzieć tak, jak naprawdę miała ochotę.

Bardzo dziwnie spałem tej nocy, a rano obudziłem się obolały. Stawy, mięśnie i kości wykręcało mi we wszystkie strony. Tymczasem Håkan przyszedł do kuchni uśmiechnięty i zadowolony, a jego oczy błyszczały jak dwa szafirki. Nie wierzyłem w to, co widzę.

– Wiesz, rano zacząłem czytać gazetę i dopiero po kilku minutach zorientowałem się, że nie mam okularów. Co on mi zrobił?! Ja czytam bez okularów!

Tego dnia odbyliśmy kilka spotkań indywidualnych i grupowe. Håkan ani razu nie zapytał, po co aż tyle, za to jeszcze częściej powtarzał:

– Jak on to robi! Jak on to robi?

A ja za każdym razem odpowiadałem:

– Nawet się nie zastanawiaj, to nie ma sensu.

Szwed z godziny na godzinę czuł się lepiej, a ja gorzej. Poszliśmy na obiad do restauracji. Po drodze kilka razy pomyliłem kierunki i traciłem orientację.

Nie wiedziałem, gdzie jestem. Zgubiłem się na prostej ulicy, szli-

śmy i wracaliśmy kilkakrotnie, wreszcie Håkan mówi:

– Roman, może ja poprowadzę.

Przeraziłem się. Nie sądziłem, że jest aż tak źle. Gdybym teraz był sam, nie umiałbym wrócić na Jaśminową. Po obiedzie mieliśmy kolejne spotkanie, ja czułem się jeszcze gorzej, ale humor nieco mi się poprawił, bo i Håkana zaczęło łać. Bez przerwy latał do łazienki i nie był już taki rozmowny.

Rano pomstował na Nowaka i przeklinał, na czym świat stoi.

W nocy kilkadziesiąt razy biegał do toalety, a teraz był niewyspany i zły. I tak całe przedpołudnie. Poszliśmy na ogólne. Szwed siedział skulony, założył nogę na nogę, a że pan Zbyszek upomina swoich podopiecznych, żeby tego nie robili, a ja nie chciałem, żeby upominał mojego gościa, zacząłem mu dawać znaki i delikatnie zsunąłem jego nogę. Kilka razy powtórzyliśmy tę scenę. Szwed się opierał, więc ja popychałem go mocniej. Wreszcie nie wytrzymał i prawie na głos wysyczał:

– Chcesz, żebym się tu zsikał?!

Dałem mu spokój, ale nagle zerwał się i ze łzami w oczach, zgięty, popędził na górę. Odprowadziły go zaciekawione spojrzenia pozostałych. Po chwili wrócił. Wyprostowany i uśmiechnięty. Moje dolegliwości też się zmniejszyły, chociaż bardzo powoli.

W Alkano usiedliśmy przy herbacie coraz smutniejsi, bo zbliżał się czas pożegnania. Rozmawialiśmy głównie o Nowaku.

– Wiesz, zrobił na mnie niesamowite wrażenie. Nie mam wątpliwości, ja, fizyk i matematyk, że ta energia jest i działa. Naprawił mi oczy, zlikwidował ból w stawach i mięśniach i pewnie wiele innych dolegliwości, ale tego – wskazał na niesprawne kolano, które przy zakładaniu nogi na nogę, z pomocą obu rąk zresztą, sprawiało ogromny ból – tego naprawić nie da rady. To jest uszkodzenie mechaniczne, kontuzja sprzed wielu lat. Ale nie szkodzi, i tak jestem bardzo zadowolony.

Ta rozmowa odbyła się tuż przed ostatnim, wieczornym spo-

tkaniem indywidualnym. Panowie pożegnali się serdecznie i wróciliśmy do Alkano. Herbata nie zdążyła na dobre wystygnąć, a my byliśmy już z powrotem. Zaczęliśmy gadać, Håkan swoim zwyczajem założył nogę na nogę. Nie użył do tego rąk i nie krzyknął z bólu. Spojrzałem na niego, on na mnie. Nagle jak nie podskoczy!

– O kurwa! O kurwa! Naprawił mi nogę! Ja pierdołę!

Zakłada i zdejmuje, zakłada i zdejmuje, i tak w kółko. Wstaje, siada, skacze, krzyczy, mało krzesel nie potamie. Próbowałem go uspokoić, prosiłem, żeby się nie wygłupiał, ale nie słuchał. Szalał ze szczęścia, wreszcie stwierdził: „Masz rację, nie ma sensu się zastanawiać, jak on to robi” i poszedł spać, bo wyjeżdżał o świcie.

Przyjechał Darek. Opowiedziałem mu całą historię na gorąco, ale Darek to Darek – są rzeczy, które do niego nie docierają za nic na świecie. O czwartej rano obudziły mnie wrzaski dochodzące z kuchni. To Håkan, skacząc prawie pod sufit i tupiąc z całych sił, demonstrował Darkowi efekty pracy Nowaka.

Radość i śmiech mieszały się ze smutkiem. Znów dopadły mnie czarne myśli – a co, jeśli widzimy się po raz ostatni? Waldek miał żyć i umarł, a ja... Ile mam czasu? Żegnałem Håkana ze łzami w oczach. Resztę czasu do wyjazdu spędziłem w przychodni, opowiadając wszystkim, a panu Zbyszkowi przede wszystkim, historię Håkana i walcząc z uczuciem strachu przed opuszczeniem tego bezpiecznego miejsca, gdzie śmierć nie ma do mnie dostępu. Z drugiej strony tęsknota gnała mnie do domu i nie pozwalała zostać tu dłużej. Wtedy nawet nie wiedziałem, że jest taka możliwość.

Podczas ostatniego spotkania przed wyjazdem pan Zbyszek położył mi w pewnym momencie dłoń na plecach i powiedział:

– O, nerki ruszyły.

Wydawało mi się, że coś poczułem, jakby skurcz, ale pomyślałem, że to sugestia. Jednak kiedy położyłem się do łóżka, czułem

wyraźnie łaskotanie, skurcze, nawet pulsowanie. Po jakimś czasie przeżyłem w toalecie kolejny wstrząs. Pomijam odczucie, że wydałam wszystkie płyny ustrojowe, jakie mam, łącznie z krwią. To, co ze mnie popłynęło było straszne. Mocz gęsty jak woda z mułem, zapachu nie podejmuję się opisać, dość, że z trudem łapałem powietrze, a pokój wietrzyłem potem kilka godzin. Szkoda, że nie pobrałem próbek do analizy. Ciekawe, jakie byłyby wyniki? Pulsowanie i łaskotanie w nerkach nie ustawało, miałem wrażenie, że widać to przez skórę. Akcja powtórzyła się jeszcze raz z niewiele mniejszym natężeniem. Bardzo się cieszyłem, bo widać było, że coś się dzieje, coś ruszyło. I to w dobrym kierunku.

Tym razem zabrałem do domu kilka zgrzewek wody. Tak jak poprzednio, powitano mnie chłodno. Przez chwilę czułem się świetnie, a potem, tak jak wcześniej, nastąpił szybki spadek formy.

W niedzielę zarządziłem wyjazd już o jedenastej, bo wiedziałem od pani Basi, że i tym razem będę miał możliwość spotkać się z panem Zbyszkiem wieczorem. Każdy mój pobyt chciałem wykorzystać maksymalnie, nawet rękę podawałem panu Zbyszkowi tak często, jak tylko się dawało, bo usłyszałem, że już sam uścisk jego dłoni dobrze działa. Zauważyłem też, że kiedy przyjeżdżam do Podkowy, moje myśli zwalniają, nie ma już tej lawiny nie do opanowania. Gdy siedzę w przychodni, uspokajam się jeszcze bardziej. A w gabinecie jestem już całkowicie spokojny.

Przesiadywanie w poczekalni od ósmej rano aż do zamknięcia, często nawet bez śniadania, stało się moim rytuałem. Żał mi było opuszczać to miejsce nawet na chwilę. Było mi tam dobrze. Rozmowy z Magdą, coraz częściej także z Robertem i Jackiem, rozpędały czarne chmury. Dzięki energii Zbyszka czułem się coraz lepiej, a dzięki pogaduchom z jego pracownikami uśmiechałem się coraz częściej.

Jednak były też chwile bardzo trudne. Zauważyłem, że zanim tu trafiłem, czułem się bardzo źle, ale nie panikowałem. Teraz czułem

się znacznie lepiej, ale panikowałem przy każdym, najmniejszym choćby pogorszeniu. Te skoki nastroju dawały mi się straszliwie we znaki. Za każdym razem szukałem na to jakiegoś sposobu. Zastanawiałem się, czy kontynuować terapię, czy nie. Co robić?

W pewnej chwili doszedłem do wniosku, że to tylko zbieg okoliczności. Polepszyło się, bo miało się polepszyć, Nowak nie ma nic do tego. Tak myślałem, dopóki czułem się dobrze. Kiedy przychodził kolejny dół, zmieniałem nastawienie. Raz byłem pewien, że pomaga, raz – że mnie oszukał. Oszukał i oszukuje cały czas. Kiedy jestem u niego, czuję się dobrze, a kiedy odjeżdżam – źle. I tak w kółko. Tuż za uchem ulokował się jakiś głos i nadawał przez całą dobę: „Oszust, oszust, oszust...”.

Najgłośniej podczas pakowania walizki na wyjazd: „Zabierze ci wszystkie pieniądze, a i tak umrzesz!”.

Z początku myślałem, że to moje własne myśli, ale coś mi nie pasowało. Zacząłem to analizować i wreszcie przytapałem drania. To nie mogę być ja, bo sam do siebie nie zwracałbym się słowami „Mówię ci, to jest oszust”. Ulżyło mi, że to ktoś do mnie gada, że to nie ja mam takie głupie myśli. Tym bardziej, że na opiniach i groźbach nie kończył. Miał też dla mnie propozycję: „Zastrzel go albo jeszcze lepiej, weź nóż i wypruj mu flaki, zabij oszusta!”. Przyznam, skóra mi cierpła, że można mieć takie myśli.

Siedząc na fotelu w gabinecie, patrzyłem na duże zdjęcie Nowaka wiszące na wprost, a ten głos znowu: „Widzisz, to diabeł jest, udaje że pomaga. Oszuka cię ten podstępny szatan, pieniądze zabierze, i tak umrzesz...”. Wstydziłem się powiedzieć o tym komukolwiek i sam się z nim męczyłem. Po jakimś czasie zmienił taktykę: „Nie szkoda ci pieniędzy, głównie to pomoże, umrzesz, a Nowak pojedzie sobie za to na wakacje i będzie pił pod palmą whisky z lodem. A twoje dziecko nie będzie miało nawet na chleb...”. Przyznam szczerze, że trafił w dziesiątkę. Argumenty o tym, że przez moją głupotę najbliżsi zostaną bez środków do życia, dały mi do myślenia. Może ma rację, wydam pieniądze, a i tak piach.

Jakbym miał mało bólu i cierpienia, to jeszcze „ten” wziął się

na mnie i gadał bez przerwy: „Zabij oszusta, niech nie okrada ludzi! Nie jedź! Nie jedź, zrób sobie przerwę, pojedziesz za tydzień”. Co raz to nowe pomysły i sztuczki. Z jednej strony cały czas ciągnęło mnie do Zbyszka, a z drugiej bez przerwy ktoś przeszkadzał. A to samochód nie chciał zapalić, a to w domu coś się psuło. Awaria kanalizacji, piec od centralnego. Czasem po kilka problemów na raz. To nie mógł być zbieg okoliczności. Jak tylko zaczynałem planować wyjazd, pojawiał się problem. Później poznałem wiele osób, które napotykały podobne, wręcz niewiarygodne przeszkody.

„Zawsze byłeś taki ostrożny, trudno cię było oszukać. I ta twoja niezawodna intuicja, a tym razem dajesz sobą manipulować jak dziecko...”

Nie mogąc sobie poradzić z tym szepeczącym czymś, postanowiłem poskarżyć się panu Zbyszkowi.

Wszedłem do gabinetu i, jak to mi się zdarzało, już od progu mówię:

– Panie Zbyszku, coś siedzi mi na ramieniu i namawia do złego. Przeciwno panu. Co mam z tym zrobić?

Albo uzna mnie za świra, albo weźmie jakieś magiczne przedmioty i zacznie przeganiać mojego prześladowcę. Nic takiego się nie stało. Nowak, jakby od niechcienia, powiedział:

– To proszę go nie słuchać.

Jakie to proste! Jeśli ktoś jątrzy i podpowiada głupoty, to wystarczy przestać go słuchać. Aż mi było wstyd, że sam tego nie wymyśliłem. Powiedział coś genialnego, ale nawet na sekundę się nad tym nie pochylił, tylko dalej robił swoje: psik, psik, proszę usiąść, psik, psik, proszę wstać...

Poczekalem, aż „zły” znów się odezwie i od razu oświadczyłem stanowczo: „Daj mi spokój, nie gadaj do mnie”. Ale nie odpuszczał, nadawał ze zdwojoną siłą. W końcu straszliwie mnie wkurzył. Chyba się nie spodziewał takiego obrotu sprawy, bo spanikował, przyspieszył, pogubił się i gadał od rzeczy. Kazałem mu spierdalać i przestawałem słuchać, patrząc ze złością tam, gdzie – jak mi się zdawało – siedzi. „Zobaczysz, nie wiesz, z kim zadzieraszą” – od-

grażał się, ujądał jeszcze jakiś czas, wreszcie zamilkł. Wiedziałem, że nie odpuścił całkowicie, że gdzieś się przyczaił. I rzeczywiście. Wrócił po kilku tygodniach już nie jako głos, ale bardziej widocznie i odczuwalnie.

Któregoś dnia po wyjściu z gabinetu poszedłem na spotkanie ogólne. Cały czas się zastanawiałem, co mam robić. Po tym wszystkim, co już zdążyłem zobaczyć w Podkowie, byłem pewien, że to, co robi Nowak, przynosi efekty. Ale dlaczego nie zawsze? Dlaczego część ludzi w końcu jednak przegrywa?! Od czego to zależy? Co mam zrobić, żeby być wśród tych wygranych i co robić, żeby inni też wygrali?

Z zamyślenia wyrwały mnie słowa pana Zbyszka:

– Nigdy nie powiedziałem, że mogę wszystko. Wszystko może tylko Bóg. Ale są ludzie, którzy mogą wszystko. Czasem Bóg daje takie możliwości.

Uświadomiłem sobie, że słyszę te słowa nie pierwszy raz. „Jeden człowiek może wszystko”. Co to ma znaczyć? Znów zagadka. Jednego problemu się pozbyłem, a już pojawił się nowy. Czy Nowak mówi o sobie? Trochę to nieskromnie brzmi. Coś mi tu nie pasowało. Ciekawe, co tak naprawdę miał na myśli?

Jedno wiedziałem na pewno. To, co robi Nowak, pomaga, ale czy pomoże mnie? Czy ja też będę tym szczęśliwcem? Postanowiłem, że będę tu tyle razy, ile będzie trzeba, tak, żeby nikt nie mógł mi zarzucić, że coś zaniedbałem. Dobra, Nowak, bierzemy się ostro do roboty i zobaczymy, czy dasz radę!

Podczas spotkania indywidualnego spojrzałem mu prosto w oczy i żeby rozwiązać resztę wątpliwości, jeszcze raz się zastanowiłem, czy cokolwiek przemawia za tym, że jest oszustem. Czy jest coś, do czego mógłbym się przyczepić.

Wyobraziłem sobie siebie w jego roli. Czy byłbym w stanie stanąć przed kimś ciężko chorym, nierzadko umierającym, i patrząc mu prosto w oczy, oszukiwać dla kasy? Ja nie byłbym zdolny do

czegoś takiego. Za żadne pieniądze świata. Jakim potworem musiałby być człowiek, żeby w takiej sytuacji oszukiwać dla pieniędzy! Kilka, kilkanaście, a może nawet kilkadziesiąt osób dziennie! Tyśiące, setki tysięcy ludzi przez ponad 30 lat! Kłamstwo ma krótkie nogi, gdyby był oszustem, ludzie by go... Zrobiło mi się lekko na sercu, ale słowa: „Jeden człowiek może wszystko” – nadal nie dawały mi spokoju.

Zabieg przebiegał normalnym trybem, ale zacząłem się dziwnie czuć. Coś się stało z moim brzuchem. Ani chwili spokoju. Ledwo jedno się uspokoiło, pojawia się drugie. Leżę na fotelu, psik, psik, pan Zbyszek kładzie mi dłonie na brzuchu i nagle, jakby wężę się w środku obudziły.

– Jelita ruszyły – oznajmia, jak zawsze krótko i precyzyjnie.

Nie było najmniejszych wątpliwości, że to celny komentarz. To nawet było słychać. Tego, co przeżyłem w toalecie w ciągu kilku kolejnych godzin, nie będę opisywał.

Przez jakiś czas przyjeżdżałem do Podkowy z mamą. Razem chodziliśmy na wszystkie spotkania. Było mi raźniej, miałem z kim pogadać i cieszyłem się, że mogę z nią spędzić trochę więcej czasu. Zwłaszcza, że nie wiedziałem, ile go jeszcze mam. Wydawało mi się, że pozbyłem się wszelkich wątpliwości. Jednak niebawem się okazało, że byłem w błędzie. Nadeszły dni straszne, coś, czego się nie spodziewałem. Nie miałem już, co prawda żadnych wątpliwości co do uczciwości Zbyszka, ale nadal nie wiedziałem jak sprawić, żeby te wszystkie zabiegi przynosiły możliwie najlepszy efekt. Zastanawiałem się, co jeszcze mogę zrobić, żeby się udało.

Bardzo często podejmowałem się rzeczy niemożliwych lub ocenianych na kilka procent szans. Przypadkiem odkryłem, że biznes z małym ryzykiem, to mały zysk. Przy dużym ryzyku jest z tym dużo lepiej, no i konkurencja mniejsza. Już jako dziecko sprawdziłem to w drobnych sprawach, owszem, czasem także po to, żeby się popisać. Kiedy zgodny chór twierdził, że tego się nie da zrobić,

natychmiast się zgłaszałem. I miałem to szczęście, że za każdym razem mi się udawało. Jedni byli pod wrażeniem, inni skręcali się ze złości albo zżerała ich zazdrość. Zwłaszcza, jeśli to był kolejny raz. Z biegiem lat problemy, których rozwiązania się podejmowałem, były coraz poważniejsze, a mimo to nadal mi się udawało. No i w kieszeni dzięki temu przybywało szybciej niż innym. Rozzuchwalało mnie to do tego stopnia, że odwrotnie niż kiedyś, brałem sprawę w ciemno, zanim zastanowiłem się dobrze, jak do niej podejść. Przytączyłem to wieloma nieprzespanymi nocami, podczas których przysięgałem sobie, że więcej tego nie zrobię. Jednak do rana wpadałem na jakiś pomysł i wstawałem z gotowym rozwiązaniem, które zresztą okazywało się dość proste. Aż śmieszne. Inżynierowie i projektanci głowili się bezskutecznie, a jeśli coś wymyślili, to i tak mój pomysł był o wiele lepszy. Czasem się zastanawiałem, kiedy skończy się dobra passa, kiedy noga mi się powinie. Na razie jednak szło doskonale i zamierzałem korzystać, ile się da. Nawet, kiedy projektowi dawano mniej niż pięć procent szans, ja i tak uważałem, że to dużo. Znow śmiało podejmowałem się zadania i znow odnosiłem sukces.

Teraz, siedząc w poczekalni, też próbowałem ocenić w procentach moje szanse na wyzdrowienie. Zacząłem od prostej konstrukcji – uda się albo nie, czyli mam pięćdziesiąt procent szans. Przy moim podejściu do problemu to praktycznie pewność. Ale nie byłoby źle zwiększyć szanse do stu procent! Nie raz słyszałem kąśliwe uwagi, że mam w tym względzie skłonności do przesady. Szanuję tę opinię, ale nie zamierzam niczego w sobie zmieniać. Jeśli się czegoś podejmuję, biorę się do czegoś, to na maksa i jeszcze razy dwa.

Wsluchiwałem się w opowieści ludzi, którym się udało. Oglądałem ze skupieniem filmiki z ich wypowiedziami.

Na jednym z pierwszych spotkań grupowych obejrzałem film o człowieku, który miał pięćdziesiąt kilka lat, ale według wieku metabolicznego był starcem. Miał zniszczony i wyczerpany organizm i żadne środki farmakologiczne nie zdołały tego zmienić.

Wraz z lekarzem, który wykrył tę przypadłość, postanowili sprawdzić Nowaka. „Starzec” zaczął do niego przyjeżdżać. Po każdym spotkaniu następowała poprawa. Z początku o pięćdziesiąt procent, a pod koniec nawet o sześćset! To był bardzo wiarygodny wykład i przekonujący materiał, ale ja jestem ostrożny. Przecież lekarza też można przekupić! Jednak kiedy dowiedziałem się, kim jest ten lekarz, przestałem mieć jakiegokolwiek wątpliwości. Ta historia była dla mnie mocnym oparciem i dodała mi sił. Potem wsparłem się jeszcze mocniej, bo mogłem zobaczyć na własne oczy wpisy słynnych lekarzy do książki pamiątkowej. Są tam wybitne i znane nazwiska.

Obiektywnie na to wszystko patrząc, mam wrażenie, że byłem jednym z najtrudniejszych przypadków. Nie mówię o swojej chorobie, ale o podejrzliwości, analizowaniu każdego szczegółu ze wszystkich stron, huśtawkach nastroju, przewrażliwieniu, tendencji do wątpienia z byle powodu. Dopiero teraz to sobie uświadomiłem. Tyle razy osądzałem innych i wyśmiewałem ich głupotę. A ja...

Okazało się, że wielu lekarzy chętnie korzysta z pomocy Zbyszka. Niektórzy, oczywiście, po kilku spotkaniach dojdą do wniosku, że nie pomagają, chociaż sami podają swoim pacjentom leki, które miesiącami nie przynoszą żadnych efektów. Ale są i tacy, którzy doskonale wiedzą, że Nowak jest ich jedyną nadzieją.

Niezwykła i bardzo mi bliska jest historia pani doktor z Lublina, której proponowano operację krwiaka w mózgu, ale jako osobie z branży wyjaśniono dokładnie i szanse, i zagrożenia. Zdawała sobie doskonale sprawę, co znaczą słowa: tu wywiercimy dwie dziurki, tam wejdziemy, to wyciągniemy... Nie zdecydowała się na interwencję kolegów po fachu. Wybrała energię. Jeździła tygodniami, miesiącami do Podkowy, brała udział w spotkaniach, robiła okłady. I kiedy mogłoby się wydawać, że już powinna nastąpić poprawa – nastąpiło pogorszenie. Szumy w uszach i zawroty głowy się nasiliły. Pani doktor nie zaprzestała kontaktu, a kiedy nadszedł termin

kolejnej kontroli, okazało się, że krwiaka nie ma. Zniknął bez śladu. Koledzy próbowali nawet wmówić jej, że pomyłono badania, że tamte z krwiakiem to nie są jej wyniki.

Ileż Nowak ma takich historii na swoim koncie! Tylko nieliczne zostały nagrane. Ja mam kilka ulubionych. Ta jest jedną z nich. To dzięki nim miałem siłę i dotrwałem do momentu, w którym nie mam już żadnych wątpliwości. Podkreślam, te historie dają siłę do działania, nie do walki. Ja nie walczyłem z chorobą. Ja tylko czerpałem siłę ze wszystkiego, z czego się tylko dało. Siłę do działania!

Poważnie potraktowałem słowa pana Zbyszka o tym, że jeżeli coś robimy, to na całego, nie na pół gwizdka. Ja gotów byłem działać na pięć, ba, na dziesięć gwizdków! Kombinowałem w ten sposób: jeśli zrobię to, co inni, którzy wyzdrowieli, mam duże szanse. Ale z drugiej strony, przecież każdy organizm jest inny, a choroba nigdy nie taka sama, więc może się okazać, że to, co zrobili inni, w moim przypadku będzie za mało. Trzeba zatem zrobić co najmniej dziesięć razy więcej. To z pewnością zwiększy moje szanse, ale czy wystarczy?

Tak rozumując, zwiększałem liczbę spotkań, okładów i przekazów, a mimo to stale dręczyła mnie obawa, czy to wszystko w moim przypadku nadal nie jest za mało. Co jeszcze? Już w każdej kieszeni nosiłem zdjęcie Zbyszka. Nawet pod czapkę. Spałem na deseczkach. Deseczki i kalendarze każdej wielkości były w domu wszędzie, także w samochodzie. Zawsze miałem ze sobą butelkę z wodą, a na zapas brałem po dwadzieścia zgrzewek. Wysyłałem codziennie po kilka SMS-ów. Ale nadal pytałem sam siebie: co jeszcze? Czy to wystarczy?

Czułem się już na tyle dobrze, że mogłem zacząć szperać po Internecie i literaturze w poszukiwaniu potwierdzenia lub podważenia skuteczności pana Zbyszka. Od strony religijnej przez medyczną, filozoficzną, naukową – chemię i fizykę kwantową – po legendy i baśnie. Znalazłem bardzo wiele informacji, z których część

wykluczała się nawzajem. Jednego tylko nie znalazłem. Nigdzie nie natrafiłem na stwierdzenie, że pomaganie innym, a szczególnie ratowanie życia i zdrowia, jest czymś złym lub nagannym. We wszystkich kulturach, religiach i epokach tacy ludzie byli obdarzani ogromnym szacunkiem i otaczani szczególną troską. We wszystkich czasach poza naszymi.

Zdałem sobie sprawę, jak ciężko jest uwierzyć w coś, czego nie widać. W lekarstwo, którego się nie połyka ani nie podaje w zastrzyku. I ja także chwilami wątpiłem w moc i możliwości pana Zbyszka, ale choć różne miałem pomysły i możliwie najsprzeczniesze myśli, jednak w głębi ducha nigdy nie zamierzałem poddawać się i rezygnować z jego pomocy. Fajnie nam się rozmawiało, czasem szedłem do jego gabinetu tylko i wyłącznie pogadać. Dziwnie zgodne mieliśmy poglądy i to praktycznie w każdej sprawie. Pierwszy raz spotkałem kogoś, z kim zgadzałem się w stu procentach.

Ale rozterki pojawiały się stale. Wracały stare i pojawiały się nowe. Ten stan niezmiernie trudno wyjaśnić. To było straszne. Z jednej strony tak potworne wątpliwości, że bliski byłem rezygnacji, a z drugiej przyciągało mnie to jak magnes i wiedziałem, że powinienem tam być.

Zauważyłem, że moja dusza i ciało znów są razem. Nie byłem już iskierką zawieszoną kilkanaście centymetrów przed klatką piersiową, nie czułem, że stoję za swoim ciałem ani z boku. Nie czułem też, że jedno odkleiło się od drugiego, przesunęło względem siebie albo że ciało jest tylko manekinem, którym poruszam, wchodząc do środka, jakbym po wyjściu z kąpieli w spa zakładał brudny, roboczy kombinezon. Teraz jedno i drugie skleiło się ze sobą. Dziwne uczucie i niezwykle przeżycie. Niektórzy patrzą na mnie z obawą, kiedy to opowiadam, ale przecież każdy kiedyś tego doświadczy.

Chociaż nie miałem zbyt dużo wolnego czasu – spotkania, okłady, oczekiwania pod drzwiami, półgodzinne odpoczynki pod kotłą, stała analiza wszystkiego, co działo się dookoła, a zwłaszcza

zachowań i historii innych pacjentów – czułem, że dopada mnie nuda, czyli najwyraźniej było coraz lepiej. Słyszałem już dziesiątki, może nawet setki opowieści, ale jedna była szczególna. Mimo że znam ją na pamięć, często proszę Zbyszka, by opowiedział ją jeszcze raz, a on zawsze się zgadza.

Otóż pan z Białegostoku wypisany zostaje ze szpitala z czerniakiem i w stanie terminalnym, czyli z wyrokiem śmierci. Nie stać go na podróż do Podkowy. Jedyne, co mu pozostaje, to okłady z energetyzowanej wody. Robi je zatem cierpliwie przez jakiś czas i w efekcie guz... powiększa się dwukrotnie! Ale ten człowiek nadal robi okłady, mijają kolejne miesiące, po czym guz usycha i odpada.

Ta historia uratowała mi życie. To ona w najgorszych chwilach dawała mi siłę. Skoro ten beznadziejny przypadek poddał się samej wodzie, to co ja mogę osiągnąć, mając pieniądze, czas i możliwości? Jakim głupcem musiałbym być, żeby w tak komfortowej sytuacji zaniechać działania i zmarnować szansę!

Miałem na siebie jeszcze jeden sposób. Cały czas wyszukiwałem coraz to nowe powody, żeby żyć. Kiedy jakiś mi się zdudził lub przestawał działać, sięgałem po następny i nim się wspierałem.

To całkiem nieźle działało, jednak nadszedł dzień, którego się nie spodziewałem.

Obudziłem się rano w świetnej, można powiedzieć wzorcowej formie. Był cudny dzień, leżałem sobie w łóżku, patrząc na błękitne niebo, i nagle pojawiła się myśl: nie mam po co żyć! Nie mam dla kogo! Nikomu nie jestem potrzebny! To nie był typowy psychiczny dół, czułem się dobrze, nic mnie nie bolało, nic mi nie dolegało, nie miałem powodu do smutku. Nikt mi już niczego nie szeptał do ucha. Podjąłem decyzję, że nie wstanę, będę tak leżał, będę się coraz gorzej czuł, mój stan będzie się pogarszał, a w końcu umrę i będę miał spokój. Tkwiłem w tym postanowieniu i w horyzontalnej pozycji jakiś czas, ale coś mnie gryzło. Żeby mieć czyste sumienie, musiałem jednak spraw-

dzić dokładnie, czy na sto procent nie mam najmniejszego powodu, żeby żyć.

Wyobraźnia podsunęła mi metodę działania. Zacząłem przewijać w myślach, klatka po klatce, kliszę fotograficzną z obrazami różnych osób. Pierwsza pojawiła się moja córka. Mała ma dopiero trzy lata, niewiele będzie pamiętać. Szybko zapomni, może nawet będzie miała nowego „tatę”. Nie znalazłem powodu, żeby żyć.

Moja narzeczona. Młoda, piękna, mądra dziewczyna, ma dobrą pracę, nieźle zarabia. Szybko znajdzie sobie kogoś, może nawet już znalazła. Z pewnością będzie to ktoś dobry i na poziomie. Zaopiekuje się nią i córką. Pieniądzy im na jakiś czas wystarczy, są zabezpieczone. Pewnie szybko o mnie zapomni albo będzie się bawić i śmiać, że tyrał tyle lat i oszczędzał, i nawet z tych pieniędzy nie skorzystał. Ale jeśli nawet wydając te pieniądze, pomyśli o mnie dobrze, to i tak nie jest to powód, żeby żyć.

Trzeci obraz – mama! Mamą zajmą się moi bracia. Nie jestem jej jedynym dzieckiem, jakoś to będzie. Tu też nie znalazłem powodu, żeby żyć.

Metodycznie przeglądałem kolejne obrazy: przyjaciele i znajomi, klienci, inwestycje, nieskończone projekty, niezrealizowane świetne pomysły, plany – nic! Przewinąłem moją „kliszę życia” do końca, spokojnie i dokładnie, i stwierdziłem, że nie ma ani jednego powodu, żeby żyć. Powtórzyłem cały proces drugi raz. Bez rezultatów. Nie znalazłem nic, co mogłoby wpłynąć na zmianę mojej decyzji.

Tym razem jednak „klisza” przesunęła się dalej, pojawiły się obrazy, których poprzednio nie było. Zobaczyłem własny pogrzeb. Moje ciało w trumnie, dookoła stłoczeni ludzie ubrani na czarno. Im bliżej trumny, tym ciaśniej. Najbliższa rodzina stoi w milczeniu, płaczą, wycierają nosy, kobiety pochlipują. W drugim rzędzie dalsza rodzina, znajomi, trochę się wiercą, ale już w trzecim rzędzie słychać szepty i rozmowy. Im dalej, tym głośniej. Zbliżyłem się w ich kierunku i słyszę wyraźnie, o czym gadają i z czego się śmieją:

– Jeździł, jeździł do tego Nowaka, a i tak mu nie pomógł.

- Tylko kasę wyciągnął.
- A tak mu wierzył, tak mu wierzył...
- Głupek jeden!
- A taki był zawsze mądry...

A to debile! Tak się zdenerwowałem, aż podskoczyłem ze złości. Może nie chce mi się żyć i nie mam najmniejszej motywacji, ale nie pozwolę, żeby te barany źle mówiły o panu Zbyszku. Nie dam im argumentów do ręki. Nikt nie powie, że mi nie pomógł. Już jestem w całkiem dobrej formie. Wstałem i pojechałem do Podkowy po pomoc i na skargę na tego mojego „przyjaciela”, który cały czas siedział mi na ramieniu, a teraz znów zaatakował, i to w jaki podstępny sposób.

Od września 2014 do czerwca 2015 roku jeździłem do Podkows co tydzień lub co dwa. A w domu cały czas stały na stole dwie miski. Jedna pełna chusteczek higienicznych – płatki kosmetyczne wydawały mi się za małe – namoczonych w ciepłej wodzie od Zbyszka, druga na zużyte okłady. Często obkładałem się cały namoczonymi chusteczkami i wyglądałem jak mumia. I tak ponad sześćdziesiąt razy dziennie. Nawet w nocy budziłem się na przekaz energii i okłady. Kilka tysięcy paczek chusteczek, setki butelek wody. Co prawda już po dwóch miesiącach czułem się świetnie, ale dla pewności kontynuowałem wszystkie te rytuały, a po kąpeli spłukiwałem całe ciało wodą od Zbyszka. Nosilem też przy sobie spryskiwacz i, kiedy czułem się gorzej, spryskiwałem twarz i głowę, a ten deszczyk dawał ulgę i uśmierzał ból. W domu okłady robiłem niemal cały czas, nieraz nawet podczas posiłku. Szybko przestałem się z tym ukrywać, nie interesowało mnie, co domownicy sobie pomyślą, a przecież ciekawie to musiało wyglądać w oczach ludzi, którzy nie mieli pojęcia, że ja w ten sposób nie walczę z tysią, ale leczę raka mózgu.

Przypominałem sobie, jak mnie to początkowo wkurzało. Energetyzacja wody! Kartki wodne (co za głupia nazwa!), żmudne wypię-

sywanie i naklejanie. I po co one w ogóle są potrzebne?! A potem siedziałem i bywało, że wypisywałem po dwieście na raz, aż mnie ręka bolała, a pracownicy śmiali się, że powinienem zrobić sobie pieczętkę. Pisałem cierpliwie i jednocześnie marudziłem na to oklejanie i numerowanie. Kolejny głupi wynalazek – numerowanie butelek! A co za różnica*?!

**Kartka wodna, podpisana imieniem i nazwiskiem oraz opisana numerem, w przypadku energetyzacji więcej niż jednej butelki wody ma duże znaczenie. Zabezpiecza zawartość butelki przygotowaną pod kątem konkretnych potrzeb przed innym promieniowaniem i wspomaga proces energetyzacji.*

Kiedyś, jeszcze we wrześniu, zabrałem za mało wody i postanowiłem zrobić okłady ze zwykłej wody mineralnej kupionej w sklepie. Ciekawe, czy będzie różnica. Po dwóch, trzech minutach już nie miałem wątpliwości. Głowa zaczęła mnie boleć tak, jak boli, kiedy jest przeziębiona i przemarznięta. Tępy ból prawie na całej powierzchni i łupanie od wewnątrz. Pomyślałem nawet, że guz jednak się rozrasta i zaatakował cały mózg. Pewnie zaraz umrę – zamyśliłem się głęboko patrząc w niewidzialny punkt. Nagle słyszę: „Zrobiłeś tyle okładów z zimnej wody i dziwisz się, że cię łeb boli!”. Obejrzałem się za siebie, byłem pewien, że pan Zbyszek stoi za moimi plecami. Oczywiście nikogo nie zobaczyłem, byłem w domu zupełnie sam. Dziś bym pewnie długo analizował to wydarzenie, ale wtedy mój otępiały umysł nie zdołał zgłębić tego tematu. Zresztą działo się tak dużo i w tak zawrotnym tempie.

Z energetyzowaną wodą miałem jeszcze kilka innych przygód.

Ta wydarzyła się na samym początku moich kontaktów z panem Zbyszkiem. Którejś nocy potwornie chciało mi się pić, a że wypiliśmy wszystko, co stało obok łóżka, zszedłem do kuchni, porwałem pierwszą z brzegu butelkę i wypiliśmy niemal pół. Odstawiając, zauważyłem, że to była woda naenergetyzowana dla córki. Co za różnica, nic mi nie będzie, jakaś głupota z tym podpisywaniem

butelek, przecież energia jest jedna. Po kilku godzinach do reszty opróżniłem tę butelkę, tym razem celowo, świadomie i z przekory. Bzdury jakieś! Moja, nie moja...

Rano obudziłem się upstrzony czerwonymi, swędzącymi bąblami w okolicy brzucha, podbrzusza i krocza. Po jakimś czasie było o wiele gorzej, wieczorem była to już jedna, wielka, czerwona plama z olbrzymimi pęcherzami. Bolało okrutnie. Widok był straszny, nie mogłem chodzić. Pozostałe objawy skwituję dwoma słowami: biedny wacuś. Zniknęło dopiero po trzech dniach. Zrozumiałem, że nie wolno używać wody naenergetyzowanej dla innych, ale po miesiącu znów popełniłem dokładnie ten sam błąd. Miałem nadzieję, że poprzednio to był zbieg okoliczności, przypadek, jednak już następnego dnia w bolesny sposób nabrałem absolutnej pewności, że nie. Ta woda nie była dla mnie. Przeciwnie – ona była dla mnie za mocna!

Okazuje się, że pacjenci bardzo często popełniają tego typu błędy. Często ich organizmy silnie reagują na kontakt ze Zbyskiem i pojawiają się najprzeróżniejsze, czasem przerażające i bolesne reakcje. Dopatrując się w tym czegoś złego, przestraszeni, rezygnują.

Bardzo długo zastanawiałem się, czym jest choroba i jak jej zapobiegać. Ale przede wszystkim, z czego się bierze. Pytałem lekarzy. Odpowiadali, że z niezdrowego jedzenia, stresu, zbyt dużej eksploatacji organizmu. Księża twierdzili, że z grzechu, a zwykli ludzie, że to kara boża. Bardzo popularne jest twierdzenie, że rak mózgu bierze się z wielogodzinnych rozmów przez komórkę, a inne nowotwory od używania innych urządzeń elektromagnetycznych. Od nikogo jednak nie usłyszałem zdania, że choroba jest wynikiem całego naszego dotychczasowego życia, tak materialnego, jak duchowego. Pomińmy teorię o karze bożej. Bóg nikogo za nic nie karze. Nabrałem przekonania, że aby wyzdrowieć, trzeba całkowicie zmienić to, co było złe w dotychczasowym życiu, a czas leczenia, bardzo często jedyną szansę, która w dodatku nie trwa

długo, poświęcić na dogłębne przemyślenie tej kwestii.

Przez lata odkładają się w naszych organizmach zjadliwe toksyny i różne inne śmieci. Jesteśmy napromieniowani łącznie wieczym, więc nie można się dziwić, że po kontakcie ze Zbyszkiem organizm zaczyna się oczyszczać i dzieją się różne, z pozoru okropne rzeczy. Takie jak moje dotkliwe bóle w stawach i mięśniach albo wysypka – kilkaset swędzących krost na głowie i plecach, z których wylewała się dziwna maź. Wszystkie podkoszulki wyrzucałem wtedy do kosza, słabo mi się robiło na myśl, że miałbym je jeszcze włożyć. Niezależnie od liczby prań! A trwało to ponad dwa miesiące. Jeden wrzód goił się prawie dwa lata, z ran na twarzy i plecach wylały setki pasożytów, i to takich po dwa do pięciu milimetrów długości. Skąd tyle się tego we mnie wzięło, nie mam pojęcia. Słuchając w poczekalni spanikowanych pacjentów, którym wyskoczyło nagle parę krost, miałem wrażenie, że moimi reakcjami mógłbym obdzielić co najmniej kilkanaście osób, ale milczałem, chcąc uniknąć komentarzy niedowiarków i tych, którzy zanim tu przyszli, już wszystko wiedzieli lepiej.

W poczekalni nadal spędzałem sporo czasu. Spotkałem chyba kilka tysięcy osób, obserwowałem je i słuchałem ich opowieści. Sam jednak przeważnie milczałem. Postanowiłem się nie angażować i nie denerwować. Przyglądałem się tym smutnym i zmarzwionym. Współczułem tym pokonanym przez chorobę, pokrzywdzonym przez los, spoglądającym pokornie i czekającym na gesty i słowa pociechy. Szkoda mi było wszystkich i zastanawiałem się, jak mogę im pomóc. Więc kiedy czasem zaczynała się miła rozmowa, zbierałem się na odwagę i opowiadałem, do jakich doszedłem wniosków.

Jedna pani zapytała, co moim zdaniem najlepiej zrobić w jej przypadku. Powiedziałem, że całkowicie zmienić dotychczasowe życie, a wtedy jest szansa, że choroba się wycofa i nie powróci. W odpowiedzi usłyszałem:

– Chyba pan zwariował! Miałabym robić rewolucję w moim życiu! Nawet nie zamierzam!

Reakcja tej pani nie należała do nietypowych, nieraz słyszałem podobne teksty z ust osób w różnym wieku i obu płci. I to w obliczu śmierci!

Patrzyłem na tych przegranych ludzi i usiłowałem wyobrazić ich sobie przed chorobą. Pijących, palących, objadających się i beztrosko marnujących zdrowie. Nie mieściło mi się w głowie, że są tak nieodpowiedzialni. Kiedyś na wrocławskim rynku w restauracji, a potem wiele razy w innych miejscach, obserwowałem zdrowych ludzi biegnących gdzieś z kubkiem kawy w dłoni i komórką przy uchu. Wszystko robili w taki sposób, jakby im właśnie odlatywał samolot. Jak by za-reagowali, gdybym do nich podszedł i powiedział: „Zobacz, co robisz ze swoim życiem, nie gnaj tak bez opamiętania. Wkrótce możesz zachorować i będziesz mieć żal do losu, do Boga albo do kogoś innego, a to ty będziesz temu winien. Masz prawo nie dbać o siebie. Pić, palić, marznąć, nie jeść, nie uczyć się i nie rozwijać. Twoja sprawa. Ty decydujesz. Ale to wszystko przestaje obowiązywać w chwili, kiedy zaczyna dotyczyć kogokolwiek poza tobą samym. Kiedy ponosisz odpowiedzialność za innego człowieka, kończy się tak rozumiane prawo do wolności”.

Idę o zakład, że w odpowiedzi dostałbym taką wiązanekę, że uszy by mi odpadły. Ci sami ludzie, na razie piękni i młodzi, którzy dziś uważają, że wszystko jest w porządku, a na coś przecież trzeba umrzeć, pewnego dnia trafiają do lekarza, do szpitala, a może do Podkowy. I już nie głoszą swoich haseł, tylko siedzą skuleni, szukając winnych, za nic nie dostrzegając prawdziwego sprawcy. I już w drzwiach do poczekalni deklarują, że zrobią wszystko, żeby tylko znów być zdrowi. Co ciekawe, tych właśnie rzadko spotykam tu po raz drugi. Więcej się nie pojawiają.

Tak jak znajoma mojej przyjaciółki. Jak tylko dowiedzieliśmy się, że jej mama jest chora na raka, zaczęliśmy działać. Moja przyjaciółka ubłagała mnie, żebym się z tą znajomą spotkał, opowiedział o swojej chorobie i kto mnie uratował. Nie miałem na to ochoty,

ale człowiekowi w potrzebie trzeba pomóc, więc się z nią spotkałem. Natychmiast usłyszałem emocjonalne: „Ja dla mojej mamusi zrobię wszystko, absolutnie wszystko”. Wtedy jeszcze wierzyłem w takie deklaracje. Poza tym chodziło o matkę. Opowiedziałem, co mi się przydarzyło. Prosiła nawet, żebym oszczędził jej szczegółów, twierdząc, że nie trzeba jej przekonywać, że w to wierzy i już zdecydowała, że mama skorzysta z pomocy Nowaka. Zapytała tylko, co ma zrobić. Wyjaśniłem, że najlepiej przyjechać do Podkowy, ale też można poczekać dwa tygodnie, bo pan Zbyszek będzie w jej okolicy. Widząc, że ani jedna, ani druga możliwość nie bardzo jej przypadły do gustu, wspominałem o TIOPZ.

– To tak, bo widzi pan, nie chciałabym z mamą gdzieś tam podróżować. To koszty i w ogóle... Ale z tym zdjęciem to jest najlepsze rozwiązanie.

Objaśniłem więc, na czym polega TIOPZ, co trzeba zrobić.

– A czy pan mógłby to za mnie zrobić? Wystać to zdjęcie?

Nie wierzyłem własnym uszom! Myślałem nawet przez chwilę, że żartuje. Ale ona mówiła poważnie. Zastanawiałem się, czy wyjść, czy najpierw ją walnąć, a potem dopiero wyjść. Opanowałem się i przestałem na opuszczeniu tego domu.

Sporo osób przy pierwszym kontakcie ma do Nowaka tylko to jedno pytanie:

– Ile razy muszę się z panem spotkać, żeby był efekt?

Chcieliby wiedzieć od razu, czy i kiedy pozbędą się choroby. Ja jednak się dziwię. Czy umiemy odpowiedzieć, po ilu metrach zapali samochód odpalany na pych? Po kilku czy po kilkuset? I ile razy jeszcze zgaśnie, zanim zapali na dobre? Mam na to tylko jedną odpowiedź. Należy pchać do skutku! Pchać z całych sił i nie przejmować się, że z początku przycha, szarpie i kopci. I nie wolno przestawać, bo jaki ma sens przepchnąć grata parę metrów, stanąć, poczekać i za jakiś czas zaczynać wszystko od nowa!

Siedząc w poczekalni, słucham rozmów i pochwał na temat Nowaka. Dwoje starszych ludzi oświadcza, że Zbyszek tyle dla nich zrobił, tyle im pomógł, z tylu poważnych problemów zdrowotnych

wyciągnął. Taki człowiek powinien żyć co najmniej sto lat! Mili państwo, dobrze mówią o Nowaku – poczułem do nich sympatię, a to, co mówili, było bardzo bliskie moim odczuciom, więc włączam się do rozmowy:

– To powinniśmy dbać o Zbyszka ze wszystkich sił!

Zobaczyłem bagnety w ich oczach i skończyła się rozmowa. Brać – bardzo proszę, ale dać coś od siebie – niby dlaczego?

Inna pani, mimo że była naprawdę ciężko chora, nie pozwoliła sobie zrobić zdjęcia do TIOPZ, bo była nieuczesa. Odmówiła także, kiedy, widząc, że nie ma siły, zaproponowałem, że wniosę ją do gabinetu. Powiedziała, że jest zbyt dumna na to, żeby obcy facet brał ją na ręce i nosił po schodach. Niezrażony odmową, zapytałem, kiedy przyjadą na trzy dni, bo zaplanowałem pobyt tak, żeby w razie czego im pomóc. Usłyszałem, że jej mąż ma ważną pracę. Nie może wziąć nawet jednego dnia urlopu, żeby ją tu przywieźć, nie mówiąc już o zmarnowaniu aż trzech! Po prostu oniemiałem. Jak się okazało, byli rodzicami małych dzieci i chwilę wcześniej też się zarzekali, że „zrobią wszystko”, a teraz szybko zniknęli.

Przeszły mnie ciarki, kiedy uświadomiłem sobie, że nie wiem, jak zachowaliby się moi bliscy, gdybym był już w tak ciężkim stanie, że trzeba by za mnie podejmować decyzję. Podejrzewam, że nie zawieźliby mnie do Zbyszka Nowaka albo, owszem, raz. I tylko po to, żeby móc powiedzieć: „Poświęciliśmy się, byliśmy, ale Nowak mu nie pomógł”. Bardzo współczuję tym, których stan zdrowia nie pozwala na samodzielne podejmowanie decyzji i są zdani na innych.

Moje myśli płyną teraz do Alicji, siostry Michała, jego mamy Lidii i do wszystkich, którzy wsparli jego rodzinę w decyzji skorzystania z pomocy Zbyszka. Chwała im, że dali się przekonać, wręcz namówić na coś, w co tak trudno uwierzyć. Ten młody, wybitny uczony po zatruciu tlenkiem węgla pozostawał w śpiączce przez

kilka miesięcy, a lekarze, określając jego stan jako apaliczny, nie dawali mu żadnych szans. Wtedy Zbyszek Nowak pojawił się w szpitalu. Po kilku miesiącach Michał nie tylko rozpoznawał rodzinę, śmiał się i mówił, ale też przypominał sobie, nad czym pracuje i pamiętał wyniki swoich badań.

Michał nie jest jedynym przykładem, który znam, można powiedzieć z autopsji, bo widziałem stan przed i po działaniu Zbyszka. Znam osobiście co najmniej kilka takich przypadków, nad którymi lekarze do dziś kręcą głowami ze zdziwienia dlatego nie mogą pojąć tych, którzy za wszelką cenę starają się oczernić Nowaka, w prymitywny i nieudolny sposób dowodząc, że pomoc poprzez przekaz energii jest niemożliwa. Zadziwia mnie ich odwaga w podejmowaniu decyzji za kogoś, brawura w odbieraniu innym szansy, brak odpowiedzialności za słowa, które wyrządzają krzywdę. Nie Nowakowi, on się obroni poprzez wyniki swojego działania, ale tym, którzy słysząc takie teorie, zrezygnują i będą cierpieć. Jak podłym i zuchwałym trzeba być człowiekiem, żeby ogłaszając jako jedyną prawdę swoją ignorancję i niewiedzę, pozbawiać chorego nie tylko nadziei i szansy, ale przecież nierzadko także życia. Uważam, że takie postępowanie powinno być karalne. Zwłaszcza że psychika ludzka z natury jest słaba.

Ja miałem tyle szczęścia, że na te najbardziej niepochlebne, dość zresztą nieliczne, anonimowe i będące typowym hejtem, opinie w Internecie natrafiłem dopiero, będąc w bardzo dobrym stanie i to już nie mogło mieć wpływu na moje decyzje. Ale kto wie, co by się stało, gdybym przeczytał to podczas jednego z krytycznych momentów w czasie mojej choroby. Pewnie bym zrezygnował i nie dożył chwili, w której dzielę się z Wami moją historią.

Prawda jest tylko jedna i opiera się na faktach. Jedynie fakty się liczą. W literaturze fachowej można przeczytać sporo o tak zwanym społecznym życiu bakterii. Jak bardzo są przebiegłe i pod-

stępne, jak współpracują ze sobą, kiedy trzeba podporządkować sobie żywiciela albo znaleźć nowego. Człowiek chory na gruźlicę specjalnie podchodzi bliżej drugiego człowieka. Powodują nim prątki gruźlicy, które w ten sposób mają szansę przedostać się do nowego organizmu. Może i mną próbował zawładnąć taki grupowy bakteryjny mózg, przerażony wizją totalnej zagłady u Nowaka. Może to był ten „głos”, który nakłaniał mnie do rezygnacji.

Do dziś zastanawiam się, kim jest, a w zasadzie był – bo dawno już ucichł na dobre – ten mój niewidzialny doradca, który „z ramienia” podpowiadał mi złe rozwiązania. Kiedyś zaobserwowałem coś bardzo ciekawego. Siedziałem z moimi dziewczynami w kuchni, one były zajęte sobą, a ja, zamyślony, nie brałem w ich rozmowie udziału. Myślałem oczywiście o tym, co mam dalej robić. To był jeszcze etap wiru w głowie i milionów wątpliwości. Im dłużej to analizowałem, tym większe ogarniało mnie zwątpienie. To się nie uda, oszuka mnie i umrę. I dosłownie w tej samej sekundzie narzeczona odwróciła się od garnków i nerwowo wypaliła:

– Jeździsz do tego Nowaka i nic ci nie pomaga! Poszedłbyś do normalnego lekarza, zamiast w jakieś głupoty wierzyć!

To powiedziawszy, zamilkła i spokojnie powróciła do gotowania. Tak jakby nic się nie stało albo to w ogóle nie ona mówiła. Nie było ani początku rozmowy, ani kontynuacji. Jakby ktoś użył jej do przekazania wiadomości.

Co więcej, to samo powtórzyło się kilka razy w różnych odstępach czasu.

Co to było? Czy to możliwe, żeby to też były bakterie? Rozpracowują nas jak KGB i sterują nami, jak chcą? Współpracujące ze sobą społeczności z dwóch bliskich sobie bądź co bądź organizmów? Kto wie?

To by tłumaczyło, dlaczego w bezpośredniej bliskości Zbyszka nie miewam złych myśli, a im dalej od Podkowy, tym gorzej. Bakterie po prostu boją się śmierci, więc atakują i uciekają się do najbardziej wymyślnych podstępów. Ja się nie dałem, ale podejrzewam, że wiele osób padło pod naporem tych sprytnych drani.

Słowo może uratować życie, ale może też zabić. Słowo posiada olbrzymią moc. Wypowiadając codziennie tysiące słów, musimy mieć tego świadomość. Podczas pierwszego spotkania z panem Zbyszkiem zapytałem go, czy warto przyjechać na trzy dni, a on odpowiedział jednym słowem: „Oczywiście!”. Jaki ja byłem wtedy zły, że powiedział tylko jedno słowo, że mnie zbył, kiedy ja oczekiwałem dłuższego wykładu, instrukcji, objaśnień.

A potem dotarło do mnie, że gdyby Nowak użył wtedy choćby kilku słów więcej, usiłował to jakoś umotywować, zapewniał, że tak trzeba, że to wskazane dla mojego zdrowia, że to jedyne rozwiązanie... gdyby powiedział cokolwiek poza tym jednym słowem, wszystko straciłoby swoją moc i szczerość. Siła tego komunikatu polegała właśnie na niezachwianej pewności. Tylko dlatego go wtedy posłuchałem.

Po dwóch miesiącach mój stan był już o wiele lepszy, powiedziałbym nawet, że stabilny. Już o wiele więcej czytałem, siedziałem nad dokumentami i projektami, ale jeszcze nie mogłem wrócić do pracy. Byłem nieco zmęczony i znużony tymi stałymi przyjazdami do Podkowy, pakowaniem, podróżą.

W Podkowie jednak było mi dobrze. Miałem mniej złych myśli. Z czasem niemal zniknęły. Ale wystarczyło, że wyszedłem za bramę, a one wskakiwały jak na konia i galopowały z całych sił. Dlatego nie miałem ochoty wyjeżdżać, bałem się ich. Za bramą znajdowałem się nagle na autostradzie. Szedłem pod prąd, a z przeciwka pędziły na mnie tysiące dziurawych beczkowozów z szambem, żeby mnie porwać i żebym gnał razem z nimi w tym okropnym brudzie i smrodzie. Tabuny wstrętnych myśli.

Brama była barierą dla większości z tych myśli, ale te najgorsze, wczepione we mnie pazurami, odlatywały dopiero po kilku dniach. Dlatego najbardziej lubiłem czterodniowe pobyty. Przyjeżdżałem w niedzielę. Po południu wyciszałem się, wieczorem jedno spotkanie i długa, spokojna noc. Od rana ostra jazda przez trzy dni, potem

ostatnia noc i jeszcze pół dnia odpoczynku przed podróżą powrotną. Dopiero po tym wszystkim czułem się czysty, lekki, radosny i zrelaksowany.

Wielopoziomowe koszmary senne i uczucie, że oblepia mnie brud tego świata, powtarzały się jeszcze, ale rzadziej. Również w domu zacząłem się czuć bezpieczniej. Wreszcie udało mi się osiągnąć wspaniały stan ciągłego poczucia bezpieczeństwa.

Pod koniec października po raz kolejny pojechałem do Podkowy z mamą. Żał nam było odjeżdżać, więc zostaliśmy jeszcze na czwartek, a potem na piątek. Potem się okazało, że pan Zbyszek jest w czasie weekendu w domu i może się nami zajmować, więc zostaliśmy, a w poniedziałek była następna trzydniówka. Odpowiadał mi ten maraton, bo 28 października miałem się zgłosić do szpitala na rezonans magnetyczny, więc chciałem zaliczyć jak najwięcej spotkań.

Jednak pod koniec pobytu poczułem się źle, bardzo źle. Natychmiast zacząłem żałować, że tak długo tu siedzę i przesadziłem z tym wszystkim. Z trudem chodziłem, nie mogłem wysiedzieć w poczekalni, wydawało mi się, że jest gorzej niż owego pamiętnego 2 września. Na spotkaniu ogólnym z trudem utrzymywałem się na krześle. W dodatku siedziałem nie po mojej ulubionej stronie. Nowak przyszedł na spotkanie wesoły i uśmiechnięty, tryskając humorem – co drugie zdanie to jakiś żart. Byłem na niego zły. W dodatku za mną musiał siedzieć ktoś, kogo lubi, ale nie miałem siły się obejrzeć. Głowa mi pękała, ból wypychał oczy z oczodołów, miałem temperaturę. Jeszcze na sam koniec rzucił jakiś dowcip, a zebrani wybuchli śmiechem. Ale mnie wkurzył. Ja tu zaraz mogę zejść, a ten sobie kpiny ze spotkania robi. Poczłapałem na górę, a po spotkaniu indywidualnym powlokłem się do Alkano. Dostrzegłem jakąś postać w oddali, przyjrzałem się – Zbyszek Zamachowski. Pokręciłem głową, przeszedłem kilka kroków, spojrzałem ponownie – nadal stał tam Zbyszek Zamachowski. No to już bardzo

źle ze mną! Zwidy i omamy jakieś mam. To pewnie Kamil albo inny pracownik, a nie żaden Zamachowski. Jeśli mózg płata mi takie figle, to znaczy, że mój koniec już bliski.

Za mną do Alkano przyszedł Robert na masaż.

– Widziałeś, kto dziś był na ogólnym?

– Daj mi spokój, nie interesuje mnie, kto był na spotkaniu, czuję się strasznie, a w dodatku mam już zwidy.

– Co ty gadasz? Co się dzieje?

– No z tego wszystkiego widziałem na tarasie w przychodni Zbyszka Zamachowskiego.

Robert tak się śmiał, że omal nie upuścił filiżanki z kawą. Ze śmiechu nie mógł mówić. Co za straszny dzień! Temu też żarty w głowie, śmieje się głupek i śmieje, aż się opluł. Siedziałem maksymalnie wkurzony i mimo że zdążyłem już polubić faceta, miałem ochotę kazać mu z tej kuchni wypierdalać. Opanował się wreszcie i odzyskał mowę.

– Przecież to był Zbyszek Zamachowski z Moniką.

– Robert, błagam, przynajmniej ty mnie nie wkurzaj głupimi żartami, w takim kiepskim dniu.

– Roman, ja nie żartuję. Siedzieli zaraz za tobą. Co, nie widziałeś ich?

Wreszcie do mnie dotarło, że nie mam urojeń. Ale znów zaczęło się coś dziać w mojej głowie. Jakby cieplutki płyn rozlał się w moim mózgu. Zaczęło w nim bulgotać jak w czajniku. Nagle ból ustał, przestało parzyć, a odczucie zrobiło się dość przyjemne, takie łaskotanie czaszki od środka. Podświadomie czułem, że dzieje się coś dobrego, ale jednocześnie bałem się, że to chwilowe i że rozlał się jakiś wrzód.

To był ostatni taki atak z całej serii, która zaczęła się jeszcze w domu, w niedzielę, podczas przygotowań do wyjazdu. Coś, co przypominało niewielki bąbel powietrza albo ładunek elektromagnetyczny, pojawiło się w miejscu guza i zaczęło się przemieszczać

we wszystkich kierunkach. W samochodzie cały czas to samo: wędrował, kręcił się i łaskotał, chwilami parzył, jakby próbował się wydostać. Pełził po wewnętrznej stronie czaszki, wreszcie wydostał się przez szew po prawej stronie. Czułem go tak, jak czuje się małego pajęczka, tyle tylko że pod skórą. Zacząłem w tym miejscu robić okłady, a on za każdym razem biegał jak oszalały i przesuwał się na skraj chusteczki. Tak dotarliśmy w okolice oka, które ochroniłem kolejną chusteczką, a potem aż na czubek nosa. Gonilem za nim jeszcze przez jakiś czas, wreszcie przebił się przez skórę na prawym policzku i zniknął. Pozostał tylko ból w tym miejscu.

Zaraz po dotarciu do Alkana opowiedziałem o tym energetycznym pająku mamie i pani Basi.

– Idź do łazienki i obejrzyj swoją twarz – powiedziały.

Dokładnie w miejscu, gdzie pożegnałem się z wędrującym elektrycznym bąblem – pająkiem, miałem teraz trzy duże wrzody z białym czubkiem, dwa mniejsze czerwone i jeszcze kilka purpurowych plam. Znikły dopiero po kilku dniach.

Teraz bulgotanie niemal ustało, ogólnie czułem się lepiej, poza wyraźnymi objawami przypominającymi zatrucie, które też ustały po dwóch godzinach. Dobrze, że Robert był przy mnie.

Po południu poszedłem do pana Zbyszka zameldować mu, co się stało. Wystuchał, spojrzał na mnie i powiedział:

– No! Obróciło! Nareszcie!

Jak zwykle, niewiele się dowiedziałem, ale nie miałem śmiałości zapytać, co obróciło i po co. Natomiast dużo powiedziała mi twarz Zbyszka. Pojaśniała, stała się promienna jak słońce, pojawił się uśmiech, nie ten służbowy, ale ciepły i szczery. Miałem wrażenie, że odetchnął z ulgą, a ja – w głowie – usłyszałem: „Witaj wśród żywych!”. Do dziś się zastanawiam, jak potoczyłby się mój los, gdybym wtedy nie został na całe dwa tygodnie. Czy to ten maraton spowodował przełom? Dlaczego potrzebowałem aż tylu zabiegów?

A gdybym tak jak inni przyjeżdżał raz na miesiąc?! I tak jak wielu robił te okłady na odwal się, oszukując samego siebie! A jedną butelkę wody piłbym przez miesiąc, chociaż ma być pół szklanki dziennie! Prosty rachunek wskazuje, że to jest tylko dwanaście porcji. Oczywiście, jeśli nie zużyje się ani kropli na okłady.

Nasłuchałem się w tej poczekalni, poobserwowałem też swoich znajomych, którzy robili przekazy, owszem, ale ukradkiem, w toalecie. Tak jakby się tego wstydziło. Odrobina szacunku dla siebie i dla pana Zbyszka, a także dla energii, nie zaszkodziłaby. Rzekłbym – jak korzystacie, tak macie.

Zarówno w poczekalni, jak i na spotkaniach ogólnych słyszałem setki razy rozmowy zaczynające się od głupiego pytania: „Czy pani coś poczuła?”. Dla wielu osób to pierwsze wrażenie jest już wystarczającą przesłanką, żeby wydać osąd. Poczują – będzie żyło. Nie poczuł – nie wyzdrowieje.

Po tym wszystkim, co przeżyłem – i gdybym miał taką władzę – wydałbym całkowity zakaz rozmów między pacjentami i udzielania jedni drugim jakichkolwiek informacji.

O wszystko można zapytać Zbyszka i samodzielnie podjąć decyzję. Tylko że to wiąże się z wzięciem na siebie całkowitej odpowiedzialności – za sukces, proszę bardzo, chętnie przypiszemy go sobie, ale za ewentualną porażkę... niekoniecznie. Dlatego zdajemy się na opinię innych, żeby potem móc zrzucić na nich odpowiedzialność i obarczyć ich winą.

Ja zastosowałem metodę być, działać, uważnie obserwować! O nic nie pytałem. A jeśli już, to tylko pana Zbyszka. Po co miałem o cokolwiek pytać tych, których spotykałem w poczekalni. Gdyby znali odpowiedzi na moje pytania, nie byłoby ich tam.

Często słyszę pod swoim adresem, że jestem uparty, więc mi się udaje. To chyba nie jest kwestia uporów. Uparci raczej przegrywają. Ja bym to nazwał odpowiedzialnością i konsekwencją. Mam, jak każdy, wolną wolę i korzystam z niej. Jeśli postępujesz głupio i nie-

odpowiedzialnie, nie masz prawa twierdzić, że coś jest nieskuteczne. To ty jesteś nieskuteczny. Nie twierdzą, że należy we wszystko wierzyć bezgranicznie i niczego nie sprawdzać. Ale sprawdzać też trzeba z głową. Upieranie się, wbrew oczywistym faktom, że czegoś nie ma i nie działa, jest głupotą w czystej postaci.

Podobnie jest z namawianiem kogokolwiek do czegokolwiek, nawet do ratowania własnego życia. Jestem przeciwny wszelkim słownym manipulacjom. Co absolutnie nie znaczy, że mamy zaniechać pomagania i innych działań mających na celu ratowanie zdrowia i życia. Każde słowo może ochronić lub zabić. Nawet jeśli mówimy tylko prawdę, musimy zwracać uwagę na to, że każdy rozumie te same słowa na swój sposób. Bywa też, że sam siebie okłamuje, zniekształcając je i dopasowując do swoich potrzeb. To już jest jego problem, chyba że tę przerobioną prawdę przekazuje innym.

Po tym przełomowym dniu poczułem się zdrowym człowiekiem. Taka poprawa akurat tuż przed kontrolnym badaniem podnosi mocno na duchu. Podczas ostatniego spotkania usłyszałem:

– Może pan być spokojny, wszystko jest w porządku. Nic tam nie ma.

Myślałem, że z radości wyskoczę przez dach. Pożegnanie było serdeczne, chociaż dziwne. Odebrałem je tak, jakbym miał więcej tu nie przyjeżdżać. Poczułem się nieswojo. Jak to?! To już koniec?! Nasza znajomość dopiero na dobre się zaczęła. Tyle tematów, tyle spraw, które zaczęliśmy omawiać, a ten mi tu daje do zrozumienia, że mam się więcej nie pojawiać. Strasznie mi było smutno. Nowak popsuł mi humor.

Obok biura spotkałem Roberta. Opowiedziałem mu, jak pan Zbyszek się ze mną pożegnał, a ten zachował się podobnie i z dziwną miną rzucił:

– Może kiedyś wpadniesz nas odwiedzić.

Zabrzmiało to jakoś nieszczerze, ale radość, że wszystko jest

w porządku, unosiła mnie jak na skrzydłach. Cieszyłem się, że znów jadę w rodzinne strony.

Dziś wiem, że zarówno Zbyszek jak i Robert tym krótkim stwierdzeniem po prostu pozostawiali wybór mnie. Nie namawiali do dalszych kontaktów, nie przekonywali, że warto nadal przyjeżdżać. Oczywiście mieli świadomość, że jeśli nigdy więcej się nie pokażę, to choroba może wrócić. I to bardzo szybko! Organizm po takim schorzeniu odbudowuje się powoli i regeneruje wiele lat. Trzeba o niego dbać, oszczędzać siły, nie rzucać się w wir pracy. I dobrze jest przez regularne kontakty kontynuować terapię.

- Jadę do Podkowy.
- Po co?
- No jak to? Do Zbyszka.
- Coś cię boli?
- Nie.
- To po co jedziesz?

Nie tylko moi bliscy prowadzili ze mną takie dyskusje. Słyszałem podobne rozmowy w poczekalni u Zbyszka. Czy muszę czekać, aż mnie zaboli, żebym mógł tu przyjechać? Nie można chyba rozumować bardziej głupio! Ale jak to komuś powiedzieć, żeby nie nabrał podejrzeń?!

Dzień przed badaniem byłem jednak spięty i zdenerwowany. Nie spałem w nocy, do kliniki przyjechałem już kilka godzin wcześniej, głodny i zmęczony, ale pełen wiary w to, co usłyszałem w Podkowie. Nic tam nie ma! W głębi duszy czułem, że może nie być aż tak pięknie. Czekałem sparaliżowany strachem, opóźnienie wzrosło do dwóch godzin, wkurzyło mnie, że nikt nie uznał za stosowne udzielić nam jakiegokolwiek informacji, czy badanie w ogóle się odbędzie. Co prawda, miałem tylko siedemdziesiąt kilometrów do domu i własny samochód z kierowcą, a pozostali oczekujący przyjechali autobusami i mieli do domu znacznie dalej, więc nie miałem prawa narzekać. Okropna niepewność: będzie badanie,

czy nie? Mam raka czy nie? Będę żył czy nie? Nie wiedziałem, że jestem szczęśliwcem i powinienem czuć się wyróżniony, bo czekałem tylko dwa miesiące, a dostałem się tak wcześnie, bo ktoś zrezygnował i wskoczyłem na to wolne miejsce. A ja tu narzekam, że nikt o niczym nie informuje.

Wreszcie się doczekałem. Leżę w tej rezonansowej trumnie ze słuchawkami na uszach i zastanawiam się, czy ktoś kiedykolwiek sprawdził, co w nich słychać. A słychać szum, zgrzyt i wycie. I gdzieś daleko w tle coś gra. Obsługa miła, ale warunki tragiczne.

Po godzinie nareszcie koniec badania i początek oczekiwania na wynik. Ręce tak mi drżą, że z trudem trzymam telefon, o napisaniu SMSu nie ma mowy. Rozglądam się po towarzyszach niedoli. Zapewne każdy ma poważny problem, nikomu nie jest tu do śmiechu, dlatego milczymy. Pół godziny później otwierają się drzwi, pani doktor zaprasza do gabinetu. Mam do pokonania kilka metrów, ale jestem na wpół żywy i nie mogę się ruszyć. Ta lekarka jest znajomą mojego tutejszego przyjaciela lekarza, więc idzie do mnie uśmiechnięta i jeszcze z daleka mówi:

– Mam dla pana dobrą wiadomość, guz się nie powiększył! A może nawet trochę zmalał!

Pociemniało mi w oczach. Dziwne, że nie upadłem. Stałem tam jak jakiś bałwan, nie pamiętam nawet, czy oddychałem. Ogarnąłem się dopiero po kilkunastu minutach i wyszedłem z kliniki. To był dopiero szok! Nic już nie ma?! Wszystko jest dobrze?! Akurat! Wysłałem SMS do pana Zbyszka, zadzwoniłem do Roberta. Nie czułem się oszukany, ale chyba tylko dlatego, że w ogóle nic nie czułem w tamtej chwili.

Na szczęście wcześniej spotkałem znajomą i umówiliśmy się, że zabiorę ją w drodze powrotnej do domu. Przynajmniej miałem z kim pogadać na inny temat. Okazało się, że ona też ma problem zdrowotny, nie tak groźny jak mój, ale w połączeniu z brakiem pracy i perspektyw wyrwania się z małej miejsciny, poważny. Na pożegnanie dostała ode mnie kalendarz Zbyszka.

Po kilku dniach, już na Dolnym Śląsku, mój stan nagle się pogorszył. I to bardzo! Zmęczony, przeziębiony, bo jeszcze coś mnie podkuśiło, żeby zająć się jakąś pracą w ogrodzie, mocno osłabiony, ledwo doszedłem do domu. Wróciły mdłości i mgła przed oczami. Napisałem do pana Zbyszka, ale wiedząc, że nie lubi narzekania, zakończyłem SMS słowami: „Nie jest źle!”. Tak mi się przynajmniej wydawało. W rzeczywistości napisałem: „Jest źle!”.

Po kilkunastu minutach dostałem odpowiedź. Tego się nie spodziewałem. Dostało mi się i to ostro. Aż nie wierzyłem własnym oczom. Myślałem, że chociaż trochę mnie polubił, a tu strzał z paralizatora w mokry tyłek. Przeczytałem jeszcze raz i natychmiast wykasowałem, bo aż mnie parzył ten SMS. Nie wystarczyło, że mnie okłamał, mówiąc, że nic tam nie ma i wszystko jest w porządku! Tyle pieniędzy tam zostawiłem. Nie powiem, że wyciągnął je ode mnie, bo tak naprawdę nikt mnie do niczego nie zmuszał. Sam chciałem. Sam, z własnej woli tam jeździłem i sam decydowałem o wszystkim.

Wtedy wróciło do mnie słowo „oczywiście”. No tak, pięknie to ma opracowane. Niby nie zachęca, nie namawia, ale kiedy zapytałem o te trzy dni, powiedział: „Oczywiście, że tak!”. Milion razy powtórzyłem tego dnia to słowo. Oczywiście, że dobry pomysł. Tylko dla kogo dobry?! Oczywiście, kurwa mać, panie Romanie, że jest to świetny pomysł.

Dokładałem swoje do tamtego jednego słowa i tworzyłem w wyobraźni całe dialogi w tej „rozmowie” z Nowakiem. Jak ten głupek im wierzyłem, bo ten Robert też w znowie. Masaże robił i też kasę wyciągał. I jeszcze mamę tam zawiozłem, czyli wszystko razy dwa. Jak mogłem być takim debilem! Oczywiście, panie Romanie, zostaw pan wszystkie pieniądze u Nowaka, jak być głupim, to do końca! Tysiące takich tekstów wtedy wymyśliłem. Gdybym ich wtedy dorwał, to bym rozszarpał. Zabiłbym, nawet się nie zastanawiając, taka paliła mnie wściekłość.

Moja narzeczona dołożyła swoje stałym tekstem: „Poszedł-bys do normalnego lekarza...” itd. Całe szczęście nie wpadły mi

wtedy do głowy żadne myśli samobójcze, pewnie ani sekundy bym się nie zastanawiał. W sypialni było jeszcze gorzej, ale nie miałem gdzie się schować. Tylu wyzwisk i bluźnierstw nie wymyśliłem chyba nigdy w życiu. A wszystko tylko z jednej przyczyny, z powodu tego jednego słowa. Dwa miesiące temu to samo słowo „oczywiście” uratowało mi życie, dziś o mało mnie nie zabiło. Bo nie ma słów dobrych i złych, tak jak nie ma dobrych i złych zdarzeń. Tylko od nas zależy, jak postrzegamy otaczającą nas rzeczywistość. Ja wtedy sięgnąłem dna. Zupełnie zapomniałem, że nie mam prawa dawać sobie przyzwolenia na takie zachowanie, nawet wobec najgorszego postępowania innych.

Wściekłość powoli ustępowała na rzecz tak dla mnie charakterystycznej drobiazgowej analizy faktów. Nie powiem, ogromny wpływ miał na to elektryzujący SMS od pana Zbyszka. Dwa miesiące temu byłem w stanie krytycznym. Nie pamiętałem swojego nazwiska, nie wiedziałem, że trzeba spuścić wodę w toalecie, mówiłem z trudem i niewiele widziałem. Dziś bez problemu chodzę, biegam, czytam książki, opracowuję jednocześnie kilka projektów, wszystko pamiętam i nad wszystkim panuję tak, jak przed chorobą. Kilka dni w Podkowie i jestem jak nowy!

Siedzę przy stole zamyślony, jak zawsze. Nagle kątem oka widzę, że po blacie toczy się mała piłeczka i spada na podłogę. Dam radę ją złapać, czy nie? Rzucam się w jej kierunku, ramieniem zataczam szeroki łuk i łapię ją tuż przy podłodze. Widzę, że zrobiło to wrażenie na domownikach. Tak, to byłby wyczyn nawet dla zdrowego człowieka! Powód do dumy i radości. Nikt poza mną nie rozumie, dlaczego aż tak się cieszę. Dla mnie złapanie piłeczki to niezaprzeczalny dowód, że mój mózg pracuje sprawnie i wszystko jest w porządku. Najlepszy test. Jeszcze kilka tygodni temu szklanki i talerze wypadały mi z rąk, nie mogłem utrzymać równowagi, trafić w drzwi, wymyślić, po co na ścianie w łazience wisi rolka papieru.

Więc zbierałem sobie te małe sukcesy i przechowywałem w pa-

mięci na gorsze czasy. Kiedy nadchodziło zwątpienie, stawały się idealnym wsparciem i dodawały sił. Jednak mimo że podobnych wyczynów przybywało, ja oczekiwałem czegoś większego.

I wtedy stało się coś, co mocno postawiło mnie na nogi. Okazało się, że moja córka będzie miała rodzeństwo, że niebawem będzie nas czworo. Moje ciało nie umie się cieszyć tak, jak cieszy się dusza. A dusza latała po całym kosmosie i krzyczała z radości.

To jestem zdrowy, czy nie? Co tu jest prawdą? To, co napisał lekarz? Ten sam, który w sierpniu uznał mnie za nieuleczalnie chorego, a potem wypuścił ze szpitala z opisem tak wygładzonym, że prawie można było uznać mnie za wyleczonego. Kilkoma kroplówkami i zastrzykami! Guz jest nadal tej samej wielkości. I to miała być ta wspiana dla mnie wiadomość? To co tu jest prawdą? Wtedy do mnie dotarło, że lekarz wie tyle, ile dowie się od samego pacjenta. I dlatego nieważne, co napisze na kartce. Ważne, w jakim naprawdę jesteśmy stanie. Jak naprawdę się czujemy. Ważne, by nie wyznaczać sobie granic.

No właśnie. Wyznaczanie granic sobie i innym to typowa ludzka przypadłość. Nie pytamy już, jak działa prąd elektryczny, tylko po prostu z niego korzystamy. Dlaczego nie możemy zrobić tego samego z energoterapią?! Co za pycha i brak pokory kieruje ludźmi wytyczającymi granice pomiędzy możliwym a niemożliwym! Skąd ktokolwiek może to wiedzieć?! Skąd ludzie biorą pewność, że jeśli czegoś nie widzą, to tego nie ma?! Dlaczego nie wpadają na pomysł, że sami mają zbyt małą wiedzę i doświadczenie oraz znikome możliwości?! Dlaczego, zamiast zgłębiać temat, są gotowi natychmiast wydać osąd?!

Te i wiele podobnych pytań pojawiło się w mojej głowie, kiedy z wściekłości przeszedłem do analizy. Jak bardzo jesteśmy zablokowani i ograniczeni, jeśli mając do czynienia z faktami, z relacjami nie jednej, ale wielu osób, nie potrafimy choćby wziąć tego pod

uwagę. Zastanowić się, że może jednak coś w tym jest. To, że my tego nie doświadczamy, nie czujemy i nie widzimy, nie oznacza, że to nie istnieje, albo że tamci zwariowali lub mają omamy.

Trzeba w ogóle nie mieć rozumu, żeby uważać się za wszechwiedzącego i uprawnionego do wytyczania granic sobie i innym. Nie doświadczyłeś czegoś na własnej skórze, nie byłeś nigdy na granicy życia i śmierci, to skąd możesz wiedzieć cokolwiek na ten temat?!

Moje rozmyślania sprowokowane chwilowym załamaniem, atakiem wściekłości i paniki, zataczały coraz większe kręgi. Zastanawiałem się teraz nad losem ludzi, którzy sami siebie uznali za elity i mają za nic wszystkich pozostałych. Nieznane nazwisko, stary samochód, brak umiejętności wystawiania się – to już są dla nich powody, żeby kimś pomiatać. A przecież nie o to chodzi. Fakty i prawda zawsze kryją się pod tymi pozorami.

Niejedyn podczas pobytu w Podkowie umiał odebrać tylko te najmniej istotne informacje. Jacht i duży teren. Jakie bogactwo! Dziś znam historię i fakty związane z jednym i drugim. Przejmującą historię, która pokazuje, jakim ten facet jest człowiekiem. Ale kogo to obchodzi?!

Wróciłem do słów pana Zbyszka, że ze mną jest wszystko w porządku. Czy można odpowiedzialnie robić coś, czego się w stu procentach nie rozumie?! Stawać codziennie przed ciężko chorym, dawać mu nadzieję na wyzdrowienie! Dzień w dzień, tydzień w tydzień, rok po roku przez ponad trzydzieści lat! Tego żadna ludzka psychika by nie zniosła. Nie mam prawa zarzucać Nowakowi braku kompetencji i wiedzy tylko dlatego, że sam się na tym nie znam.

Mam prawo żądać wyjaśnień, ale po co, skoro i tak nie jestem w stanie tego pojąć.

Może kiedyś sam to zrozumie i wtedy nie będę musiał o nic pytać. Na razie odpowiedź na moje pytanie mogłaby mi tylko zaszkodzić – gdybym ją niewłaściwie odebrał.

Jednej jedynej rzeczy powinniśmy się wystrzegać. Tej naszej „bezgranicznej mądrości”, absolutnego przekonania o wszechwie-

dzy, które nie prowadzi do niczego poza stawianiem granic i bezpodstawnym osądzaniem innych.

Wielkim błędem jest także powierzanie innym czegoś, co powinniśmy zrobić sami. Czegoś, co zsyła nam los. Zastanawiałem się, kiedyś byłem nawet z tego powodu wściekły, dlaczego Nowak w taki sposób informuje o swoich możliwościach. Dlaczego nie namawia, nie zmusza. Ogranicza się wyłącznie do suchej informacji. Dziś już wiem i nie mam wątpliwości, że to najlepszy sposób. Każdy człowiek ma się za mądrego. Uważa, że nie trzeba mu mówić, co ma robić i jak żyć.

W którymś momencie jednak każdy z nas uświadamia sobie, że sam jest odpowiedzialny za swoje życie. Wtedy przydałby się ktoś, na kogo można zwalić winę i oczyścić sumienie. Tylko ci najbardziej nieuczciwi, ci, którzy w ogóle nie słuchali, co się do nich mówi, są w stanie obarczyć Nowaka winą za swoje niepowodzenia i błędy.

Podziwiam Zbyszka za to, że niezależnie od opinii na swój temat, konsekwentnie i cierpliwie robi swoje. Zauważył to lata temu ksiądz Leon Kantorski, legendarny proboszcz z Podkowy, który powiedział, że to, co robi Zbyszek Nowak, jest wkładem w dzieło zbawienia całej ludzkości.

Od dziecka, patrząc na ten świat, szukałem sposobu, żeby go zmienić. Nie umiałem być tak beztroski jak inne dzieci. Nie mogłem zrozumieć okrucieństwa, wojen, zabijania, krzywdy. Stale zastanawiałem się, co mogę zrobić, żeby to wszystko zmienić. Od czego zacząć? Z biegiem lat zapomniałem o tym na krócej lub na dłużej, ale nigdy całkowicie nie zaniechałem sprawy. Cały czas była niezalutwiona. Żyło we mnie ciche marzenie i nadzieja, że kiedyś się spełni. Zawsze kiedy o czymś marzyłem, czegoś bardzo potrzebowałem albo wpadałem w tarapaty, zjawiali się ludzie-anioły. Z biegiem lat zacząłem to zjawisko dostrzegać wyraźniej i coraz bardziej się nad tym zastanawiać. Wybiegałem nawet myślami w przód. Co będzie teraz i kogo tym razem los postawi na mojej drodze?

Intuicja podpowiadała, że szykuje się coś na dużą skalę. Milczała jednak w sprawie szczegółów.

Bardzo chciałem znaleźć sposób, żeby pomagać ludziom, ale nie mogłem niczego wymyślić. Każdy przejaw troski człowieka o człowieka witałem z radością. Przeważnie okazywało się jednak, że w tym wszystkim chodzi o coś zupełnie innego. Tak zwani dobroczyńcy tylko udają, że dobro tego świata jest im bliskie. Zawiodłem się wiele razy. Coraz rzadziej rozmawiałem z innymi na ten temat. Ich głupie miny mówiły wszystko.

Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek spotkam Człowieka. Człowieka przez duże C, istotę kochającą i czującą, dbającą o innych, która nie ma nic wspólnego z tymi ludźmi. Tych najchętniej pisałbym przez o z kreską, bo kojarzą się z zimnym lodem, od którego można jedynie nabawić się choroby. Siedem miliardów ludzi, a wśród nich Człowiek. Może kilku, może stu...

Zamiast miłości – Dzień Zakochanych, zamiast codziennej troski o naszą planetę – Dzień Ziemi, zamiast bezterminowego szacunku dla matki, ojca, żony, dziecka – Dzień Kobiet, Dzień Matki, Dzień Dziecka, Dzień Nauczyciela...

Dzień Leczenia i Dzień Nowaka – wpadamy do Podkowy na chwilę, tak się organizujemy, żeby nie zmarnować nawet sekundy i natychmiast uciekamy z powrotem do naszego „pięknego” życia, gdzie umieramy w biegu, bo nie mamy czasu. Jeszcze zdążamy trochę ponarzekać, ale tak naprawdę nie chcemy niczego zmieniać. Nie mamy już szans podźwignąć się z tego szlamu.

A może mamy?! W każdej chwili możemy się przecież zatrzymać i odwrócić w kierunku swojego, prawdziwego ja. Zająć się własnym ciałem. Nie w sensie kultu, ale dbałości. Zająć się własnym duchem, własnym rozwojem.

Nie musimy, tak jak znakomita większość, być „przystosowani”. Nie musimy ani działać, ani myśleć schematami. Nie musimy słuchać tych, którzy za nas chcą decydować, co jest dobre, a co złe. Nie musimy walczyć.

Dobro nigdy nie walczy, bo wtedy przestaje być dobrem. Dobro

nigdy nie odniesie zwycięstwa. Dobro po prostu jest. Tak jak prawda. Nie posiada wersji, odmian ani wariantów, tylko po prostu jest.

Stałem któregoś razu przed panem Zbyszkiem podczas spotkania indywidualnego. Od pewnego czasu wiadomo już było, że jest dobrze i ode mnie zależy, jak długo to potrwa. Wydawało mi się, że zrobiłem już wszystko i cała sprawa się zakończyła. Jestem zdrowy, bliscy i znajomi zostali oddani do TIOPZ, więc nie mam już nic do roboty. Wtedy usłyszałem:

– Podnieść ciało jest bardzo łatwo. O wiele trudniej podnieść ducha.

Co?! Podnieść ciało jest łatwo?! To wszystko, co tu wycierpiałem, było łatwe?! Na szczęście szybko przeszedłem do drugiej części zdania. No to pięknie! Przed chwilą myślałem, że mam wolne, a tu staje przede mną nowe zadanie. To mi się dostało!

Wiele razy patrzyłem na Zbyszka z nieukrywanym podziwem. Miał przecież na koncie dziesiątki tysięcy wyleczonych ludzi. Przyносił mu różne sprawy pod opiekę energetyczną, czasem nawet zwykłą brodawkę czy plamkę na nosku dziecka. Zawsze z tą samą powagą odpowiadał:

– Spróbuję i postaram się zrobić więcej, niż pan oczekuje.

Ile trzeba mieć pokory i skromności, żeby przy tak drobnym problemie nie ulec pokusie i nie okazać próżności, zadufania, zbyt dużej pewności siebie!

Z czasem pewna nowa rzecz dała mi do myślenia. Kiedy wchodziłem do gabinetu, pan Zbyszek stawał przede mną na baczność, a bywało, że nawet salutował i mówił:

– Jestem do pańskiej dyspozycji.

Z początku byłem pewien, że to żart. Polubiliśmy się już, poznaliśmy i coraz częściej żartowaliśmy na różne tematy. Jednak tu miał poważną i uroczystą minę, więc zastanawiałem się, dlaczego melduje się jak przełożonemu w wojsku.

Zazwyczaj przyjeżdżałem już w niedzielę i korzystałem z zabiegu wieczorem. Któregoś jesiennego, deszczowego i wietrznego wieczoru idąc z Alkano do przychodni drogą obok domu Nowaków, widziałem w salonie gości. Nie chciałem się gapić, ale ciekawość wzięła górę, bo może znów ktoś z „wielkich” tego świata, których tu przecież widywałem. Nie myliłem się, za stołem siedziała znana aktorska para. Pan Zbyszek wstał, założył kurtkę i czapkę, i wyszedł. Przybiegł zmoknięty, stanął przede mną i znów to samo:

– Jestem do pańskiej dyspozycji.

Dziwnie się poczułem. Co jest grane?! Nowak znów się melduje! I to komu?! Tam impreza, tacy goście, ciepło i sucho, a ten rzuca wszystko i idzie, bo jakiś Roman przyjechał. Aż taki łasy na pieniądze?! No nie, któremu bogatemu chciałoby się opuszczać takie towarzystwo, iść w zimnie i deszczu i zajmować się jakimś chorym! O co tu chodzi?!

– Ma pan gości, ale pan przyszedł. Chciało się panu?

Spojrzał tylko na mnie, nic nie musiał mówić. To nie biznes. To służba. On tego nie robi dla kasy, ale też nie wyprowadza nikogo na siłę z takiego przekonania. Jest uczciwy. Uczciwy wobec samego siebie, a nie tylko wtedy, kiedy inni patrzą.

Nie spieszył się, porozmawialiśmy chwilę i w końcu każdy poszedł do siebie. Rozmyślałem do późna, aż w końcu stwierdziłem, że tu nie chodzi o pieniądze. Następnego dnia, spotykamy się w gabinecie, a ja od razu wypaliłem:

– Pięknie się pan ukrył za tym całym majątkiem. Za tą posiadłością ukrył pan to, co pan naprawdę robi.

Uśmiechnął się. Był zadowolony, że nie dałem się nabrać na tę grę. Pieniądze są świetnym papierkiem lakmusowym. W obecności pieniędzy sytuacja łatwo staje się wybuchowa. Ludzie nigdzie się tak nie odkrywają, jak przy sprawach finansowych. Mam znajomego, któremu wystarczy obiecać pożyczkę, żeby zaczął zachowywać się jak właściciel tej sumy, a mnie traktować jak niestłownego dłużnika. Ze Zbyszkim jest zupełnie inaczej, pozory mylą. Kto by docenił to, co robi, gdyby przyjmował za darmo? Kto by szanował

odzyskane zdrowie? Wiem to z własnego doświadczenia i z tego, co słyszałem od innych pacjentów. Długo trwało, zanim to odkryłem, zanim przekonałem się, jaki jest Nowak. Zbyt długo. Dowody miałem przecież już dawno.

Kiedy to odkryłem, otworzyły mi się oczy na wiele innych spraw. Często ulegamy iluzji i ślepo wierzymy w pozory. Dlatego są ludzie, którzy widzą w Zbyszku Nowaku jedynie biznesmena, bogatego i ustawionego gościa. Ale są też tacy, którzy spoglądając głębiej, widzą człowieka bezgranicznie oddanego służbie innym ludziom i światu. Leczy ich, naprawia, przedłuża życie, a tym samym daje szanse poprawy i powrotu na właściwą drogę. Jestem tego najlepszym przykładem. Dostałem czas na naprawienie błędów i na dalszą służbę.

W połowie września 2014 szedłem z Alkano w kierunku przychodni. Było piękne, słoneczne popołudnie. Spocony, wymęczony chorobą i podróżami, jechałem na resztkach nadziei. Na tarasie u państwa Nowaków siedziało kilka osób. Ścieżka do przychodni w pewnym momencie zakręca pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, wtedy, już bez odwracania głowy i ostentacyjnego gapienia się, widać dom i taras. Przystanąłem na chwilę i spojrzałem w tamtą stronę z sercem pełnym żalu.

Wyleczę się z raka, pan Zbyszek mnie wyciągnie i co z tego, skoro i tak nigdy w życiu nie będę miał okazji usiąść z nimi na tym tarasie. Choćby jeden raz w życiu. Do niczego im nie jestem potrzebny, mają tylu znajomych, długa jest lista znanych nazwisk. Nie mam szans nawet na pięć minut, nie wspominając o wspólnej kolacji czy lampce wina. Westchnąłem, poczułem, że do oczu napływają mi łzy i powlokłem się dalej. O czym ty, chłopie, marzysz, za wysokie progi...

Przedziwne było to, że jedyne, co czułem, to smutek. Całe spotkanie przemilczałem i wracałem tą samą drogą ze spuszczoną głową. Znów skazany na ten sam widok. Smutek nie opuścił mnie aż do

końca pobytu. Nie widziałem sensu, żeby dalej żyć. Sam na siebie krzychałem za te głupoty, a jednocześnie marzyłem. Ganiłem się za nieskromność i nierealność moich marzeń, a jednocześnie przypominałem sobie, że jak do tej pory wszystkie moje marzenia się spełniły, nawet te wielokrotnie przekraczające pojemność mojej wyobraźni.

To marzenie było jednak zdecydowanie niemożliwe do spełnienia, więc na siłę uciszyłem w sobie i samo pragnienie, i żal.

Kolejne kilkudniowe pobyty wyglądały podobnie. Idąc wzdłuż domu, odwracałem głowę, żeby sobie nie sprawiać przykrości, ale mimo woli obserwowałem wszystko uważnie. Zwłaszcza pacjentów w poczekalni. Wtedy jeszcze wkurzali mnie niemożliwie:

– Poproszę kartki wodne, zrobię sobie wodę, bo paprotki mi schną.

– Poproszę TIOPZ dla kota...

Starsze kobiety byłem jeszcze w stanie zrozumieć. Ale tych młodych, elegancko ubranych i z wyższym wykształceniem wypisanym na twarzy, gadających o jakichś sukcesach w biznesie, o odzyskanych długach, o wygranych procesach – za nic!

Bez przerwy: znikające guzy, umierający, którzy wstali z łóżka tylko po zostawieniu ich zdjęcia w okienku. A ja swoje. Jak ta ciemna masa w to wierzy?! Tak się dać zmanipulować?! Szkoda, że wcześniej nie widziałem tego szaleństwa, nie wypisałbym tych kilku TIOPZ-ów – każdy na cały rok!

Lipa po całosci, jak on się nie wstydzi?! Roztopił kiedyś lód na Wiśle, kiedy zagrażał Warszawie – akurat! Sprawił, że ktoś wygrał w totolotka! Wygrał, bo miał wygrać! Uciążliwy sąsiad się wyprowadził, odnalazła się zguba – przypadek!

Kiedyś dużo czytałem o sposobach manipulacji, zwłaszcza grupą ludzi. Zawsze znajdzie się część, która zwykłe zdarzenia i zbiegi okoliczności będzie postrzegać w kategoriach cudu. Ilu już było cudotwórców na tej ziemi! Wcześniej czy później okazywali się zwykłymi oszustami.

Na podstawie pierwszych dni moich TIOPZ-ów nie można było powiedzieć niczego konkretnego. Zacząłem sobie wyobrażać, że

kiedy wychodzę z gabinetu, Nowak czyta te moje prośby, liczy kasę i tarza się po dywanie ze śmiechu – jaki ten Roman naiwny!

No i pan Zbyszek jakby wyczuł te moje myśli. Zaskoczył mnie porządnie, kiedy nagle powiedział:

– A wie pan, panie Romanie, że ja do dziś znajduję u siebie TIOPIZ-y z przypiętymi niemieckimi markami albo złotówkami sprzed denominacji?

Tym jednym zdaniem dał mi do myślenia. Czyli nie jest tak, jak sobie myślałem, że zaraz wyciąga pieniądze, a karteczka ląduje w śmietniku.

– Jedna moja znajoma bez pytania wzięła z półki ten cukierek. Zabrałem go i odłożyłem na miejsce. Oburzyła się, nie mogła zrozumieć, dlaczego żałuję jej zwykłego, taniego cukierka. A to był prezent od dziewczynki, której pomogłem wyzdrowieć. Nie miała nic innego, więc podarowała to, co miała. Leży na półce obok sygnetu z brylantami, także prezentu ofiarowanego z tego samego powodu. Oba mają dla mnie dokładnie tę samą wartość, to dary serca. Bo liczy się tylko intencja.

Usłyszałem tę historię i rozumiałem, dlaczego od dziecka nie lubię prezentów. Niektórych prezentów, od niektórych osób. Bo liczy się wyłącznie intencja!

Tak często się zdarza, że dostajemy drogi prezent, pozornie tylko ofiarowany z potrzeby serca, a w gruncie rzeczy splamiony myślą, że w ramach rewanżu ofiarodawca dostanie znacznie więcej. Bardzo długo nie mogłem zrozumieć, dlaczego osoby, którym pomogłem w stu procentach bezinteresownie, patrzą na mnie podejrzliwie. Sam, słysząc kilka dni temu od kolegi, że będę miał w Warszawie do dyspozycji jego samochód, a przecież wcale o to nie prosiłem, omal nie uznałem go za wariata. Jak dziwnie reagujemy na całkowicie bezinteresowne zachowanie innych, na coś, co powinno być naturalne i oczywiste!

Latem moją znajomą ukąsił kleszcz. Była bez pracy i bez żadnych perspektyw po skończeniu studiów,. Gdyby nie moja choroba, na pewno pomógłbym jej poszukać jakiegoś zajęcia. Na razie musiałem poprzestać na oddaniu jej do TIOPZ. Moje zdziwienie było ogromne, bo już po dwóch tygodniach zaproponowano jej pracę nauczycielki. Na razie musiała dojeżdżać codziennie kilkadziesiąt kilometrów do jednej z podwarszawskich miejscowości, bo na wynajęcie czegoś nie było żadnych perspektyw. Ale nie narzekała, była bardzo szczęśliwa.

Opowiedziałem o wszystkim panu Zbyszkowi i miałem poczucie, że nie zrobiło to na nim wrażenia. Za dwa tygodnie okazało się, że moja znajoma dostała dwie propozycje mieszkania i to w niewiarygodnie niskiej cenie, cztery razy taniej niż przeciętne ceny w tej koszmarnie drogiej okolicy.

Zameldowałem też o tym i dodałem, zgodnie z tym, co powiedziała, że pod koniec miesiąca będzie miała minimalne wynagrodzenie. Za kilka dni zadzwoniła z wiadomością, że coś przeliczyli i w sumie wyszło całkiem fajnie. Pewnie bym to zdarzenie zakwalifikował, podobnie jak wiele innych zasłyszanych w poczekalni, do kategorii przypadków, gdyby nie seria wiadomości od innych znajomych, których poleciłem energetycznej opiece Zbyszka. Posypały się stanowiska, etaty, przeróżne dziwne zbiegi okoliczności, wszystkie bardzo korzystne dla tych ludzi. Bo jak inaczej określić niespodziewany awans albo podwyżkę o ponad sto procent.

A zatem dołączyłem do grona TIOPZ-ujących! I teraz to ja opowiadałem o niesamowitych wydarzeniach, które przytrafiały się moim znajomym. Coś jednak nie dawało mi spokoju. Coś mnie smuciło wewnątrz – i to coraz bardziej. Na razie nie wiedziałem co.

A niesamowite wypadki zdarzały się coraz częściej. W listopadzie byłem w Krakowie. Akurat tego dnia, kiedy był tam pan Zbyszek. Wybrałem się na spotkanie. Dojechałem z trudem, bo zaczęły szwankować łożyska w samochodzie. Słyszając straszny huk i zgrzyt, znajomy, z którym, jadąc, rozmawiałem przez telefon, zapytał:

– Co się dzieje z twoim autem? Co to za hałas?!

Jechałem trzydzieści na godzinę, ledwo zdążyłem na spotkanie. Opowiedziałem o tym panu Zbyszkowi i dodałem, że planowałem w niedzielę wyjazd do Podkowy, ale chyba nic z tego, bo samochód się rozpada.

– To piechotą. Do Podkowy to na kolanach.

Ale mnie wkurzył tym okrutnym żartem! Zamiast współczucia takie szyderstwo. Nie czekając do niedzieli, postanowiłem wracać do Wrocławia natychmiast. Będę jechał dwadzieścia na godzinę, ale dojadę! Wsiadłem – jedyńka, dwójka, trójka, sześćdziesiąt, osiemdziesiąt, sto, sto dwadzieścia – nic, cisza, nawet jednego szumu. Minęły lata – ten samochód do dziś jeździ na tych samych łożyskach.

Na dobre przestałem ignorować te znaki, kiedy w samolocie do Kopenhagi, którym mieli wracać z Podkowy moi Szwedzi, padła elektryka. Musieli przenocować w Warszawie i polecili porannym lotem. Bezpiecznie i przy pięknej pogodzie.

A poprzedniego wieczoru i w nocy nad Kopenhagą szalała groźna burza.

Teraz już za każdym pobycem nosiłem do Zbyszka hurtowo te znieawidzone kiedyś TIOPZ-y. Dodam tylko nieskromnie, że mamy ze Zbyszkciem na swoim koncju wyleczenie z guza mózgu pewnej pani bez jej wiedzy, bo nie chciała przyjechać. Sukces za sukcesem. Są granice, do których można przyjąć najbardziej nawet przekonujące wyjaśnienie tych wydarzeń, ale przy tej ilości i tym tempie dalszy upór jest po prostu głupotą.

Nie wiem, od czego to zależy, ale niektóre nasze spotkania odbywają się w całkowitej ciszy, a bywa, że nie możemy się nagadać i paplamy jak dwie kumoszki.

O poważnych sprawach albo o zupełnych pierdołach. Od jakiegoś czasu nie planuję, o czym chciałbym pogadać, bo i tak wchodząc, zapominam. Pozostaje zatem improwizacja.

Raz na spotkaniu była mowa o dobroczynnym działaniu cebuli, więc objaśniłem panu Zbyszkowi, jak odróżnić ostrą cebulę od łagodnej. Ojciec mnie tego nauczył, kiedy byłem mały. I już po chwili żałowałem, że się tak głupio odezwałem. Ale sobie wybrałem temat. Co pana Zbyszka może obchodzić jakaś tam cebula! Zamiast powiedzieć coś mądrego, to ja o cebuli.

Tak mi było głupio, że postanowiłem na następnym spotkaniu nie odezwać się ani słowem. Milczałem i czekałem końca spotkania. Nagle słyszę:

– Po południu jadę po zakupy. Jeśli ma pan czas, może pojedzie pan ze mną i pokaże, o co chodzi z tą cebulą?

Nie uwierzyłem, w to co usłyszałem. Ja ze Zbyszkciem Nowakiem po zakupy! Nauczyć go rozpoznawać cebulę! No w to, to już mi nikt nie uwierzy.

Wsiadamy do samochodu, w dodatku pan Zbyszek otwiera mi drzwi. Zawirowało, a mój mózg przestał pracować. Stoję kompletnie zbaraniały, a tu wychodzi z domu żona pana Zbyszka i oświadcza, że jedzie z nami. W dodatku proponują mi, wręcz zmuszają, żebyśmy usiadł z przodu.

Nie mam pojęcia, co robić ani co mówić. W sklepie coś tam dukam, nawet nie wiem, czy logicznie. Co za dzień! Palnąłem coś o cebuli, wydawałoby się, że to najgłupsze, co mogłem powiedzieć, a doprowadziło do tego, że teraz jadę z Nowakami na zakupy.

Wróciłem do hoteliku pod takim wrażeniem, że usta mi się nie zamykały. Opowiedziałem mamie i pani Basi, ale chyba nie pojęły, dlaczego aż tak się cieszę. Nagle na tarasie od strony kuchni pojawił się pan Zbyszek. Wchodzi i mówi:

– Tak nam się miło rozmawia, zapraszam na kolację. O dwudziestej. Mamę też zapraszam.

Wyszedł, a moje zbaraniecie sięgnęło zenitu. Oj, coś mi się wydaje, że ten wyjazd po cebulę to znów był jakiś podstęp. Tak jak z tymi poradami budowlanymi, pewnie wcale nie o to chodziło.

Ubrani w najlepsze, co mieliśmy, punkt ósma zadzwoniliśmy do

drzwi. Byłem tak zestresowany i przerażony, że najchętniej zwałbym teraz piechotą do Wrocławia. Zachciało ci się mądrzyć, to teraz masz za swoje. Modliłem się, żeby nikogo nie było w domu.

Jednak drzwi się otworzyły i zobaczyłem uśmiechnięte twarze gospodarzy, którzy przywitali nas serdecznie i zaprosili do środka. W salonie czekał zastawiony stół.

– Jest tylko pieczona dziczyzna – usprawiedliwiali się gospodarze, przepraszając, że jedynie tyle zdążyli przygotować.

Słuchałem, patrzyłem i cały czas dopatrywałem się podstępów. Podpuszczają nas! Po co? Żarty sobie robią z prostych ludzi, w dodatku chorych!

Opróżniliśmy już pół butelki wina, ale nadal było sztywno. Nie uwierzyłem w to, co pan Zbyszek powiedział na samym początku:

– Pan Roman porusza takie tematy, o których rozmawiam tylko z żoną, z nikim więcej.

O czym on gada! To z czym przychodzą ci wszyscy wielcy i znani?! Nie interesuje ich los Polski i świata? Nie widzą potrzeby ratowania tego wszystkiego?! Ale nie podejrzewałem pana Zbyszka o ironię. Był zbyt poważny, kiedy to mówił. Widocznie jeszcze nie koniec wrażeń na dziś.

– Co pan jada? Co pan lubi najbardziej, panie Romanie?

– Chleb z masłem i cebulą. A jem to z dwóch powodów. Dlatego, że lubię i po to, żeby się nie przyzwyczajać do luksusu. Jak będzie gorzej, nie będzie mi przykro.

No to błysnąłem! Powinienem sobie wyrwać ten głupi jęzor. Nowak spojrzał na mnie poważnie. Nie ma się co dziwić, nie jest przyzwyczajony do takich wieśniackich tekstów. Cholera, tak bardzo marzyłem, żeby się tu kiedyś znaleźć, usiąść przy tym stole, a jak już tu jestem, to gadam głupoty. I znów o cebuli. Wydawało mi się, że odgadłem, co mówiła wtedy mina pana Zbyszka, ale znów się pomyliłem.

– Oleńko, przynieś cebulę, masło i chleb.

No, tym mnie zabił! Za chwilę wszystko już było na stole. Pan Zbyszek kroił cebulę, rozmowa dalej potoczyła się gładko, zrobi-

to się miło i swojsko. Wino było przewyborne, a ja od dawna nie piłem alkoholu. Ale to wino smakowało mi wyjątkowo. I mamie też. Wróciliśmy do Alkano, a ja nadal nie mogłem w to wszystko uwierzyć.

Rano zadzwoniłem do mojego przyjaciela.

– Słuchaj! Wczoraj byłem na kolacji u Nowaków! I jedliśmy razem chleb z masłem i cebulą!

– A wy tam jesteście z mamą już dwa tygodnie, tak?

– Tak!

– I każdego dnia chodzicie po kilka razy na spotkania?

– Tak!

– No to cię, kurwa, ugościł! Za tyle pieniędzy!

Boże, co on gada! Jak można w ogóle coś takiego pomyśleć! Nawet mu nie będę tłumaczył, że stół był zastawiony, że dziczyzna, że drogie wino... Ten prymityw nic nie rozumie! Gdyby wtedy stał obok, chyba bym zabił idiotę. Facet w sekundę stracił u mnie wszystko.

Zawsze szedłem do przychodni przepisowo – chodnikiem. Nawet jeśli bardzo się spieszyłem, nie umiałem sobie skrócić drogi przez trawę. Miało to też ten plus, że mogłem się pogapić na wymarzony taras. Teraz też szedłem tą samą drogą i spoglądałem jak zawsze. Tyle tylko, że tym razem myślałem: byłem tam wczoraj, jadłem chleb z cebulą i piłem wino! I nadal było to dla mnie tak wielkie wydarzenie, że nie mieściło mi się w głowie.

Wszedłem do gabinetu.

– Panie Zbyszku, wczoraj poczułem się tak wyróżniony jak to ziarenko piasku na pustyni, przez którą przechodził Jezus. Zatrzymał się, wziął je i położył na dłoni. Obejrzał z miłością i odłożył na miejsce.

Wzruszenie odbierało mi głos, a łzy cisnęły się do oczu. Nie tylko mnie. Ktoś jeszcze w tym gabinecie także był wzruszony, ale szybko zmienił temat i odwrócił głowę. Myślał, że nie zauważyłem

jego mokrych oczu. Pod koniec spotkania jednak znów mi się obe-rwało.

– Więcej pokory, panie Romanie, takiej wewnętrznej pokory.

Cóż, chyba już tak musi być. Co jakiś czas, a zwłaszcza w takich chwilach, muszę oberwać. Nie pojmowałem dlaczego. Rozumiemy się w tak wielu kwestiach, fajnie się nam gada, najwyraźniej trochę się lubimy, zaprosił mnie do domu, a cały czas w pewien sposób trzyma na dystans. Jak trędowatego.

Zamierzałem zastanowić się nad tym, ale nie było mi dane. Kiedy jechałem do Podkowy, planowałem, że tu sobie odpocznę, wy-spię się do woli, a tymczasem ledwo dojechałem, już coś się działo.

Ciągle coś mnie zaskakiwało. Tym razem jechałem po dwutygo-dniowej przerwie. Mój stan był już w miarę stabilny, wahania samopoczucia coraz mniejsze, chociaż nadal towarzyszyła mi spora niepewność.

Gdy tylko przekroczyłem próg Alkano, zaatakowała mnie pew-na myśl. Z początku cichutko, potem coraz natarczywiej. Nawet w nocy słyszałem wciąż to samo zdanie, krótkie zdanie – tylko dwa wyrazy. W końcu przerodziło się niemal w krzyk. To nic fajnego słyszeć w głowie wciąż to samo, więc rano miałem dosyć. Idąc do przychodni, postanowiłem się od tego uwolnić i po prostu Nowa-kowi o tym powiedzieć.

Wyobraźnia podpowiadała mi straszne sceny. Nowak łapie mnie za kołnierz, wystawia na schody i daje kopa, karze spierdalać i więcej się nie pokazywać. Bałem się okropnie, ale nie było wyj-scia. Powiem, choćby miał mnie zabić!

Wchodzę, patrzę panu Zbyszkowi prosto w oczy i, na nic się już nie oglądając, wypalam:

– Witaj, bracie! Nie wiem, o co chodzi, ale musiałem to panu powiedzieć!

Mówię i czekam na spodziewany atak. Tymczasem pan Zbyszek rozkłada ramiona i mówi:

– No, nareszcie!

Padamy sobie w objęcia, ściskamy się mocno i bardzo serdecz-

nie. Jakbyśmy się nie widzieli wiele, wiele lat. Tym razem Zbyszek nawet nie próbuje ukrywać łez. Płaczymy i cieszymy się jak małe dzieci.

– Czy my się już kiedyś gdzieś spotkaliśmy?

– Znamy się tysiące lat i wiele razy się spotykaliśmy. Opiekuję się tobą, od kiedy pojawiłeś się na tej planecie.

Poczułem się lekki, jakbym stracił dziewięćdziesiąt dziewięć procent wagi.

Wychodząc, odwróciłem się w drzwiach i powiedziałem na pożegnanie, ale takie pożegnanie na kolejne tysiące lat:

– Trzymaj się, braciszku. Trzymaj się!

Odpowiedziało mi spojrzenie pełne obawy i troski. Czy ten młody da radę? Czy ten przedszkolak nie pogubi się w tym świecie?

Wyszedłem i odetchnąłem z ulgą. Powiedziałem! Mam to już za sobą! Znow byłam na krawędzi, znow musiałem zaryzykować i znow okazało się, że było warto. Inaczej nigdy bym się nie dowiedział o tych sprawach.

No właśnie, o co naprawdę tu chodzi? Czy to wszystko dzieje się przypadkiem? A może choruję po to, żeby to mogło się zdarzyć? To, czyli co? Zostałem z tym problemem zupełnie sam, przecież nikt by mi nie uwierzył. Powiedzieliby, że oszalałem. Sam byłem bliski takiego stwierdzenia.

Ja i Zbyszek jesteśmy braćmi z dalekiej przeszłości. Jedynym potwierdzeniem tego, że nie zwariowałem, był dla mnie fakt, że gdyby tak było, to i Nowak byłby wariatem, a jego akurat ciężko o to podejrzewać.

Kolejnych kilka pobytów mija podobnie, jeśli chodzi o rozkład dnia: prysznic, rzadko kiedy śniadanie i szybkim od pewnego czasu krokiem do przychodni. Kilka spotkań indywidualnych, ogólne, czasem dodatkowo kilka chwil na rozmowie ze Zbyszkiem. Cała reszta ma jednak za każdym razem inny przebieg. Czasem milczymy. Chociaż początkowo jest mi żal i szkoda każdej sekundy, zaczynam

rozumieć, że milczenie ma swoją wagę. Milczenie to dialog na innym poziomie. Czas na poukładanie sobie wszystkiego i refleksję.

Właśnie po takim długim milczeniu rozkwitła we mnie myśl, że nie chcę już dłużej tak żyć. Nie mam już siły być takim, jak do tej pory. Trochę dobrym, trochę złym. Chcę wyeliminować z mojego życia całe zło. Nieważne, czy do dzisiejszego dnia było go dużo, czy zaledwie odrobina – chcę mieć absolutnie czyste konto.

Dostrzegłem też, że nie jest to łatwe i z pewnością sam sobie nie poradzę. Przy Zbyszku złe myśli najpierw cichły, a potem milły, ale kiedy wracałem do domu, odzywały się na nowo.

W Podkowie miałem ochronę, gdzie indziej już nie byłem bezpieczny. Przecież nie mogę zamieszkać w Podkowie! Choć nie byłoby to takie głupie.

Coraz bardziej podobało mi się to, co robi Zbyszek. I w jaki sposób. Zrozumiałem jego podejście do świata i ludzi. Pojąłem, dlaczego nie zwraca uwagi na to, co mówią inni. Ani na pochwały, ani na uwagi. Robi swoje najlepiej jak umie, jest uczciwy wobec siebie, więc nic nie jest na pokaz.

W jakiejś książce dla dzieci przeczytałem kiedyś takie zdanie: „Lubię jeździć na wczasy, tam nikt mnie nie zna, więc mogę robić, co chcę i na co mam ochotę”. Nowak wszędzie jest sobą, zawsze robi to, co chce, z niczym się nie ukrywa.

Chcę żyć według takich właśnie zasad. Nie interesuje mnie opinia innych na mój temat, nie potrzebuję pochwał, zwłaszcza od fałszywych ludzi. Krytyka, plotki i obgadywanie za plecami mnie nie wzrusza. Plując na mnie, plują sami na siebie.

Kiedyś może trochę się tym przejmowałem, ale zdałem sobie sprawę, że to sprawia im ogromną radość, więc postanowiłem pozbawić ich tej satysfakcji. Im ktoś bardziej mi dokucza, tym bardziej jestem miły. Wszystkich dotychczasowych wrogów udało mi się zamienić w przyjaciół.

Do poziomu Zbyszka jeszcze trochę mi brakuje, nie mam jeszcze jego odporności. Ale bardzo chcę być tak uczciwy wobec siebie, jak on. Co zrobić!

Tak sobie rozmyślam, siedząc w tej poczekalni, i któregoś razu wchodząc do gabinetu, pytam:

– Czy ma pan może gdzieś tam w szafie jakieś używane, niepotrzebne skrzydła, bo ja też bym chciał...

– Każdy ma swoje skrzydła. Często uszkodzone i połamane, ale ja mogę pomóc je naprawić, żeby znów były piękne.

Wtedy klęknałem, wziąłem Zbyszka za rękę i poprosiłem o pomoc, opiekę i naprawę moich skrzydeł. Zbyszek widząc, co robię, za wszelką cenę próbował mi przeszkodzić, zaczęliśmy się siłować, ale moje spojrzenie niemal krzyczało: muszę to zrobić! Więc w końcu pozwolił.

Przez chwilę myślałem, że przesadziłem, ale nie. Prosiłem nie o zdrowie, to znaczy nie o zdrowie mojego ciała. Gdy skończyłem, Zbyszek pomógł mi wstać.

I znów łzy, radość, i uczucie ulgi. Wróciłem! Wróciłem do swoich, do czystych, do braci, do służby. Z żelaznym postanowieniem, że nie wejdę już nawet na chwilę na drogę brudu, oblepiającego syfu grzechu, kłamstw i nieczystego sumienia. Nie ma nic piękniejszego, niż budzić się i zasypiać z czystym sumieniem. A co inni myślały na ten temat, to wyłącznie ich sprawa.

Ośmielałem się nawet twierdzić, że znalazłem prawdziwą przyczynę stresu. To nie nawał spraw i problemów go wywołuje. Te mogą wywołać jedynie zmęczenie. Jedyną przyczyną jest nieczyste sumienie. Wkręceni w spiralę kłamstwa, bo chcemy, musimy albo myślimy, że inaczej się nie da, nie możemy ani jeść, ani spać, ani odpoczywać. Zamiast prawdy – nieszczerze uśmiechy i gesty, fałszywa radość. Życie w iluzji. Ciekawe, że tych, których to wszystko nie dotyczy, na których naprawdę można polegać, tak często nazywamy szaleńcami.

Nie mogę pojąć natury człowieka, który w sytuacji bez wyjścia, kiedy cierpi – wierzy bez zastrzeżeń, siedzi wytrwale pod drzwiami, ściskając w dłoni butelkę z wodą i pilnuje swojej kolejki. Ale

kiedy poczuje się lepiej, od razu znajdzie tysiąc wyjaśnień i choćby miał się ośmieszyć całkowicie, to wmówi sobie i innym, że to nie Nowak, to co innego mu pomogło. Czy to jest normalne, że boimy się opuścić mętne wody kłamstwa! Dobrze czujemy się w szambie, a dusimy w czystej wodzie! Albo, chociaż środowisko ścieku nam nie odpowiada, nie jesteśmy w stanie wypłynąć samodzielnie na powierzchnię.

Wtedy potrzebny jest ktoś, do kogo można się zwrócić o pomoc, ktoś, kto nas oczyści, wskaże kierunek i da zapas energii na dalszą drogę. Dalej płyniemy już sami, wystarczy tylko podjąć decyzję o odseparowaniu się od całej tej mętnej brei.

Spędziłem w tej poczekalni tysiące godzin. Przez wiele dni wśluchiwałem się w rozmowy i opowieści, obserwowałem to miejsce i tego człowieka. I cały czas szukałem w głowie nazwy dla tego, czego byłem świadkiem – nazwy, która oddałaby w stu procentach charakter tego, co się tutaj dzieje. Byłem w szoku, kiedy się zorientowałem, że zgodnie z tym, co głosi napis na kalendarzu: „Możesz do mnie zadzwonić lub napisać w każdej sprawie”, ludzie przychodzą tu rzeczywiście ze wszystkimi możliwymi problemami.

Początkowo to zdanie, podobnie jak inne formułowane przez Zbyszka: „Jeden człowiek może wszystko” albo „Możesz się porwać z motyką na słońce”, wydawało mi się mocno przesadzone i nieskromne. Ale i to, tak jak tysiące innych rzeczy, dało mi do myślenia. Ludzie rzeczywiście powierzają Nowakowi najtrudniejsze sprawy: choroby, problemy rodzinne, kłopoty z dziećmi, procesy sądowe, zwierzęta – ktoś poprosił nawet o wsparcie strajku lotników w Norwegii – i... dostają to, czego chcą.

Kiedyś uważałem to za straszliwą głupotę. Ale trzeba wybaczyć nowicjuszowi, który nagle słyszy, że ktoś oddał do TIOPZ trawę na stadionie, kota czy drzewo. Gdyby to było bezpłatne, to rozumiałbym, że ludzie sobie piszą, co im tylko przyjdzie do głowy, ale prze-

cież oni za to płacą. To dopiero było zastanawiające!

Problem z zajściem w ciążę, problemy małżeńskie, problem z sąsiadem, niesprawiedliwe alimenty, brak pracy, wszelka niesprawiedliwość, wszystkie troski... każdy znajduje tu wsparcie.

Zrozumiałem powagę sytuacji, kiedy dotarła do mnie skala tego zjawiska. W dodatku Zbyszek nie jest złotą rybką i możemy mieć znacznie więcej niż trzy życzenia. Sam, kiedy to wszystko do mnie dotarło, napisałem ich do Zbyszka dziesiątki i oddałem mu pod opiekę wszystkich potrzebujących!

Siedzę sobie zatem w moim ulubionym fotelu i zastanawiam się, czy jest gdzieś na świecie podobne miejsce. Albo jak się nazywa miejsce, do którego możemy się udać po pomoc, kiedy znajdziemy się nagle w kraju, w którym dzieje się coś niedobrego i szukamy ratunku?

Każdego dnia docierało do mnie coraz wyraźniej, gdzie się znalazłem. Gdzie zostałem skierowany po pomoc. Przybyłem tu bez jakiegokolwiek planu działania, bez żadnych założeń czy oczekiwań, bez niczego. Nawet bez emocji.

Nie takie to oczywiste, bo widziałem wielu, którzy działali według ustalonego z góry planu: jeśli po trzech spotkaniach choroba nie ustąpi, to rezygnuję. Spotkałem mnóstwo osób oczekujących, że po jednym spotkaniu coś zniknie albo coś się pojawi. Nasłuchałem się opinii a priori, że ogólne to nie pomagają, a indywidualne tak, albo że woda pomaga, ale te naklejki nie są potrzebne itd...

Nie będę dalej zajmował się ani tą grupą, ani przyjeżdżającymi do Podkowy tylko po to, żeby uspokoić swoje sumienie w sprawie, którą sami już skazali na niepowodzenie. Byłem u Nowaka i też mi nie pomógł! Odhaczone!

Pominę też zawodników, którzy twierdzą, że po krótkim pobycie tutaj sami mogą leczyć.

Zajmę się natomiast tymi, którzy dokładnie wiedzą, po co przy-

jechali. Ci siedzą cicho, unikają dyskusji i są skupieni na tym, by możliwie jak najlepiej skorzystać z możliwości Zbyszka. Piszą długie petycje na biletach, nie trzeba ich do niczego namawiać ani przekonywać.

I nie ma nieważnych ani śmiesznych spraw. Skoro o to proszą, skoro to dla nich ważne, to będzie rozpatrzone. Co to za instytucja, gdzie tyle podań, próśb, życzeń, marzeń się spełniło. Pochłonięty tymi rozmyślaniami mam wrażenie, jakby z oddali ktoś cicho i nieśmiało mi podpowiadał... coraz wyraźniej. To, co słyszę, wydaje mi się z początku zbyt górnolotne i mocno przesadzone. Przez jakiś czas próbuję ten pomysł zagłuszyć, ale wraca. Z coraz większą mocą.

Po wielu godzinach rozważań i analiz doszedłem do wniosku, że to jest to! Po prostu inaczej tego miejsca i tego, co się tu dzieje, nazwać nie można. Zebrałem więc całą moją odwagę, bo były to jeszcze czasy, kiedy byłem traktowany dość chłodno i obrywało mi się nieźle.

Po raz kolejny targany tymi samymi emocjami: najwyżej mnie wyrzuci, umrę i będzie miał mnie na sumieniu, postanowiłem podzielić się moim odkryciem z samym Zbyszkiem. Uzbrojony w pewność co do słuszności mojego odkrycia, wszedłem do gabinetu i mówię:

– Panie Zbyszku, przez dziesiątki lat tysiące ludzi przychodzi do pana z najróżniejszymi sprawami. Sam zwróciłem się do pana z problemami wielu osób, a wszystkie, niezależnie od kalibru, zostały załatwione pozytywnie.

Dwie sprawy dotyczyły ludzi bardzo znanych i potem media szeroko komentowały, że musiał zdarzyć się cud. Innego wytłumaczenia nie znaleziono. Dla mnie to było wielkie święto, bo sprawiedliwość zwyciężyła.

– Panie Zbyszku, jedyne określenie tego miejsca, jakie mi przychodzi do głowy, to Ambasada Pana Boga. A pan jest Ambasadorem Pana Boga. Pracuje pan na tym wyspisku medycznym i z tych półtrupów robi pełnowartościowych ludzi. A przy okazji spełnia

pan tyle ich marzeń i próśb. Tyle dzieci się narodziło, tyle małżeństw pogodziło, tyle cennych przyjaźni i znajomości zostało zawartych. Tak, to jest Ambasada Pana Boga...

Zbyszek popatrzył na mnie jak zawsze ze spokojem i powagą.

– Chyba ma pan rację. Coś w tym jest – powiedział z pokorą w głosie i bez dalszych ceregieli powrócił do zabiegu.

Psik, psik, „Proszę się oprzeć, położyć, odwrócić, wstać”... Co za człowiek! Nie wkurzył się i nie zaprotestował, ale też nie ucieszył się przesadnie. Nawet takie wyznanie, tak ważna rozmowa, nie była w stanie ani na sekundę wytrącić go z równowagi.

Wyszedłem w milczeniu zadowolony z mojego odkrycia i reakcji Zbyszka. Nie zaprzeczył, ale też w swojej skromności i bezgranicznej pokorze wobec tego, czym się zajmuje, nie próbował tematu rozwijać. Kiedy porównuję go z innymi, widzę, jak wiele w nas jest pychy. Jak z byle powodu robimy z siebie bohaterów, chwalimy się osiągnięciami i opowiadamy o sukcesach.

W moim życiu było zadziwiająco dużo zbiegów okoliczności, interwencji ludzi-aniołów, oznak, że Opatrzność nade mną czuwa. I wreszcie znalazłem się w tej Ambasadzie. To wszystko z pewnością wydarzyło się po coś. W jakimś celu nie wylądowałem w żadnej renomowanej klinice w Hamburgu, Pekinie czy w Szwajcarii. Nie zdecydowałem się na żadną inną kurację albo cudowne zioła, mimo że miałem na to środki i możliwości. Natomiast trafiłem na Jaśminową 7 w Podkowie Leśnej, gdzie „rzeczy niemożliwe załatwiane są od ręki, a na cuda trzeba trochę poczekać” – jak żartują pracownicy i sam Zbyszek też.

Wystarczy mieć czyste intencje, serce pełne miłości i dużo pokory. Tak wiele się tu wydarzyło. Tylu ludzi oddałem pod opiekę Zbyszka, tyle spraw zostało załatwionych, a ja wciąż kręciłem się niespokojnie z uczuciem, że mam jeszcze coś wielkiego do zrobienia.

Nie dawało mi to spokoju. Kiedyś próbowałem wymyślać różne

rzeczy, ale efekty były marne. Jednak jakiś czas temu zauważyłem, że wystarczy zadać pytanie, a odpowiedź nadejdzie sama. W dodatku we właściwym momencie. Pod warunkiem, że nie będziemy usilnie o tym myśleć, nie będziemy przeszkadzać, kombinować, analizować i przypuszczać.

Zadawałem zatem to pytanie po wielokroć i czekałem. W końcu trafiłem na artykuł Zbyszka i takie zdanie: „Żona powiedziała mi kiedyś, że sam nie zbawię całego świata. Pomyślałem, że może ma rację, ale i tak spróbuję”. To mnie powaliło. Zbyszek jest sam! Nikomu już nie zależy na tym świecie!

Poczułem się tak, jakby ktoś wyrwał mi serce. Zbyszek jest sam! To była iskra, która odpaliła lont. Zamiast mnie osłabić, dodała mi sił i chęci do działania. Zgłaszam się na ochotnika. Może potrzeba kogoś, kto zwróci się do Nowaka z taką sprawą? Przypomniały mi się zdania, których dotąd nie mogłem pojąć. „Jeden człowiek może wszystko”. „Możemy się porywać z motyką na słońce”. Przecież modliłem się o to w Częstochowie! Byłem już pewien, choć nadal nie wiedziałem, dlaczego ja i jak to zrobić, że należy działać jak najszybciej.

Wreszcie zrozumiałem! Długo było mi trudno uwierzyć, że to w ogóle jest możliwe – zebrać siły i odwagę, żeby zwrócić się o wsparcie do Zbyszka i w tej sprawie. A jeszcze większy znak zapytania widziałem przy słowach: dlaczego ja? Zdałem sobie jednak sprawę, że spełnienie mojej prośby jest realne. Jestem w końcu w Ambasadzie Pana Boga, ale na wszelki wypadek, żeby wykluczyć najmniejszą nawet wątpliwość, postanowiłem zapytać samego Zbyszka.

– Czy są jakieś ograniczenia co do „wielkości” pacjenta?

– Nie.

Kiedyś usłyszałem z ust pana Zbyszka takie słowa:

– Pan, panie Romanie, może załatwić u mnie absolutnie wszystko. Ja dla siebie nie mogę załatwić nic, ale dla pana wszystko.

Wtedy pomyślałem, że dla siebie, to ja chcę tylko odzyskać zdrowie. Nie interesują mnie żadne materialne sprawy. Jeśli na coś zasługuję i to otrzymam, to oczywiście nie pogardzę i przyjmę z wdzięcznością, ale o nic materialnego dla siebie prosić nie będę. Dla innych tak. Robiłem to wielokrotnie i nadal będę. Natomiast dla ludzi, moich bliskich, a zwłaszcza dla moich dzieci zrobię wszystko, by mogli żyć w pięknym świecie.

Wziąłem formularz TIOPZ oraz cztery kartki formatu A4 i opisałem dokładnie mojego „pacjenta” w taki sposób, żeby nie było żadnych wątpliwości, o kogo chodzi, jakie są jego problemy i jakie są moje prośby i marzenia z nim związane. Wierząc głęboko, że nie tylko mnie na tym zależy, oddałem Zbyszkowi ten najdłuższy na świecie TIOPZ z prośbą o wsparcie dla Największego Podopiecznego.

Pan Zbyszek, jak zawsze, potraktował sprawę poważnie.

– No to mi się dostało zadanie! Postaram się, panie Romanie. Postaram się uczynić więcej, niż pan oczekuje.

– To jest zadanie godne Mistrza. Całe życie pan na to czekał. Po to się pan urodził, panie Zbyszku.

KONIEC

02.12.2017, 18:41

TA HISTORIA NIE JEST MOJĄ WŁASNOŚCIĄ

Po wielu miesiącach kontaktów ze Zbyszkiem, które nie były już ratowaniem mojego życia, a tylko podtrzymywaniem mojego dobrego stanu, jedno pytanie nadal nie dawało mi spokoju.

Co tak naprawdę mnie uratowało? Co sprawiło, że trafiłem do Zbyszka Nowaka i że umiałem skorzystać z jego pomocy?

Tyle razy byłem bliski rezygnacji, tak strasznie się czułem, tyle razy umierałem, a jednak ktoś czuwał, żebym przeżył. Nie pytam kto. Pytam dlaczego? I nie próbuję tu zaspokoić swojej próżności. Pytam, żeby zrozumieć i pomóc zrozumieć innym.

W końcu, także i tym razem, zdobyłem się na to, żeby zadać to pytanie Mistrzowi.

– Panie Zbyszku, co tak naprawdę mnie uratowało? Pan swoim działaniem, to fakt i nie podlega dyskusji, ale najpierw musiałem tu trafić, musiałem o panu usłyszeć. Musiałem to wszystko wytrzymać i podjąć tak wiele tak trudnych decyzji. Co spowodowało, że taki jest efekt tego wszystkiego?

– Dobre uczynki, panie Romanie. Uratowały pana dobre uczynki.

Zbyszek potwierdził moje podejrzenia. Kiedyś, na skutek wielu okropnych wydarzeń, postanowiłem, że skoro tak, to ja też będę skurwysynem. Będę taki, jak inni. Podły i wredny. Wtedy pojawiła się choroba. Śmiertelna choroba bez możliwości ratunku. Wszystko się zmieniło, kiedy tamto przestało być aktualne, a ja przysiągłem sobie, że już nigdy nie zboczę z drogi dobra i miłości. Pojawiła się szansa. Trzeba było jeszcze umieć z niej skorzystać, ale nad tym czuwał Ktoś z Góry. Cała ta historia natomiast zdarzyła się po coś.

Może po to, żebym coś zrozumiał i czegoś się nauczył. A może po to, żebym coś przekazał innym. Bo kiedy opowiadałem swoją historię Janowi Van Helsingowi, dał mi wyraźnie do zrozumienia, że muszę się nią podzielić. Bo ta historia nie jest moją własnością.

Opowiedzenie jej nie było łatwe. Wracały do mnie najtrudniejsze chwile i ból. Ale mam świadomość, że ta opowieść może uratować niejedno życie. Jest ostrzeżeniem przed zejściem z właściwej drogi. Jest zachętą do trwania w tym, co dobre.

Dobro mnie uratowało, a pokora otworzyła nowe możliwości. Chciałem, żeby ta książka powstała, bo chciałem Wam pomóc ominąć pułapki. Jadąc do Zbyszka, nie jedzcie po prostu się leczyć. Macie szansę na znacznie więcej.

PRAWDZIWA ŚWIADOMOŚĆ

siedzę w poczekalni. Jak zwykle jest sporo ludzi. Nawiązuję rozmowę z sympatyczną parą. Znajomi Zbyszka. Widać, że pani ma poważny problem. Wkrótce mi o nim opowiedzą. Sami nie pytają o nic. Każdy mówi o sobie tyle, ile chce. Lubię takich ludzi. Lepiej czegoś nie powiedzieć niż kłamać. Po godzinie żegnamy się serdecznymi słowami i wiele mówiącymi spojrzeniami.

Po dwóch miesiącach dowiaduję się, że w hoteliku jest ktoś o tym samym nazwisku. Idę tam z nadzieją, że to moi mili rozmówcy. Akurat z auta wysiadają dwaj mężczyźni. Poznają jednego z nich.

– Żona zmarła miesiąc temu, a ja przyjechałem z synem.

W pierwszej chwili pomyślałem, że przyjechali, żeby Nowakowi spuścić łanie za to, że nie uratował żony i matki, ale pan, widząc moją totalnie zbaraniałą i zaskoczoną minę, natychmiast dodał:

– Przyjeżdżaliśmy tu do Zbyszka jakiś czas i przedłużył żonie życie o cały rok. Przejechaliśmy podziękować.

W ciągu kilku lat pobytów w Podkowie poznałem zaledwie kilka osób z tak głęboką świadomością tego, co Zbyszek dla nich zrobił. Jestem dla nich pełen podziwu.

KARA BOŻA

Zawsze jadąc do Podkowy, zastanawiałem się, z kim tym razem spotkam się w Alkano. Zazwyczaj było bardzo miło, ale zdarzały się też negatywnie nastawione gaduły, obrzucające innych już na dzień dobry swoimi problemami.

Tym razem w kuchni zastałem panią w średnim wieku. Ułożyłem w lodówce pięciodniowy prowiant, coś tam zagaiłem, ale widzę, że nie pogadamy. Spróbowałem jeszcze zażartować, patrzy na mnie krzywo.

– Pan to może sobie żartować, panu może jest do śmiechu, bo sobie pan przyjechał na wypoczynek. A ja mam chorą wątrobę i mnie boli, to mi się nie chce żartować.

– No tak, pani smutna, bo z chorą wątrobą, a ja wesoły, bo sobie przyjechałem na wypoczynek z rakiem mózgu.

– Co pan powie! Z rakiem mózgu!

Nie powiem, że w tej samej chwili zaczęła być wesoła. Ale już ani razu nie złapała się za brzuch, przestała gadać o swoich boleściach, szurać i powłóczyć nogami. Zaczęła normalnie chodzić.

Dołączyła też druga pani. Ta przyjechała z Mediolanu. W kilka minut zostałem zaznajomiony z jej problemami, historią choroby

i leczenia, od których przeszła gładko do opowieści z całego życia. Gdzież to ona nie mieszkała! Od Alaski po Władywostok. Nazwami krajów i miast sypała jak z rękawa: Moskwa, Nowosybirsk, Meksyk, Rio de Janeiro... Lubię słuchać opowieści podróżników, jeśli nie przybierają formy przechwałek. Tu jednak aż buchało od pychy i prób zrobienia na mnie wrażenia. Wszędzie była, wszystko widziała, a zarabiała setki tysięcy dolarów rocznie. Wreszcie powróciła do tematu zasadniczego, czyli do choroby.

– I widzi pan, ta choroba, jak na złość, pojawiła się akurat teraz, kiedy nie mam ani grosza. Takie miałam plany, takie marzenia.

Wszyscy mamy plany i marzenia. I nie ma właściwego momentu na chorobę. Zrozumiałem, że w jej pojęciu dla mnie to standardowa sytuacja, a dla niej kara boża. Wkurzała mnie od samego początku, ale przecież każdy chory jest mniej lub bardziej marudny. Było mi jej nawet trochę żal, bo wyznała, że do Podkowy przyjechała za pożyczone od przypadkowej osoby pieniądze. Zastanawiałem się nawet, czy jej nie sprezentować kilku biletów na spotkania.

W pewnej chwili obrzuciła wzrokiem mój siedemnastoletni, przerdzewiały samochód i rzuciła z przekąsem:

– Pan to jest widzę wysokich lotów biznesmenem. Gdzie się pan tak dorobił, że stać pana na tyle pobytów w Podkowie?

– Pracowałem ciężko wiele lat i oszczędzałem. Na wszelki wypadek.

– A ja to żyłam jak motyl. Latałam tu i tam, całe życie z kwiatka na kwiatek. I miałam tyle pieniędzy...

Rozmarzyła się na wspomnienie tamtych czasów, a ja nieostrożnie wyraziłem swoje zdziwienie.

– Mając tyle pieniędzy, nigdy nie pomyślała pani, żeby odłożyć coś na czarną godzinę?

Spojrzała na mnie jak na idiotę. Mimo wszystko zamierzałem jej pomóc. Coś mi jednak kazało poczekać.

Następnego dnia ewidentnie się jej polepszyło, po czym znikła na wiele godzin. Wpadła do Alkano późnym wieczorem, zdyszana i czerwona jak burak.

– Ach, byłam w Warszawie. Taka jestem dumna z siebie, zwiędziłam chyba wszystkie galerie. Nie uwierzycie, co znalazłam! Taką torebkę! Niewiele ponad tysiąc złotych! A co! Chciałam znów się poczuć prawdziwą kobietą. Prześliczna!

Patrzyłem na nią okrągłymi ze zdziwienia oczami i nie wierzyłem własnym uszom. Ależ bym się wygłupił!

R

MÓWIĆ, CZY MILCZEĆ?

Trafiłem kiedyś na opinię i komentarz ze strony rodziny pani chorej na raka, która przyjeżdżała do Podkowy. Po kilku miesiącach poczuła się świetnie. Zbyszek powiedział, że wszystko już dobrze, nagrano nawet rozmowę do programu. Jednak po roku ta pani zmarła. Człowiek, który o tym opowiadał, nie przebierał w słowach.

Jak zawsze głęboko się nad tym zastanowiłem i poddałem analizie całą historię. Kiedy ta pani poczuła się dobrze, nie odwiedziła już Podkowy ani razu, zakończyła sprawę i zerwała kontakt ze Zbyszkiem. Co więcej nie zmieniła niczego w swoim życiu, żyła dokładnie tak, jak przed chorobą.

Ten schemat powtarza, niestety, większość ludzi. Ja sam, z początku usiłowałem postąpić podobnie. Jak tylko poczułem się lepiej, starałem się powrócić do swojego zabieganego i przeciążonego pracą życia, tego samego, które doprowadziło mnie do ciężkiej choroby. Wydawało mi się, że tym właśnie udowodnię sobie i światu mój powrót do zdrowia. No i to, czy Nowak pomógł, czy nie. Dobrze, że ta głupota nie trwała długo. Tylko na samym początku.

Smutno mi, że odeszło tylu wspaniałych ludzi. Miłych, sympatycznych, optymistycznie nastawionych do świata. Czy mogłem pomóc? Czy powinienem zrobić coś więcej? Opowiedzieć, przekazać, zachęcić, namówić, wyjaśnić...

To pytanie wciąż nie daje mi spokoju. Czy mamy prawo ingerować albo nie ingerować w czyjeś życie? Doszedłem tylko do jednego wniosku. Jeśli mamy czyste intencje, mówimy prawdę, kieruje nami wyłącznie chęć pomocy, to nie ponosimy odpowiedzialności za to, co ludzie z tym zrobią, i mamy czyste sumienie.

Te same odczucia kierują nami, kiedy oddajemy w Państwa ręce tę książkę – świadomość, że jest w stu procentach prawdziwa, a nasze intencje najczystsze.

Nie wymyśliśmy tej historii, nie przekręciliśmy faktów. Zróbcie z tym, co chcecie. Ale jeśli przyjdzie Wam do głowy, że wiecie lepiej, że znacie lepiej od nas motywy naszego działania, o jedno tylko prosimy – zastanówcie się jeszcze raz.

W 2002 roku kupiłem w moich rodzinnych stronach działkę. Bardzo zaniedbany teren. Doprowadzałem ją do ładu kilka lat, ale bez konkretnego pomysłu, bez żadnego planu. Położona w atrakcyjnym miejscu nadawała się pod hotel, camping, osiedle domów jednorodzinnych, nawet zameczek z winnicą.

Nie miałem żadnych konkretnych projektów, więc z nikim o tym nie rozmawiałem. Cała wioska żyła tą moją „inwestycją”. Jedni mi kibicowali, inni zazdrościli, a jeszcze inni tylko się przyglądali. Jedyne ciekawość była wspólna.

Wreszcie sąsiad zapytał wprost:

– Co ty tam będziesz budował?

Domyślając się, że cokolwiek powiem, wiadomość natychmiast obleci okolicę, zastanawiałem się dłuższą chwilę. Zanim na dobre powiedziałem pierwsze słowo, usłyszałem:

– A ty to chują wiesz, co tu będzie.

I zaczął mi opowiadać, jakie mam plany. Kilka razy próbowałem mu przerwać, ale wpadł już w ciąg, nie miałem szans wbić się w ten słowotok. Znał moje projekty lepiej ode mnie.

Bądźcie szczerzy wobec samych siebie. Bo może się okazać, że już po przeczytaniu tytułu doszłicie do wniosku, że ta książka to fantazja, historia wyssana z palca. Jeśli po przeczytaniu całości nadal tak uważacie, w porządku. Nie odbieram Wam prawa do posiadania własnego zdania. O jedno tylko proszę – nie odbierajcie innym szansy na własną opinię, nie odbierajcie im życia.

R

OPINIA O NOWAKU

Do wyrobienia sobie opinii na temat Nowaka potrzebowałem trzech lat. Wiele razy byłem prowokowany do zmiany zdania, często nawet przez samego Zbyszka. Wypróbowywał mnie, stawiał w różnych sytuacjach. Byłem zdezorientowany jego zachowaniem i podejściem do pewnych kwestii. I nigdy się nie przyznał, że to był tylko test.

Czy zdałem wszystkie egzaminy? Nie wiem. Wiem natomiast, że jeszcze nie raz zostanę zaskoczony.

Ludzie uważają, że można poznać człowieka w kilka minut, ocenić i wydać wyrok. Często bazują na zdaniu innych, zasłyszanej opowieści albo opinii, podchwyconym komentarzu. Zarówno pozytywnym, jak i negatywnym. Ja na szczęście mam taki charakter, że muszę sam sprawdzić wszystko w stu procentach.

W przeszłości często zdarzało mi się osądzać w ciągu minuty, na podstawie pierwszego wrażenia. Pierwsze spotkanie, pierwsze trzy sekundy były dla mnie decydujące. I choć zazwyczaj budziło to sprzeciw moich bliskich, nie zaliczałem pomyłek. Potwierdzenie przychodziło w krótkim czasie albo po kilku latach.

I chociaż Zbyszek Nowak był najtrudniejszym do rozpoznania przypadkiem w całym moim życiu, po zastanowieniu dochodzę do wniosku, że i tym razem było tak, jak zawsze.

W pierwszej chwili wypadł w mojej ocenie bardzo dobrze. Dopiero potem uczynił wiele, bardzo wiele, żebym zmienił zdanie. Czasem tylko na moment, czasem na znacznie dłużej, udawało mu się mnie wyrolować. Dziś wiem, że nie robi tego ani dla żartu, ani z przekory. Jest na to zbyt poważnym i odpowiedzialnym człowiekiem. Nigdy w życiu nie zakpiłby z chorego. Nie jest też sztywniakiem i ma poczucie humoru. Śmiejemy się bardzo często. Do łez. Opowiadamy sobie dowcipy, robimy różne żarty.

Lepiej pozostać przy własnej, choćby trzysekundowej opinii, a potem sprawdzić dokładnie, niż polegać na opinii innych, a tym bardziej obcych osób.

ŚWIADOMY WYBÓR

Ktoś podsunął nam pomysł, żeby nie opisywać wszystkiego. Twierdził, że pewne wydarzenia z życia Romana są tak niewiarygodne, że mogą zaszkodzić Zbyszkowi, jemu samemu i całej sprawie. Że ludzie sobie pomyślą...

Ale jak światło prawdy może rzucać cień!

Doszliśmy do wniosku, że nie mamy prawa być sędziami w tej sprawie. Postanowiliśmy, że zostawimy Czytelnikowi ocenę i decyzję. Nikt nie wie lepiej niż sam Roman, co to znaczy mieć wątpliwości.

I jak łatwo wpada się w pułapki!

Sam tego doświadczył i wysłuchał setek relacji podobnych do siebie jak dwie krople wody. Widział, jak ludzie przyjeżdżają do Zbyszka – organizm zaczyna ruszać powoli, ale oni nie mają czasu na leczenie. Jednocześnie szukają innych sposobów, idą do zielarza i popijają na przykład rumianek. Po dwóch dniach problem się cofa i wniosek gotowy. Kilka tygodni u Nowaka nic nie pomogło, a tu, proszę – zwykły rumianek i efekt jest natychmiastowy!

Niech im będzie na zdrowie. Przecież wyłącznie o nie chodzi.

Tylko niech się chwilę zastanowią, zanim rozgłoszą teorię o wszechmocnym rumianku i sprowadzą na manowce ludzi znajdujących się w trudnej sytuacji.

Roman swoją decyzję przemyślał tysiące razy. Wziął pełną odpowiedzialność za każde słowo w tej książce. Jest świadom skutku, jaki ta historia może wywołać, i nigdy nie ukrywał swojej twarzy.

Nie są dla niego wzorem niektórzy lekarze i niektórzy księża oraz wszyscy ci, którzy przyznają sobie miano wszechwiedzących, oficjalnie potępiają kontakt z energoterapeutą, ale biegną pod osłoną nocy do Nowaka, jeśli tylko im samym coś się przytrafi. Nikt nie ma prawa decydować za innych.

AUTORZY

NAJWIĘKSZY PODOPIECZNY

Jest teraz pod wpływem życiodajnej energii.

Jego historia toczy się dalej.

To, co się wydarzyło, już się nie zmieni.

Tego się nie da odwrócić.

Wszystko, jak zawsze u Zbyszka, biegnie tym samym trybem: choroba ustępuje, organizm się oczyszcza.

Jeszcze tu i ówdzie występuje gorączka, jeszcze miejscami pojawiają się guzy, obrzęki, biegunka i wysypka...

Ale Największy Podopieczny wraca do zdrowia!

